

BIBLIOTYKA
ADAMCZEWSKICH

153c.

MOZAJKA
GAWĘDY SZLACHECKIE
Z LAT UBIEGŁYCH

Tom II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

Dr. Antoni J. Trzy opowiadania historyczne, 1 tom .	złr.	ct.
— Opowiadania historyczne, 1 tom .	2	—
1.) Pod Półksiężycem. 2.) Książę Sarmacyi. 3.) Odwiedziny monarsze. 4.) Na kresach. 5.) Dwór Tulczyński. 6.) Losy pięknej kobiety. 7.) Tyuna w końcu XVIII. wieku.	3	—
— Nowe opowiadania historyczne .	3	—
1.) Pod krzyżem. 2.) Losy kresowego miasteczka. 3.) Wartabet. 4.) Zemsta kozacza. 5) Porwanie króla. 6.) Niesieszcie legiony.		
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy .	5	60
BIBLIOTEKA POLSKA: Każdy tom broszurowany 1 złr. 80 ct., w oprawie .	2	30
I. II. Krasieński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski, B. Poezje. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. Niemcewicz, J. Jan z Teczyna. Powieść histor. — XIII. XVI. Słowacki, Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Maleckiego. — XVII. — XIX. El...y, (Asnyk Adam.) Poezje, 2 tomy. XX. — XXII. Malecki, A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wybieki, Pamiętniki.		
Bolesławita, B. Hybrydy, powieść współczesna .	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna .	2	40
— Pamiętnik panicza — Dziennik Serafiny .	2	40
— Nad modrym Dunajem, Nowella .	2	40
Chłędowski, J. Sylwetki społeczne .	2	40
Jeż, T. T. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej .	2	40
Kaczkowski, Karol. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozostałych po ś. p. K. K. gen. szt. lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2. t.	4	20
Kantecki, K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły .	1	20
— Z podróży Oświęcima .	1	80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tom.	3	60
Kubala, L. Dr. Szkice historyczne. Dwie serye każda .	3	40
Lemcke, K. Estetyka, 2 tomy .	6	—
Liske, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i Pamiętniki.	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, wstępem objaśnione przez L. Siemińskiego .	2	80
Listy Juliusza Słowackiego 1830—1848, 2 tomy .	5	—
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom. III. opracowane przez lwowskie grono człon. komisji histor. tejże Akademji .	12	—
Niewiarowicz, A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu.	2	20
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku .	1	80
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy .	2	40
Wilkońska, P. Na Teraz. Powieść .	2	40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji .	2	60
Zakrzewski W. Powstanie i wzrost reform. w Polsce .	2	40
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus .	3	20

BERLICZ SAS

MOZAJKA

GAWĘDY SZLACHECKIE

Z LAT UBIEGŁYCH

wp
Andrzej Moraczewski

TOM II.

BIBLIOTEKA
MORACZEWSKICH

L W Ó W

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

1881



CZYTELNIĄ KSIĄZEK

821.162.1-3

ROZDZIAŁ I.

Spełniło się nareszcie zapowiedziane przybycie wojewody czernichowskiego, Piotra Miączyńskiego, do Zawieprzyc. Huczno i dworno wkroczył on na ziemię swoją. Huczno i dworno odbył wjazd do zamku przodków. Herbowna chorągiew rodu Miączyńskich rozwinęła się wspaniale na głównej zamkowej baszcie. Od strychu do podwału ożył gmach, oddawna niemy, gwarem licznej zgrai dworzan, oficjantów, gracjalistów, pajuków, hajduków, pandurów, sług rozmaitego rodzaju i różnej narodowości, jakich bywało zawsze mnóstwo na dworach panów polskich owego czasu. Była to dziwna mozaika postaci, mowy, strojów i charakterów — coś nakształt karwanałowej maskarady, udzielającej dworowi magnata cechę odrębną, świąteczną, jakby tam wieczne zapusty obchodzono, nieustannem barwiono życie weselem. Kontusz Polaka, ocierał się o dołman madjara; kaftan Serba z orjentalnym szamerunkiem szedł w parze z ferezją mołdo-wołocha; zawój Turczyna żył w najlepszej komitywie z kołpakiem o czaplem piórze Zaporozca.

Była też na zawieprzyckim dworze i janczarska kapela, huczna choć niekoniecznie strojna; były i młode kozaczki, teorbaniści, grackie chłopaki, zwinne i zrę-

czne, z piersią pełną dumek ukraińskich; z ciałem pro-
wornem do podskoków i do prysudów. Polscy panowie
znajdowali wielkie upodobanie w tej rozrywce, bo każda
dzielność była Polakowi przyjemnym widokiem, a do
tego, lubili oni kołysać ducha swego w tęsknym brzmie-
niu ukraińskiej nuty; jedni dla tego, że poetycznie ża-
łosna, lub rzewnie uroczysta; drudzy, że im napominała
młodość spędzoną, to na leżach zimowych kozaczyzny,
to na kresach Ukrainy, to nakoniec w gonitwach ste-
powych za tureczynem, tatarem, lub hajdamaką zaporoż-
cem. Niepoetyczny wcale i twardy na wszystko, co nie
pochlebiało próżności jego i dumie, co nie było fawo-
rem króla, blaskiem wysokiego urzędu i rozgłosem imie-
nia, wojewoda Piotr Miączyński, wcielenie najpotwor-
niejszej prozy, nie dla tego trzymał kapełę, że lubił
muzykę, nie dla tego miał pieśniarzy dumek ukraiń-
skich, że w nich znajdował upodobanie, lecz dla tego
jedynie, żeby wiedziano i głoszone, że na dworze za-
wieprzyckim było równie ludno i wspaniale jak po in-
nych magnackich dworach, n. p. Lubomirskich, Radzi-
wiłłów, Sanguszków, Sapiechów, że im w niczem nie
ustępował. Jakoż, pomimo że był chciwym i skąpym,
sadzil się na przepych i pańskość.

Komnaty, w których się pomieścił, kazał przyo-
zdobić w najkosztowniejsze przedmioty wytworności i
zbytku, jakie składy zamkowe zawierały i jakie przy-
wiozł z sobą z Maciejowa. Perskie kobierce ubarwiły
podłogi; tureckie makaty, tkane w jedwabie i złoto,
zawisły na ścianach. Weneckie zwierciadła wielkich roz-
miarów, powtórzyły w jasnym odbiciu, bogactwa zdumiewające,
barw i form rozmaitych, a kryształowe świe-
czniki i pająki, oblały potokiem ognia tę krociową wy-
stawę zamożności, samolubstwa i pychy. Broń ustawiona
piramidalnie i symetrycznie, sięgała niemal sklepieni.

Były tam paize, hakownice, samopały, berdysze, kopie
starodawnej formy i wagi, świadczącej o potędze dłoni,
co niemi władała, o sile ramienia, co niemi uderzało.
Kolczugi doświadczone w bojach, hełmy żelazne o bru-
zdach głębokich mieczem wyrąbanych, damasceńskie
bułaty, bodaj czy nie z epoki Kalifatu, siedmiogrodzkie
szable batorówki, syczące w rozmachu jak żmije, krzy-
żackie płachy z litanią wyrytą na klingach, pancerze i
skrzydła husarskich polskich chorągwi, wszystko to uło-
żone w grupy, armatury i trofea malownicze, nadawało
charakter military, rycerski, polski, temu wspaniałemu
mieszkaniu. Widzieliśmy już z poprzednich okresów, że
wojewoda nie był to człowiek dobry, bo żadnej z oj-
cowskich zalet nie odziedziczył. W istocie, nikt go nie
lubił, bo on miłości ludzkiej nie szukał. Zasiawał ucisk
i obelgę, cóż dziwnego, że zbierał nienawiść i złorzec-
zenia? Równi unikali poufnych z nim stosunków, niżsi
kłaniali się mu i służyli, to jest kłaniali się i służyli
hierarchicznemu jego znaczeniu i potędze bogactwa.
Piękny, wysoce wykształcony, i chociaż wojewoda, dość
młody jeszcze wiekiem, miał on wszystko to, coby mu
przy innych moralnych warunkach zjednać mogło przy-
chyłność i szacunek ludzi; lecz cóż, kiedy duma wzgar-
dliwa patrzyła mu przez oczy, a z piersi wiały biegu-
nowe chłody? Absolutny, nie znoził on oporu, i wpadał
w gniew szalony, trąciwszy o zawadę na drodze swych
pomysłów i chęci. Przybycie jego ożywiło gmach odda-
wna milczący w drzemce samotności; za to, mieszkańcy
onego, nawykli do cichej i niezmiennej reguły życia,
posmutnieli duszą, i złorzeczyli w myśli, niefortunnej
odmianie swego losu. Pierwszym czynem dumnego wo-
jewody, było urządzenie na ład inny zamkowej służby.
Przeinaczył starą normę onej, za ojca praktykowaną.
Pozmieniał ludzi zasłużonych, a nowoprzybyłych na ich

miejsce ustanowił. Słowem nic nie zostawił po dawnemu. Wszystko zmaćcił i zawichrzył; czem naturalnie dotknął pana Chamca, i prawdopodobnie naumyślnie, bo go nie lubił.

Zniósł zacny starzec to uchybienie swojej zasłuzie i powadze — a zniósł, bo go cel większej wagi zajmował; święty obowiązek od względów osobistych odrywał. „On panem w zamku” — mówił do siebie. — „Niech robi, co się mu podoba — byle się czegoś gorszego nie dopuścił.”

Wiele już dni ubiegło od chwili przybycia wojewody Piotra Miączyńskiego do Zawieprzyc, a jeszcze nie odwiedził Ireny ani razu. Nie zapytał nawet o nią nikogo, jakby, że żyje, nie wiedział. Miał on wprawdzie przez cały ten czas dużo zajęcia w domu. Całe dnie schodziły mu na załatwianiu kłopotów swojej instalacji, a także na trutynowaniu rachunków głównego rządcy, burgrabiego i kasjera, czego dopełniał z nieubłaganą surowością. Gdy się pewnego razu tej pracy oddawał natrafił z kolei na rubrykę, pod którą wpisywano ekspens utrzymania Ireny, oraz dwóch jej odalisek. Nie wielką była cyfra takowego, jednak ofuknął gniewnie kasjera, a kiedy się ten tłumaczył, że wydawał rzeczne pieniądze w skutek zalecenia pana Chamca, krzyknął tupając nogami:

— Komu aś służysz?... Maie, czy panu Chamcowi? Komu służysz, do stu szatanów! Gadaj aś!

— Nie miałem jeszcze pańskiego rozkazu w tej mierze—odpowiedział zapytany—a byłem posłuszny panu Chamcowi, jako głównemu przełożonemu mojemu z ręki s. p. pana wojewody, rodzica jaśnie wielmożnego pana.

— Zbyttnia gawęda! — zawołał Piotr Miączyński

kręcąc sumiastego wasa. — Nienawidzę, kiedy sługa trzepie ozorem, jak to aś czynisz w tej chwili. Wychoź aś i powiedz temu staremu safandule Chamcowi, żeby się stawiał przedemną niezwłocznie. Słyszysz aś?

— Słyszałem — i uwiadomię natychmiast pana Chamca, że go jaśnie wielmożny pan wzywasz do siebie — tak odpowiedział kasjer, skłonił się i wyszedł.

Nieprędko, bo w godzinę niemal po tej scenie, wszedł bez pośpiechu i z powagą pan Chamiec do komnaty zniecierpliwionego wojewody.

— Otóż jestem — rzekł chłodno, sadowiac się na kanapie. — Czegoś pan chciał odemnie?

— Zadługo każesz na siebie czekać. Ja tego nie lubię.

Gorzko uśmiechnął się starzec na te brutalskie słowa. Poczem przemówił do stojącego przed nim w pozie prowokacyjnej wojewody:

— Otóż jestem — powtarzam. — Czegoś pan chciał odemnie? Nie mam ja wiele zbywającego czasu; prosiłbym tedy o przyśpieszenie konferencji, która, jak uważam, będzie miała, ze strony pańskiej, charakter zaczepny, militarny; co mnie bynajmniej nie przerazi, albowiem nawykłem do ludzkiej niesprawiedliwości. Czekam więc! Jak pan skończysz — ja zacznę.

Ten spokój niezachwiany słowa i układu, to do stojeństwo starca o sędziwym włosie świecącym białością jego sumienia, podziały na wojewodę. Poczul się wobec kogoś wyższego od siebie, nie zamożnością, nie urzędem, ale hartem ducha, zasługą i cnotą. Spuścił więc z tonu i chociaż zżymał się w sobie, ozwał się uprzejmiej:

— Wezwałem was... dla pomówienia o tej brance z wezyrskiego haremu, co się tu zagnieżdżyła, jak we własnym domu, i rozkoszuje sobie bez ceremonii, na rachunek mojej kieszeni..

— Nie obawiaj się panie, żeby ciebie zrujnowała. Nie taką ona, jak sobie wyobrażasz! — przerwał z pewnym rodzajem oburzenia pan Chamiec. — Skromniej żyć nie można, jak ona żyje. Wszystkiego niemal sobie odmawia. Szaty jej niewykwintne. Gusta proste. A jeżeli ma wytworne mieszkanie, to nie dla tego, że wymagała takiego, lecz, że jej szlachetny opiekun, nieodżałowanej pamięci rodzic pański, zaklął mnie na starą przyjaźń naszą, żebym pokoje dla niej przeznaczone urządził w sposób odpowiedni jej urodzeniu i wysokiej czci, z jaką dla biednej sieroty do końca dni swoich zostawał. Złe się pan wyraził, nazywając księżniczkę Irenę Laskarys, branką wezyrskiego haremu! Nic nie było spólnego między nią i haremem. Barbarzyństwo osierociło ją; przemoc porwała i wydała w ręce Kara-Mustafy — lecz ta sama przemoc nie potrafiła przezwyciężyć oporu jej dostojeństwa, skalać nieskazitelności jej dziewiczego honoru... osłupiała, ukorzyła się przed nią, i ohydnych swych pokuszeń zaniechała. Taką jest księżniczka Irena. Nie znieważaj jej zatem panie, bo się to nie godzi. Jeżeli zaś przytomność jej w tym zamku nie jest tobie przyjemną, to dość będzie jednego twego słowa, żeby go opuściła na zawsze, — ze mną razem, ma się rozumieć, albowiem odstąpić jej w nieszczęściu nie chcę, nie mogę i nie powinienem.

— Zkądże się wzięło u was tyle rycerskiej galanterji, żeście, niepomni na wiek podeszły, gotowi wałęsać się po bożym świecie z młodą awanturnicą, zapominając, że macie przecież swój kąt spokojny w za-

wieprzycim zamku? Czy nie chcielibyście czasem małpować owego pociesznego Hiszpana, Don-Kichota z Man-szy, rycerza smutnego oblicza, co oszalawszy na starość z miłości dla jakiejś tam Dulcynei z Tobozo, walczył z wietrznymi młynami, i na stada owiec z pałaszem w ręku nacierał? Nie miała dotąd Polska podobnych paladynów — mielibyście zatem honor pierwszeństwa!

Po tych słowach, wyrzeczonych z ostrą i wzgardliwą ironią, zaśmiał się wojewoda na całe gardło i zaczął chodzić po komnacie.

— Wstrzymaj się, mości wojewodo! — zawołał pan Chamiec porywając się z kanapy zarumieniony oburzeniem. — Wstrzymaj się! ażebyś mógł lepiej zrozumieć, co mówić będę i żadnego słowa nie uronił. Żeś mi ubliżył... mniejsza! Jestem w prawie lekceważenia obelgi jednostki, kiedy mam za sobą świadectwo ogółu, i kiedy mi sumienie żadnego złego czynu nie wyrzuca. Muszę jednak, w tej ostatniej prawdopodobnie rozmowie, dotknąć dwóch kwestyj — najprzód, stosunku mego ze ś. p. rodzicem pańskim, a następnie, stosunku mego z księżniczką Ireną Laskarys. Lecz wprzód wypada mi zapytać pana, czy masz dokładne pojęcie, jakim było właściwie ogniwo łączące mnie z panem wojewodą wołyńskim?...

— Nic innego nie wiem — odparł dumnie Piotr Miączyński — jeno, że byłeś starym sługą mojego ojca...

— Mylisz się pan! — przerwał starzec podniesionym głosem. — Nie byłem sługą jego, ale przyjacielem. Równy równemu nie służy — ale się dlań poświęca. Tak postąpiłem i ja. Na jednej ławie siedzieliśmy w szkołach. W jednej chorągwi rozpoczęliśmy za-

wód rycerski. W jednych bojach krew nasza płynęła i szczybiły się szable. Pod Lwowem, byłem przy jego boku i zrąbałem trzech janczarów, co się nań byli rzucili. Pod Chocimem, ocaliłem jemu życie, oddając własnego konia, gdy koń jego padł zabity postrzałem. Pod Wiedniem, Parkanami, Strygonią, zasłoniłem go nieraz piersią moją, a chociaż raniony ciężko kulą w nogę, dotrwałem przy nim do samego końca boju. Tak nie robi sługa, mój panie, ale wierny przyjaciel! Nieprawdaż? A chcesz-li wiedzieć, co spowodowało tę przyjaźń moją do ojca pańskiego? co ją podniosło do stopnia głębokiego uczucia i niezmiennej zasady? Jego honor, cnota, serce! Przyłgnałem doń, bo mnie ku sobie pociągnął, bo mnie zobowiązał, nie magnackim faworem, którego bym nie przyjął, nie datkiem, który bym odtrącił ze wzgardą, lecz światłem swej nieskazitelnej natury, ciepłem przychylniej ku mnie skłonności. Żeby mieć takiego jak ja przyjaciela, trzeba umieć być takim przyjacielem, jakim był pan Atanazy. Nie wady zbliżają ludzi, lecz zalety. Nie złość kojarzy sojusze, lecz wzgląd przychylny i pobłażanie. On pociągał — pan odpychasz. Nie jestem więc pańskim przyjacielem, i być nie mogę! *Dixi!* Co do mego stosunku z księżniczką Ireną Laskarys, wyjaśnię go w krótkich słowach! Opiekując się nią, dopełniam świętego obowiązku, nie tylko względem ludzkości, ale także i względem czcigodnego mojego przyjaciela, z ust którego przyjąłem ów mandat uroczysty, kiedy płakał przy łożu jego śmiertelnem w Maciejowie. „Polecam ją tobie!...“ rzekł — i skończył. Temi słowami przykuł on mnie na zawsze do losu biednej sieroty! temi słowami odjął mi samodzielność moją. Nie należę odtąd do siebie — przestałem być panem własnej woli! Gdzie będzie ona, będę i ja, dopóki się duszą nie ulotnie, ciałem w proch nie rozsypie! Dość tego, sądzę,

co powiedziałem, żeby powstrzymać pana od niewczesnego drwinkowania na rachunek wierności mojej słowu, którem się względem umierającego przyjaciela zobowiązałem. Nie robię tego wcale przez rycerską galanterję, jakeś się pan tak dowiecownie wyraził, bo anim ja firecykiem, ani księżniczka Irena zalotnicą. Robię dla tego, żem człowiek uczciwy, co więcej znaczy nierównie w moich oczach, niż buława hetmanów i krzesło wojewodów.

Uczuł Piotr Miączyński ostry kolec alluzji, i sroździe się tem zamącił w sobie. Gdyby go nie powstrzymywało moralne dostojeństwo starca, wybuchnąłby niezawodnie gniewem straszliwym. Inny jeszcze powód kępował zwyczajną porywczosć jego; bał się opinii, której znał przychylnosć dla pana Chamca. Wiedział, że nie przebaczyłaby jemu, gdyby człowieka takiej cnoty i zasługi znieważył. Zadławił więc w sobie, siłą woli, porryw oburzonej dumy, i oblekwszy lice w pozory pokoju i uprzejmości, rzekł:

— Poważam zasługę waszą mości Chamiec, i pochwalam gorliwość, z jaką dotrzymujecie obietnicy danej ś. p. rodzicowi mojemu. Spodziewam się, że małe nieporozumienie nasze nie pozostawi śladu w umyśle waszym. Nie wiedziałem o wielu szczegółach do tej chwili. Obraz odmienił nagle znaczenie swoje, a ztąd odmieniły się i poglądy moje na treść zdarzeń, jakie wyobrażał. Niech zatem księżniczka Irena pozostanie i nadal gościem zawieprzyciego zamku. Błędne miałem o niej pojęcie. Nazwałem awanturnicą, albowiem była nią w mojem przekonaniu. Odtąd myślę inaczej i postaram się przekonać ją o tem.

— Wspaniałomyślny i sprawiedliwy, niech będzie błogosławiony! — zawołał ze wzruszeniem zacny sta-

wód rycerski. W jednych bojach krew nasza płynęła i szczybiły się szable. Pod Lwowem, byłem przy jego boku i zrąbałem trzech janczarów, co się nań byli rzucili. Pod Chocimem, ocaliłem jemu życie, oddając własnego konia, gdy koń jego padł zabity postrzałem. Pod Wiedniem, Parkanami, Strygonią, zasłoniłem go nieraz piersią moją, a chociaż raniony ciężko kulą w nogę, dotrwałem przy nim do samego końca boju. Tak nie robi sługa, mój panie, ale wierny przyjaciel! Nieprawdaż? A chcesz-li wiedzieć, co spowodowało tę przyjaźń moją do ojca pańskiego? co ją podniosło do stopnia głębokiego uczucia i niezmienniej zasady? Jego honor, cnota, serce! Przyłgnałem doń, bo mnie ku sobie pociągnął, bo mnie zobowiązał, nie magnackim faworem, którego bym nie przyjął, nie datkiem, który bym odtrącił ze wzgardą, lecz światłem swej nieskazitelnej natury, ciepłem przychylnej ku mnie skłonności. Żeby mieć takiego jak ja przyjaciela, trzeba umieć być takim przyjacielem, jakim był pan Atanazy. Nie wady zbliżają ludzi, lecz zalety. Nie złość kojarzy sojusze, lecz wzgląd przychylny i pobożanie. On pociągał — pan odpychasz. Nie jestem więc pańskim przyjacielem, i być nie mogę! *Dixi!* Co do mego stosunku z księżniczką Ireną Laskarys, wyjaśnię go w krótkich słowach! Opiekując się nią, dopełniam świętego obowiązku, nie tylko względem ludzkości, ale także i względem czcigodnego mojego przyjaciela, z ust którego przyjąłem ów mandat uroczysty, kiedym płakał przy łożu jego śmiertelnem w Maciejowie. „Polecam ją tobie!...” rzekł — i skonał. Temi słowami przykuł on mnie na zawsze do losu biednej sieroty! temi słowami odjął mi samodzielność moją. Nie należę odtąd do siebie — przestałem być panem własnej woli! Gdzie będzie ona, będę i ja, dopóki się duszą nie ulotni, ciałem w proch nie rozsypię! Dość tego, sądzę,

co powiedziałem, żeby powstrzymać pana od niewczesnego drwinkowania na rachunek wierności mojej słowu, którem się względem umierającego przyjaciela zobowiązałem. Nie robię tego wcale przez rycerską galanterję, jakieś się pan tak dowiecownie wyraził, bo anim ja fircykiem, ani księżniczka Irena zalotnicą. Robię dla tego, żem człowiek uczciwy, co więcej znaczy nierównie w moich oczach, niż buława hetmanów i krzesło wojewodów.

Uczuł Piotr Miączyński ostry kolec alluzji,¹ i srodcie się tem zamącił w sobie. Gdyby go nie powstrzymywało moralne dostojęstwo starca, wybuchnąłby niezawodnie gniewem straszliwym. Inny jeszcze powód krępował zwyczajną porywczoność jego; bał się opinii, której znał przychylność dla pana Chamca. Wiedział, że nie przebaczyłaby jemu, gdyby człowieka takiej cnoty i zasługi znieważył. Zadławił więc w sobie, siłą woli, porryw oburzonej dumy, i oblekwszy lice w pozory pokoju i uprzejmości, rzekł:

— Poważam zasługę waszą mości Chamiec, i pochwalam gorliwość, z jaką dotrzymujecie obietnicy danej ś. p. rodzicowi mojemu. Spodziewam się, że małe nieporozumienie nasze nie pozostawi śladu w umyśle waszym. Nie wiedziałem o wielu szczegółach do tej chwili. Obraz odmienił nagle znaczenie swoje, a ztąd odmieniły się i poglądy moje na treść zdarzeń, jakie wyobrażał. Niech zatem księżniczka Irena pozostanie i nadal gościem zawieprzycznego zamku. Błędne miałem o niej pojęcie. Nazwałem awanturnicą, albowiem była nią w mojem przekonaniu. Odtąd myślę inaczej i postaram się przekonać ją o tem.

— Wspaniałomyślny i sprawiedliwy, niech będzie błogosławiony! — zawołał ze wzruszeniem zacny sta-

rzec. — Wobec szlachetnego postanowienia twego panie, cofam słowa, którem przed chwilą wymówił. Wyrażały one moją nieprzyjaźń dla ciebie. Zrób (gdyż to od ciebie zależy), żebym wyrzekł inne, których treścią byłyby: przyjaźń dozwolona i nieograniczona wiara. Po ojcu, błogo byłoby mnie kochać i syna, chociażby mi nawet wzajemności odmówił.

— A jeżeli jej nie odmówi?

— Tem lepiej, mój panie! — tem lepiej! Podziękuję Bogu, że serce twoje ku dobrym uczuciom skierował! — Przystąpmy teraz do innej rzeczy. Tyczy się ona wprost mego obowiązku. Nadszedł czas, żebym ci odkrył tajemnicę, którą ś. p. rodzic twój uczciwości mojej powierzył. Nikt nie wie o niej oprócz mnie i kozaka Sawy, wiernego sługi domu pańskiego.

— Cóżby to być mogło? — rzekł Piotr Miączyński wielce zaciekawiony.

— Dowiesz się natychmiast, gdy zechcesz pójść ze mną.

— Idę.

Chamiec wprowadził wojewodę do długiego kurytarza, co się na kilka ostro sklepionych gałęzi rozdzielał. Jedna z nich, wązka i ciemna, mnóstwem gratów niepotrzebnych zawalona, nigdy uczęszczaną nie była. Gdy weszli, Chamiec wydobył z kieszeni stoczek, wykrzesał ognia, rozniecił patyczek siarczany i stoczek zapalił. Poczem, posunęli się dalej mozolnie, trącając nogą co chwila, o jakieś rudery sprzętów, naczyń, starych dzid i kopij, bezładnie nawalonych kupami. Im się zapuszczali dalej, tem robiło się ciemniej i chłodniej. Grunt kurytarza opadał nieznacznie pod linię poziomu, opuszczał się coraz głębiej, jakby dążąc pod ziemię.

Zdziwił się niemało wojewoda, gdy im nagle, ni ztąd ni zowąd, ściana poprzeczna dalszą pielgrzymkę zatamowała. Cóż miał znaczyć ów długi kurytarz bez wyjścia? Po co go Chamiec w to miejsce zaprowadził? Kiedy się nad tem zastanawiał, starzec nacisnął nogą jedną z kamiennych tafel pawimentu i wnet zgrzytnęły na rdzawych zawiasach drzwiczki utajone w murze i odkryły ciemną paszczę lochu, w którym nurzały się wązkie schodki z głazu, opatrzone żelazną poręczą. Było to coś nakszałt owych zaklętych pieczar z Tysiąca i jednej nocy, co się tylko na hasło sił czarodziejskich otwierały. I tu mur głuchy rozwarł się, jakby cudem, na skinienie Chamca, i tu, gdy na dnie podziemia stanęli, noc wnętrza lochu zaślniała nagle tysiącami połyski i blaski, krzyżującemi się gęstą siecią barw jaskrawych przed zdumionem okiem wojewody. Na gorącym tle złota, albo chłodnem srebra, iskrzył się pryzmą djament, migotał tęczą opal, świecił krwawą łuną rubin, rozlewał się lazurem turkus, igrał promienistym majem szmaragd, i perła, bogiń morskich łza skamieniała, spływała w długich sznurach swemi białemi, matowemi bisiory. I to wszystko nie było złudzeniem oka — nie! Bogactwa rzeczywiste, dotykalne, leżały tam na wielkich dębowych blatach, ujęte w mnogie i fantastyczne formy. Były tam siodła, rzędy, orężę wschodniego kunsztu i krociowej ceny. W złotych naczyniach nieoprawne kamienie, wielkie zbiory przedmiotów przepychu i zbytku. Wojewoda oniemiał z podziwu i skamieniał. Po długim dopiero chwil szeregu odzyskawszy ruch i słowo, pochwycił dłoń sędziwego przewodnika swego, ścisnął ją z całą siłą uznania i radości i zawołał:

— Wytłómacz proszę, co to znaczy? Widzę i nie pojmuję — samemu sobie nie dowierzam...

— To zdobycz wojenna — rzekł pan Chamiec.

Plon męstwa rodzica pańskiego, z namiotów wielkiego wezyra Kara-Mustafy.

— Mówiono coś o tem w Warszawie — przerwał Piotr Miączyński. — Byli nawet i tacy, którzy utrzymywali, jakoby król miał żal do mego ojca, że mu wezyrowskie skarby z pod nosa pochwycił. Nie dawałem jednak temu wiary, na tym fundamencie, że gdyby tak było w istocie, nie robiłby ojciec z tego przedemną sekretu. Pamiętam, że mu kiedyś o tej gawędzie warszawskiej nadmieniłem. Uśmiechnął się i nic nie odpowiedział. To mnie utwierdziło w zdaniu, że ludzie kłamali. Przestałem więc myśleć o tem i zapomniałem.

— Co do mnie — przemówił Chamiec — milczałem, bo tego żądał odemnie pan Atanazy. Kiedym odjeżdżał z pod Wiednia do Zawieprzyc z wezyrowskim skarbem, wojewoda zalecił mi ostrożność i tajemnicę. „Zaklinam ciebie“ — mówił ująwszy dłoń moją poże-gnalnie — „żeby nikt o istnieniu tych bogactw nie wiedział. Są one wojenną zdobyczą, słusznie do mnie należąca; lecz ponieważ ludzie są zawistni i złośliwi, sam prosty rozum nakazuje milczenie. Dopóki żyć będę, wytrwam w tem postanowieniu i ty zrób to samo przy-jacielu. Po mojej śmierci dopiero odkryjesz tajemnicę starszemu synowi mojemu, Piotrowi, i powiesz mu w mojem imieniu, żeby ów skarb zachował w całości, jako środek jedyny ratunku rodu naszego, gdy marnieć zacznie i upadać.“ Takim był ów mandat, honorowi mojemu powierzony przez tego, co wierność moją i honor szanował, bo o realności ich mocno był przekonany. Czym się należycie z mojego zadania wywiązał? Czym wolę przyjaciela święcie wypełnił? niech to zaświadczy ten fakt niezaprzeczony, że skarb pozostał nietkniętym, i żeś ty panie, i nikt z żyjących, oprócz Sawy, o nim do tej pory nie wiedział.

Wojewoda nie mógł dość nacieszyć się posiadaniem takiego bogactwa; to ścisnął i całował starca z gorączkową jakąś czułością, to znowu rzucał się chciwie na kosztowne przedmioty, nęcące pożądliwość jego i dumę, i bawił się nimi jak dziecko, lubował, zachwycał z nienasyconem upodobaniem. Chamiec czekał cierpliwie, aż się ten szalał jego uspokoi. Milczał i marzył smutno, patrząc na to rozobłoczenie się duchowej przywary wojewody, który w tej chwili udawać nawet powagę dygnitarską zapomniiał, i godność szlachcica cynicznie upośledzał. „On dumny tylko i chciwy“ — pomyślał z żalem. — „Czemuż nie tak dobry jak ojciec i nie tak cnotliwy?“

Dnia tego Piotr Miączyński, był w najlepszem usposobieniu. Nikogo nie zelżył, nie wybił, z posady nie wywalił. Dziwili się wszyscy w zamku, dziwili niezmiernie i pojąć nie mogli, co było takiej odmiany przyczyną. Pod wieczór udał się Piotr Miączyński do Ireny. Pierwsze to były jego odwiedziny. Przyjęcie, jakiego doznał, zmieszało go nieco. Zamiast łez, zalecanek i nadszkakiwania, znalazł godność spokojną i cichą rezygnację, zamiast oklepanych frazesów wielomowne sentymentalności i zwrotów efektowych niewieściej skargi na surowość losu i nikczemność ludzi, usłyszał skromne słowo, bez ostrza i jadu, a co większa, bez udania i rachunku. Nie było w niem myśli przedsięwziętej, ani planu, ani nawet wyrozumowanego celu. Wszystko, cokolwiek Irena powiedziała, płynęło samorzutnie z duszy prawej i szczerzej, a razem szanującej siebie. Była w tem i należyta miara i żywa prawda, i rzewność naiwna z tejże prawdy wynikająca. Słowem, było wszystko to, czego wojewoda nie znał dotąd w kobiecie i czego się znaleźć w niej nie spodziewał. Ukorzyła się twarda i chłodna duma tego człowieka, przed urokiem tej cza-

rującej kobiety, równie lecz inaczej dumnej, a mężniejszej od niego daleko. Pojął, że pod tą kwiecistą obłąaną młodości i wdzięków, żyła natura szeroka i szczytna, płomienna jak słońce, a jako stał sprężysta. A gdy się porównał, poczuł się drobnym przy niej i prawie bezsilnym. Rezultatem chwil przepędzonych z Ireną tego wieczora, było pograżenie się wojewody w samym sobie, a ztąd roztargniona obojętność dla rzeczy, które go przedtem zajmowały. Zmiękła surowość kontroli, jaką na wszystkie bez wyjątku oddziały zarządu zamkowego i majątkowej administracji, rozpościerał. Z czynnego i ostrego aż do zbytku, stawał się coraz więcej leniwym i pobłażliwym. Zwolniał też i rygor dyscyplinarny aż do tyranstwa posunięty, i duma dygnitarska wojewody przestała odtąd zasklepiać się po dawnemu w niedostępnej i wzdargliwej samotności. Nowy porządek zacierał stopniowo poprzednią normę; i fantazje pańskie innemi pobiegły tory. Wiosenną zielenią umiały się dąbrowy, i ogród zamkowy zagwarzył szmerem lip odwiecznych i dębów. Był on właściwie dziełem swobodnej natury, działalnością człowieka nieograniczonej. Nie było w nim ani kwiecistych rabatów, ani symetrycznych klombów, ani drożyn piaskiem usypanych. Myśl człowieka nie przeleciała tamtędy ni razu, ani się dłoń ludzka tego miejsca dotknęła. Rosły drzewa i krzewy, rosły samodzielnie i dziko; żyły, starzały się tęskno, by się rozsypać próchnem. Jakże się zdziwiły, gdy roje ludu wtargnęły nagle do ich samotnej dziedziny i zaczęły gracować, kopać, rozmiarzać, zasiewać, sadzić. Sam wojewoda przewodniczył robotom, kierując onemi według myśli, z jaką przedsięwziął przekształcenie tej opuszczonej Tebaidy. Jakoż, wola i pieniądze dokonały cudu. Zaledwie miesiąc upłynął, a już się to miejsce zmieniło do niepoznania. Lekkie mostki wygięły

się łukiem nad strumykiem; altanki i kioski wystrzełyły z pagórków; łąkom samorodnym, nadano symetryczny rysunek, cywilizowaną cechę; i mnogie drożynki, piaskiem opruszone, rozbiegły się po nich, to ku cieniejszej dolinie osnutej krzewy i kwieciami, to do cichej oazy gaiku, gdzie fiołek wzdychał ku słońcu i słowik piosnkę miłości zawodził. Niedawno jeszcze było tam pusto i głucho — a teraz brzmią żywym słowem liczne towarzystwa, ulice, altany, kioski i grotty; rozlegają się swobodne hasła wesela i pochwycone echem doliny, lecą w głęboką dal przestrzeni huczne akordy zamkowej kapeli. Bo też i wojewoda nie był już tym, co dawniej człowiekiem. Nowy interes życia przeważał w nim dotychczasowe dążenia dygnitarskiej pychy. Tym interesem, była miłość; nie inaczej! miłość nie platońska, nie idealna, ma się rozumieć (bo z kądby się wzięła u niego?) Nie miłość serca, ale ciała, nerwów, krwi, gwałtowna, uporeczywa, zwierzęca! Nie kochał on Ireny za jej wdzięk moralny, za czystość myśli, nieskazitelną natchnień, i za tę potęgę heroizmu, z jaką odpierała nacisk wspomnień bolesnych, z jaką swe sieroctwo znosiła. On kochał jej piękność fizyczną, jej lica, oczy, kibić, głos brzmiący rzewną melodią poetycznej duszy; kochał tem więcej, że niemal przewidywał płonność pożądliwych zabiegów swoich, że swą porażkę na polu zalotnych zamiarów przewidywał. I to właśnie wicherzyło nim, miotало, do coraz większych usiłowań pobudzało. Była w tem stara, jak świat, pokusa do zakazanego owocu, która się u niektórych ludzi do stopnia namietności i szalu rozwija. Nie omyliło więc Irenę przeczucie; nieplonna była trwoga, jakiej w sobie doznała, gdy jej przybycie wojewody do Zawieprzyc zapowiedziano. Spełniło się proroctwo duszy. Groźne widmo niebezpieczeństwa powstało nagle nad biedną Ireną. Pojęła, że w tej

miłości potężnego i butnego magnata kryła się isierka strasznego wybuchu, że ten wybuch lada moment nastąpić może, że niezawodnie nastąpi. Niedowierzając skuteczności otwartego oporu, który częstokroć potęguje gwałtowność natarcia, postanowiła wezwać ku swej obronie całą przebiegłość kobiecej dyplomacji. Głównem onej zadaniem być miało: udobruchać drapieżność wojewody i pobudzić go do wspaniałomyślnego względu dla istoty słabej, nieszczęśliwej i opiece jego honoru powierzonej. Polegając z pewnością na skuteczności takiego trybu postępowania, Irena przywołała na pomoc całą potęgę żeńskiego machiawelizmu, w którym widziała jedyny swój ratunek. Zgodnie z potrzebą chwili, była to smutna, to wesoła, milcząca lub chciwa rozmowa, zadająca kłam nieustanny tajemnej prawdzie swych uczuć i chęci, bluźniąc przeciw swej własnej naturze. Ciężka to była rola dla szczerego charakteru, jak Ireny — rola wymagająca ciągłego nateżenia umysłu, ciągłej kontroli nad każdym słowem, gestem, wyrazem twarzy, ruchem każdego, żeby nie obudzić, broń Boże, podejrzliwości wojewody, żeby go nie narazić sobie, nie zrazić, nie zniescierpliwic. Dość długo już trzymała Irena na wodzy, tym sposobem, dziką namiętność swego hołdownika. Ale cóż trwałego na świecie? Wszystkiemu przeznaczony kraniec. Tlejąca iskra, skoro ją wietrzyk rozdmucha, wybuchnie w końcu płomieniem. Tak się też i stało. Wchodząc pewnego wieczora do komnaty Ireny, wojewoda był nie w dobrym usposobieniu. Snać mu nakipiało na sercu, i coś szepnęło do ucha: „Jesteś igraszką kobiety!“ Zły to był ów podszept puszczony do organów słuchowych takiego człowieka!... zły i niebezpieczny! Zawieść, podejrzliwość, buta nieznosząca oporu, chuć gwałtowna, krusząca tamy, poruszyły się w nim i rozogniły. Jednem spojrzeniem oceniła Irena zamęt we-

wewnętrzny gościa i następstwa ztąd wyniknąć mogące. Pojęła, że nadeszła w końcu chwila stanowczej rozprawy, i że jej żadnym wybiegiem odwrócić nie potrafi. Zaniechała więc wybiegu i roli. Z udania podniosła się do prawdy, i okazała wojewodzie, jaką była w istocie, to jest, pełną godności i smutku. Strój czarny, godło wiecznej żałoby, dziwnie podnosił bladeść matową jej lica. W czarnem jak noc oku, było spokojnie i rzewnie; lecz pilny badacz dostrzegłby w niem migający, kiedy niekiedy, przelotnie, błysk stanowczej determinacji, dzielnej i heroicznej. Dostrzegłby i na ustach tęskną jakąś ironię, jakby pogardę doczesności, lekceważenie śmierci. Siedziała na otomance. Na stolicku przed nią, stały w kryształowem naczyniu świeże polne kwiaty, obok koszyczka ze srebrnego filigranu, z którego spływał w splotach spiralnych, aż na blat stoliczka, sznur prześlicznych pereł. Był to dar wojewody. Ręka jej igrała z niewielkim kindżalem, o bogatej złocistej oprawie. U nóg swej pani, na perskim kobiercu, Zoe i Ksenia wyszywały coś jeliwabiem i złotem. Skoro ukazał się wojewoda, powstały młode odaliski z uszanowaniem i wyszły z komnaty. Irena i Piotr Miączyński pozostali sami.

Niedługo trwało milczenie.

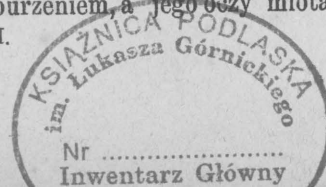
— Przychodzę rozmówić się z panią stanowczo — rzekł wojewoda surowo, nsiadłszy bez zwykłych form grzeczności, na drugim końcu otomany.

— O czym? — zapytała obojętnie Irena.

— Pani stroisz sobie zabawkę ze mnie, jak z błazna, ale ja dowiodę pani, że nim wcale nie jestem, i że ćwiczyc swój dowcip na mój rachunek, niebardzo bezpiecznie.

Mówiąc to Miączyński zaogniał się coraz więcej gniewnem oburzeniem, a jego oczy miały groźne połyski.

Tom II.



Spokojna wobec niebezpieczeństwa, którego już odwrócić nie miała zamiaru, Irena przemówiła obojętnie:

— Nie rozumiem pana. Racz się zrozumiałej objasnić.

— Ha! wyzywasz mnie na zrozumialsze objaśnienie! — zawołał w zapędzie wojewoda. — Alboż to nie nowa obelga? O! nie igraj kobieto z gniewem moim! nie igraj z nim! Ostrzegam! Tyś w szponach orła. Drżij więc, żeby cię nie rozszarpał, albowiem on jeden, nie kto inny, panem twego życia i panem twej śmierci! Drżij! bo miłość wzgardzona, wyśmiana, w nienawiść się zamienia! i czuję... że już cię nienawidzić zacznym!...

— O! dzięki ci panie za to słowo! — rzekła Irena kładąc dłoń na sercu. Wielką mi ulgę przyniosło. Odjąłeś mi prawo pogardzać tobą, boś szczerą prawdę szlachetnie wypowiedział. Wzbudziłeś we mnie cześć dla twego charakteru, boś zalotnego kłamstwa zaniechał, które cię poniżało w moich oczach i wstrętnym, bo niegodnym szacunku czyniło. Opatrzność dała każdemu odrębną naturę, której mu przekraczać niewolno. Twoja, niezdolna kochać, jak moja zhańbić się niezdolną. Tyś orłem (jakeś się słusznie wyraził), żeby nienawidzieć, bując na wyżynach samowoli, i postrach rozszerzać dokoła. Jam słabą istotą, łatwą zdobyczą szponów orła — a jednak... nie drzę przed nim, jak widzisz, i jestem zupełnie spokojną. Może chcesz wiedzieć, z kąd to pochodzi? Chętnie ci objaśnię. To pochodzi ztąd, że, jeżeli orzeł zechce mi wydrzeć życie, łaskę mi zrobi — jeżeli honor... sam zginie!... W każdym więc razie korzyść byłaby na mojej stronie. Wszakżeś mnie zrozumiał?...

— Dlatego właśnie żem zrozumiał, nie wierzę! — ozwał się ironicznie wojewoda. Ani sama pragniesz

śmierci — anibyś ją zadała orłowi... Mów o tem jakiemu frycowi, u którego jeszcze mleko nie wyszło pod nosem, a nie mnie. Któż nie wie, że słowo kobiety, wiatr — a jej męztwo, bańka mydlana. Lada dotknę cie, pęknie...

— Nie wierzysz? — spróbuj! — wyrzekła Irena dobitnie i przeciągle, cisnąc swój kindżał obnażony w dłoń. Jam nie z tych, których słowo wiatrem, a męztwo bańką mydlaną. Niewiasty i dziewy mojej ojczyzny, to nie wasze wypieszczone i lekkomyślne panie! Gdy kochają, to na zawsze. Gdy nienawidzą, to do grobowej deski. Gdy przyobiecują, to nie z płochą myślą wykrętu lub zdrady. Słowo ich niezłomne, jak skała — a męztwo serca idzie u nich w parze z dzielnością ramienia, co śmiało uderza, bo je bój wyćwicył, a krwi się nie zleknie, bo ją w obronie kraju nieraz przelewała! Jakiemi one, taką jestem i ja! A więc powtarzam; — zechcesz mego życia? — oddam ci je chętnie! Zechcesz mojej hańby? — umrzesz! Żelazo nie pęknie — ramię nie omyli — zaręczam!

— Skruszę żelazo i twe ramię skruszę! — zawołał cicho wojewoda, powstając z otomany. Tyś szalona kobieto! Opamiętaj się! Zły to był duch, który cię natchnął myślą zuchwałego oporu! Tu opór niemożliwy! Wszystko w tych murach winno ulegać mej woli! Nie chciałaś pokochać mnie dobrowolnie?... pokochasz z musu! — bo ja tak chcę — a więc być inaczej nie może! Rozumiesz?

— Nie będzie tak! — rzekła Irena surowo, i powstała z miejsca z twarzą zarumienioną oburzeniem i z palającym okiem. — Nie będzie tak! powtarzam. Ten, któremu kochała, nie żyje! i jam też dla innego kochania umarła! Nie zmusisz ducha mego do miłości,

jak ust nie zmusisz do kłamstwa! Tyś panem tych murów, twych podwładnych panem, ale nie moim! Duch niepodległy nie ukorzy się przed twoją przemocą. Duch mój szydzi z twojej przemocy. Nie wierzysz? Spróbuj! O! jakżeś niepodobny sercem do twego czcigodnego rodzica, którego zgon łąką krwawą opłakałam, bo dobrym był dla mnie, jak ojciec, miłosiernym jak Opatrzność! Nie dopuściłby on, żebyś hańbił szlachetne imię jego, gwałcąc najświętsze zasady człowieczeństwa — pastwiąc się, jak to czynisz, nad bezbronną i nieszczęśliwą kobietą! Nie dopuściłby, powtarzam, bo dumnym był nie z tego, że panem, ale z tego, że polskim rycerzem i człowiekiem, a któż nie przyzna, że duma taka ręką — godności i cnoty? Czemuż zboczyłeś z toru takich przykładów? Czemu wyrównać ojcu nie usiłujesz? Wszak to, zdaje się, nie trudno! Nie zarósł jeszcze gościniec, po którym on stapał do miłości ludzkiej i do błogosławieństwa nieba. Droga ubita i prosta. Idź po niej z dobrą wolą, a nie zboczysz i dojdiesz. I ludzie pochwalą, i Bóg nagrodzi, i sumienie pokojem obdarzy. Żyłeś bezemnie? Żyj i dalej! Pozwól, bym odeszła — i zapomnij, że istniała kiedykolwiek na świecie. I tobie lżej będzie — i mnie. Zwracam ci kosztowne dary twoje. Nie dla mnie diamenty, złoto i perły! Bluźnią żałobie serca mego! Znieważają świętość mej żałoby! Oddaj szczęśliwszej i zdolniejszej pokochać ciebie, odemnie. Co do mnie, kochać nie chcę, nie powinnam, nie mogę! Jam nie żyjącą kobietą, lecz trupem! Wszystko, z kądem życia tryskało, zabito we mnie! Wszystko, co się rozwijało w duszy marzeniem nadziei i szczęścia, zburzone! Na cóż się przyda tobie trup martwy? Na co chłodna i ciemna ruina? Niech ją wichur padołu rozwieje w przestrzeni! Niach mroki zapomnienia okryją na wieki!

Zamilkła Irena. Opuściła czoło. Skamieniała w pamiętce i boleści. Pierś jej faliła się niespokojnie żywych wrażeń zamętem; lecz oczy ciała zamierzchły, jakby obezwładnione śmiercią, bo nie ciała ale duszy oczyma badała ona w tej chwili, nie wiadomo, przeszłość czy przyszłość, i nie tam niestety! kromie sieroctwa i żałoby dostrzedz nie mogła. Lubo żywo dotknięty w swej dumie słowa Ireny, wojewoda poczuł się jednak wzruszonym wobec tej wielkiej i uroczystej boleści. Nie znalazł on w sobie dla niej osłody, nie znalazł nawet szlachetnego współczucia, na jakie zasługiwała, ale znalazł przynajmniej coś podobnego do względu, do uznania, które go powstrzymały od cynicznego szyderstwa i brutalskiej pogroźki i zniewoliły zamilczeć. Zegar zamkowy uderzył późną godzinę nocy, kiedy ocknąwszy się z głębokiej zadumy, wojewoda pożegnał sucho Irenę i wyszedł. Zoe i Ksenia zastały ją stojącą pośród komnaty, zamyśloną i smutną. Dłoń jej cisnęła kindżał obnażony. Drugą trzymała na sercu. Dokoła migotały na podłodze, zausznicie, djademy, sznury z brylantów i pereł, jakby rozmięcione ze wzgardą w porywie rozpacz lub gniewu. Podbiegła Zoe, podbiegła i Ksenia. Ukłękły obie u nóg swej ukochanej pani i ścisnęły kolana, całowały ręce, przemawiały do niej z najtkliwszym wynurzeniem przywiązania swego i współczucia. Rzewnie i błogo odbił się głos tych serc pocziwych w sercu bolejącem Ireny. Lżej zrobiło się jej i weselej, a sucha i zagnioną żrenica zabłysła łąką dobroczynną, cudowną rosą pokoju i ulgi!

Kiedy przyszedłszy do siebie, Irena usiadła na otomanie, nie czując się zdolną spoczynku, pomimo późniejszej pory, Zoe i Ksenia zajęły zwyczajne miejsce u nóg swej pani, a wtedy Ksenia zanuciła piosnkę p. t. Lothario i Leila.

Ksenia nie dokończyła jeszcze pieśni, gdy nagle Irena porywając się z otomany, zawołała: Dość, dość już Ksenio! Nie kończ na Boga! bo żal me serce rozsądzi! Żywo stanęły mi przed oczyma ubiegłe doby szczęśliwej mojej swobody, i porywają mnie gwałtownie ku sobie, jak potok, jak otchłań, jak niebo! Czuje, że się ich pociągowi oprzeć nie zdołam! że... za chwilę swobody, za jeden powiew rodzinnego pola, za jedną nutę gwarów puszczy Mołdawii, jej cienistych wąwozów i modrych strumieni, dałabym... dałabym... Wieczność! Zbawienie!... Cóż więcej dać można? Co? Nie marzę ja o rozkoszy i blasku. Świetność i wesele dawnego bytu zatoneły już bezpowrotnie w topieli czasów i zdarzeń. Lecz dopuść Boże miłosierny! ażebym choć raz jeden przed śmiercią mogła zapłakać na zwaliskach, krwią ojca, matki, braci moich poświęconych! ażebym na miejscu ich przedwczesnego zgonu, uderzyła czołem hołdownie, i wyłkała moją rzewną, sierocą modlitwę, za nich, o! Boże! i jeszcze za jednego, co padł ofiarą tego samego piorunu, który szczęście moje doczesne rozgromił!

Mówiąc to Irena opuściła się na kolana, twarz rękami zakryła i głośno zapałała. Zoe i Ksenia płakały także przy niej i modliły się. Niespodziane, bo niezwykle o tak spóźnionej porze nadejście pana Chamca, przerwało tę rzewną i uroczystą scenę.

Powstała Irena, Zoe i Ksenia powstały także. Pomimo łez, godła boleści, niewyschłych jeszcze na ich twarzy, powitały zacnego starca z uśmiechem zadowolenia, nie kryjąc wszakże przed nim, że widzieć go po północy wcale się nie spodziewały.

— Dostojna pani! — rzekł Chamiec głosem wzruszonym do Ireny, odwołując ją na stronę. — Przy-

chodzę na małą chwilkę, i to ukradkiem, z obawy żeby się o tem w zamku nie dowiedziano, co mogłoby wystawić na szwank niechybny interes, jaki mnie tu sprawadza. Natura tego interesu wielka i święta. Rzecz idzie o twój honor i o moją uczciwość. Tyczy się więc ona, jak widzisz dostojna pani, nas obojga, jest nam spólną, i jako taka, potrzebuje ciasnego przymierza naszych usiłowań.

— Gotowam na wszystko, cokolwiekbyście mi poradzili — przemówiła Irena z wylaniem szacunku i wiary.

— Dzięki ci pani za ufność. Niegodnym onej nie byłem i nie będę. Racz mi teraz powiedzieć szczerze, ale tylko szczerze, czy zgodziłabyś się na tajemną ucieczkę z zamku?

— O! nie powahałabym się ani chwili! Lecz, panie kochany... ja nie wiem prawdziwie... nie rozumiem...

— Rzecz bardzo prosta. Tobie tu pani pozostać nie można i nie należy. Namietność wyuzdana, żadnego względu nieuznająca, grzeszna i haniebna, czyha na cześć twoją! pokojowi całej twej przyszłości zagraża! Uciekaj!

— Nie traćmyż chwili! — nie traćmy! — rzekła gorączkowo Irena porywając dłoń sędziwego starca. Wszystko zamiarowi sprzyja. Noc ciemna — zamek uśpiony. Nie dosłyszają — nie dostrzegają. Zanim się opatrzą, daleko będę, daleko!

— Nie! dostojna pani — ciągnął dalej Chamiec. — Pojmuję skwapliwość twoją, ale koniecznem jest, żebyś ją w sobie poskromiła. Ani dziś! ani jutro nawet! Ob-

myślałem ja gruntownie, jak, kiedy i dokąd uciekać mamy..

— Mamy? — pytała Irena zdziwiona.

— Nieinaczej! Alboż myślałaś, że cię pani opuszczę? Obiecałem umierającemu przyjacielowi (który był razem i twoim najżyczliwszym przyjacielem), że w każdej złej przygodzie znajdziesz mnie zawsze przy sobie, i święcie tej obietnicy dotrzymam! Byłoby to sumieniem, żebym cię puścił samą jedną, na ryzyko ślepego trafu, bez środków, obrony i rady? W kraju obcym każdy manowiec zagadką — a każdy człowiek głuchoniemym. Tamten w obłęd wprowadzi, a ten ani nauczy, ani dopomoże. Tyś biedna, za to stary Chamiec ma siaki taki kapitałik, i ten na usługi twoje do ostatniego szeląga. Zresztą, konie gotowe, broń przyrządzona, plan ucieczki zdrowo, zdaje się, obmyślany. Zamilcz o niej pani do czasu przed swojemi odaliskami. Język, narzędziem zdrady; źle zatem robi ten, co ważną tajemnicę cudzemu językowi powierza. Dla wojewody bądź pani uprzejmą, ile ci godność twa osobista pozwoli. Nie rozjadrzaj go. Udawaj nawet... przychylność... wesele — ale w mierze należytej, żeby w nim nie obudzić podejrzenia. Pojutrze wypada dwudziesty dziewiąty czerwca; dzień apostołów Piotra i Pawła. Będzie ruch wielki w zamku z powodu imienin wojewody. Ruch ten i zamieszanie trwać będą do późnej nocy. Uczty i pijatyka, usposobią wszystkich do snu głębokiego...

Rozumiem! rozumiem! — przemówiła Irena z radośnem wzruszeniem. — O! Boże! daj dożyć tej chwili i pobłogosław jej!

— Amen! — odpowiedział starzec.

A kiedy odchodził dodał:

— Obaczmy się nie pierwaj, aż w noc dwudzie-

stego dziewiątego czerwca. Hasło: „Przytomność! Miłczenie i Wiara w Boga!”

Po odejściu pana Chamca, Irena udała wielkie znużenie; kazała rozebrać siebie odaliskom do spoczynku, i zaleciła im żeby to samo uczyniły. Gdy pozostała sama, zaniechała przybranej roli obojętności i pokoju, puściwszy wodze wzruszeniu, jakiego doznawała; wybiegła z pościeli, stanęła przy otwartem oknie, i owiana balsamicznymi powiewy przestrzeni, pogrążyła się całem jestestwem swoim w morzu wspomnień i dum, co jej przeszłość i przyszłość doczesną zalegało. Jakoż uleciała ona duszą z ciasnej komnaty, co jej ciało więziła, na przestwór niczem nieokreślonej swobody uczucia. Uleciała w te doby i miejsca, co jej pierwszy uśmiech i łzę najpierwszą widziały; w te miejsca, gdzie żyć zaczęła i żyć przestała niestety! dla marnych złudzeń pokoju, dla znikomych nadziei szczęścia! Na gruzach rodzinnego zamku, na mogile najdroższych sercu istot, spoczął duch Ireny z modlitwą swoją i żalem. Potem uniósł się w dal przyszłości, szukając rozwiązania jej ciemnej i złowrogiej zagadki. I cóż tam napotkał? Sieroctwo! pustkowienie! i samotną mogiłę, bez łzy przychylnego żalu, bez datku zadusznej modlitwy! Jęk bolesny wyrwał się z piersi Ireny. Nigdy się nie czuła tak opuszczoną! tak nieszczęśliwą! Padła na kolana, załamała dłonie i zapłakała do Boga.

In vili veste

*Nemo tractat honeste. *)*

ROZDZIAŁ II.

— Nadszedł наконец — ciągnął dalej Michał Grabowski — dzień dwudziestego dziewiątego czerwca. Wystrójony od parady, ożywił się zamek zawieprzycki bieganiną, łoskotem i gwarem. W świątecznej barwie domu Miączyńskich, zajęła liczna zamkowa służba swoje obowiązkowe stanowiska; — kozacy zaporożcy, u wjazdowej bramy, z naszym znajomym Sawą na czele; barwiste pajuki, u wchodowego przedsienia; wielkoludy hajduki, srebrem suto szamerowane, u podwoi paradnej sali; giermki, w malowniczym stroju paziów Henryka IV., ze szpadką u boku i w szerokim kapeluszu ze strusim pióropuszem, u pańskiego gabinetu; kozaczki teorbanieści, w przedpokoju. Każdy z powyższych oddziałów służby miał swego odrębnego zwierzchnika; nad wszystkimi zaś stał najwyżej hierarchicznie, pan marszałek dworu, Sylwester Gaudenty Kleofas, trzech imion Witwicki herbu Sas, miecznikowicz oszmiański, bundziuczny szlachcic, błogosławionej tuszy, atletycznej postawy i ogromnych wąsów pod nosem stosownego formatu. Butnie i wspaniale nosił się, w dnie galowe zwłascza, dostojny pan Sylwester, pomny zapewne przysłówia:

Kontusz z sajety werdragonowy, z kutasy złotemi i szamerunkiem. Żupan z najdroższego atlasu jaskrawej barwy. Spinka z karbunkulem na szyi. Pas jedwabny przetykany złotem, z taką frędzlą po końcach. Karabela w jaszczur oprawna, z pozłocistą rękojeścią. Żółte safianowe buty ze srebrnymi podkówki. Atlasowa rogatywka na bakier, po junacku — a przytem, dzielna fantazja, bycza mina, wielki animusz do korda, nie mniejszy do kufła — któż nie przyzna, pytam, że od kiedy córa Chaosu, ziemia nasza (nieodrodne dziecko takiego ojca), zamiast siedzieć spokojnie, rozpoczęła swój dziwaczny taniec naokoło słońca (jeżeli jej nie spotwarzył Kopernik), nie widziano na żadnym dworze pańskim, ba nawet królewskim, ani cesarskim, takiego marszałka, jak pan Sylwester. Zręczniejszym dworakiem być od niego niepodobna. Nie miał potrzeby suszyć sobie głowy pan wojewoda, gdy mu wypadało wystąpić ze wspaniałą uczcią *in gratiam* czegoś, lub kogoś; albo z huczną fetą z dodatkiem pyrotechnicznych pukadełek i lampowego oświecenia. Pan Sylwester wszystko bywało obmyśli i urządzi *arte*, ku wielkiemu zadowoleniu swego pryncypała i całej kompanii. I gości usadowi według dystynkcji tytułów i urzędów, i komplement wykwinny każdemu wypali, i do jadła zachęci, i do kufła skusi. Lubił go wojewoda; lubili domownicy, lubili i słudzy; a jednak bali się go jak diabła, bo jak huknie bywało, albo nastawi marsa, to aż im febra po skórze kłusuje, i zęby kłapią ze strachu. A jednak był to człowiek najlepszego serca i najszlachetniejszych zasad. Nikogo nie zawiódł, nie osławił, nie pokrzywdził. W chwilach swobodnych lubił on zajrzeć czasami do książeczki, *va-*

*) W lichej odzieży nikt człowieka nie szanuje.

care Musis, jak się wyrażał. Szczególniejszego doznawały u niego faworu: „*Myślistwo z ogary*“ przez Jana hr. Ostroroga, wojewodę poznańskiego; Korneliusza Henryka Agryppy *De faeminae sexus praecellentia* *), ostry paszkwil przeciw płci pięknej; a także rozprawa edukacyjna, wielce oryginalna Roterдамczyka „*De civilitate morum puerilium*“ **) dla użytku paniątek książęcych i dygnitarskich, w której im zaleca z naciskiem, żeby utarłszy nos palcami, nie zapominali płód takowej operacji rozetrzeć nogą na podłodze. Nie była to więc, jak się pokazuje, wysoka inteligencja. ten pan Sylwester; za to w potocznem życiu okazywał wiele zdrowego sądu i taktu. Pana Chamca poważał głęboko. Nad losem Ireny szczerze ubolewał; i on to był, nie kto inny, tem argusowem okiem, które doszedziło tajnie zamiarów erotycznych wojewody, i Chamca o niebezpieczeństwie grożącym Irenie ostrzegło. Nie mogąc obmyśleć innego środka ratunku dla biednej niewolnicy, Chamec i Witwicki postanowili wykraść ją z zamku i uwieść w miejsce bezpieczne, zkądby ją później przewieziono do Mołdawii. Stało się więc na tem, że Chamec pojedzie z nią do małego folwarczku, który posiadał Witwicki na Rusi, w głuchej i ustronnej miejscowości, niedostępnej ani podejrzeniu wojewody, ani jego poszukiwaniu, i pozostanie tam z Ireną dopóty, aż się wojewoda uspokoi i wszelkiej *vendetty* zaniecha. Działając w tej myśli, marszałek postanowił użyć wszelkich sprężyn, zawisłych od niego, żeby dniu święta swego pryncypała godnie odpowiedzieć gustem, wystawą, tudzież obfitością jadła i większą jeszcze napoju. Chciał on tym sposobem obezwładnić przytomność uczujących, omglić ich umysł i otumanić do stopnia senności i idjotyzmu. Tak samo

*) O wyższości płci niewieściej.

**) O grzeczności obyczajów chłopięcych.

zamierzył postąpić z niższą sferą mieszkańców zamku, ba, nawet z najniższą. Podczas kiedy na pańskim stole zastawiano na blatach pozłocistych pasztety, bażanty i marcepany, a srebrne puławy tryskały marmazją i tokajem, w przyległej sali z paręset szlachty miejscowej i przybyłej, zajaśniało zawzięcie bigos, wereszczakę, pieczenie sarnie, łosie i szynki, a dzbany palonego krupniczku, trojniczku i piwa, zalewały spragnione gardła. Kiedy uczującym dygnitarzom śpiewali dla rozrywki na przemian zamkowi menestrel: Węgier, wielce popularną piosnkę *Hol lakik kend hugom aszony*; Mołdavian rzewną legendę *Jo andam ne Chotine*; kozak torbanista dumkę o *Serpiaże*, *Nalewajce*, *Sahajdacznym*; szlachta tego podchmielona beczała chórem *Kurdesza, czumadryche*, albo zawodziła w cześć wojewody solenizanta, dawną hulacką piosnkę:

To to pan! to to pan! to dobrodziej nasz!

A my jego słudzy,

Pijmy, jak drudzy!

To to pan! to to pan! to dobrodziej nasz!

I panom i szlachcie kurzyły czupryny jak kominy.

Wyższej i niższej sfery mózgownice, jednakiej ulegając kolei, omgliły się dygestyjnymi i wiwatowemi gazy. Wypito trzykrotnie zdrowie dostojnego solenizanta. Wypito kolejno zdrowia wszystkich obecnych panów starostów, kasztelanów, wojewodów etc. Moździerze były gęsto, aż się szyby zamkowe trzęsły. Wszystkie trąby, waltornie i puzony wojewodzińskiej kapeli dęły z takim zapalem swoje homagialne fanfary, że aż połowa gości, mniej silnemi akustycznymi organy uposażonych, ogłuchła.

— Daj go katu! to różną! — wołał uradowany solenizant, któremu rżęsiście libacje twarz pasem zafarbowwały. — Dobrze! dobrze! mości panowie! rżnijcie,

choćby wasze miedne dudy miało rozsadzić razem z wami!

Tak samo, z niektórymi odmiany, działo się i na podwórku zamkowym. Najniższa sfera służebna hulała tam na potęgę przy długich stołach, dźwigających misy gotowanego mięsiwa, pierogów i kaszy. Postarał się przezorny pan Sylwester, żeby tam i na wiszniaku, i okowicie i piwie nie zbywało. Znikały konwie i dzbany w bezdennej otchłani plebejskiego gardła. Naiwne krotchwile prostaczek werwy, cyniczne nagością swoją koncepta, piosnki bezczelne, godne lupanaru, krążyły gęsto pośród tej rozognionej zgrai opilców. W miarę upływających godzin wznagało się stopniowo upojenie, wyższej, niższej i najniższej sfery uczujących. Niejeden z przedostojnych dygnitarzy, członków polskiego senatu, chrapał sobie szczęśliwie przy stole, albo mruczał słowa bez związku pod nosem. Niejeden z braci szlachty, obezwładniony trunkiem stoczył się kiej kłoda pod trapezę i ciął szpaka w najlepsze. Działo się też i na podwórku zamkowym nieinaczej. Coraz słabiej huczała ogólna uczta. Coraz rzadziej uderzał móżdziej wiatory, i odzywała się fanfara trąby w asystencji puzonu i waltorni. Gdy noc zapadła, nie było już znaku życia w zamku, nie było ani jednej trzeźwej głowy. Złem się jednak wyraził, albowiem były tam jeszcze trzeźwe głowy. Chamiec i Witwicki, z których pierwszy nic zgoła nie pił, a drugi bardzo mało, wypatrywali niespokojnie chwili stanowczej, żeby myśl szlachetną oswobodzenia Ireny skutecznie. Poczciwy Sawa, należący także do tajemnego związku, krzątał się czynnie około przyborów do drogi. Służba stajenna była pijana. Sam przeto Sawa okulbaczył konie, napełnił owsem sakwy, zawiesił po sporej wiązce siana przy siodłach. Północ uderzyła na baszcie. Spiskowi byli w pogotowiu. Czemuż

zwlekali? Czemu? — bo wojewoda czuwał jeszcze. Światło lyskało w jego komnacie. Widać było nawet cień jego postaci przesuwający się po szybach niezawieszonego okna. Zkąd pochodziło, że go trud całodzienny nie podołał? że go nie pokonały puławy? On nie spał rzeczywiście, a co większa, nie pragnął snu, i wcale o nim nie myślał. Podniecona trunkiem głowa wicherzyła się rojem pomysłów i wyobrażeń gorączkowych. Ogniem namiętnych szarów płonąła krew rozkołysana. Nie serce, nie! bo go nie miał, lecz krew i głowa tworzyły w jego wyobraźni ułudne mury, ponętne obrazy, tysiączne formy uciechy, zachwyty i rozkoszy, pośród których, gdyby w edeńskim obłoku, z pieśnią i uśmiechem w ustach, migała postać uroczą Ireny, nęcąc go żrenicą, powołując gestem. Im się więcej w nią wpatrywał, tem silniej potrzasała nim namiętność, tem gwałtowniej miotał szal lubieżny. Noc, samotność, milczenie, potęgowały coraz bardziej ten stan cielesnej przewagi nad rozumem i sumieniem. A jednak walczył z sobą. Walczył, nie dla tego, że go czyn zdrożny odstręczał, lecz widział niepodobieństwo popełnienia tego, bez jawnego gwałtu, którego rozgłos okryłby hańbą imię jego, dotąd poważane. Gdy się tak miotał z sobą chodząc po komnacie, świeca dopaliła się tymczasem i światło zagasło. Ciemność otoczyła wojewodę. Czatujący na podwórzu spiskowi, Chamiec, Witwicki i Sawa, myśląc, że się wojewoda udał na spoczynek i sam światło zgasił, pośpieszyli zająć swoje umówione stanowiska. Podczas, kiedy Sawa poszedł do stajni po konie, a Chamiec do Ireny, Witwicki pozostał przy bramie, gotowy kluczem pokręcić. Niestety chciało, żeby okna sypialni wojewody wychodziły wprost na bramę, a że dla oka oswójonego z mrokiem wewnętrznym mrok zewnętrzny był stosunkowo mniej ciemnym, a więc i niedostatecznym

dla pokrycia zupełnego przedmiotów, nie trudno było wojewodzie dostrzedz majaczącą postać ludzką u bramy, chociaż, kto był ów człowiek, rozpoznać nie mógł. Podejrzliwy i ciekawy wpił się do okna i zajął cały badaniem zagadki.

Kiedy się to działo, Chamiec wchodził tymczasem do komnaty Ireny, zwiastunem tak niecierpliwie oczekiwanej swobody. Zastał ją u okna, w krótkim stroju mołdawskich górali, w którym się zwykle ukazywała konno na łowach, obok wojewody. Barwa onego była ciemna, krój zgrabny, obcisły, uwydatniający giętkość i strzelistość kibici. Za pasem, co jej stan ciasno otulał, sterczał kindżał lezgiński, nieodstępny Ireny towarzysz. Twarz miała bladą, oczy smutne, oblicze zamęt wewnętrzny wyrażające. Zdumiał się dostojny starzec, gdy zamiast radości, której był pewnym, ujrzał w niej cechy wrażeń przeciwnych. Przypisał to uroczystości chwili, obawie niepowodzenia, fizycznej niemocy наконец, długiem cierpieniem duszy wywołanej, którą, spodziewał się, że ruch, powietrze i błogie uczucie swobody, potrafią przezwyciężyć. Zoe i Ksenia, po hellińsku w codzienne swoje szaty ubrane, stały przy swojej pani, rzeźwe u kresu niewoli i wesołe.

— Co z tobą dostojna pani? — zapytał Chamiec.
— Czyliż się wita w taki sposób zwiastuna swobody?

— Witam go ze czcią i z wdzięcznem uznaniem dobrodziejstwa, jakie mi wyświadcza — odpowiedziała Irena ciskając dłoń starca. — Zresztą, nic mi nie jest. Nic nie dolega. Dusza tylko moja skupia się w sobie, powołuje do siebie wszystkie zasoby sił swoich, jak się to zwykle dzieje, w obec stanowczej i niebezpiecznej chwili.

— Stanowczą jest ta chwila, nie przeczę — prze-

mówił Chamiec. — Co do niebezpieczeństwa... w Bogu nadzieja! Mniej go tam dokąd cię prowadzę, niżeli tu. Śpieszmy więc! śpieszmy!

Irena ukłękła. Uderzyła kornie czołem z pobożną intencją. Zmówiła w myśli krótką i rzewną modlitwę. Poczem powstawszy rzekła:

— Idźmy!

Poszli więc. Zbiegłszy skwapliwie po schodach, stanęli szczęśliwie na podwórzu. Sawa, który przez cały ten czas stał na czatach przy stajni, skoro ich zoczył, wyprowadził natychmiast cztery konie w pełnym podróżnym rynsztunku.

Wszystko zdawało się sprzyjać przedsięwzięciu. Jeszcze chwil parę... o! czemuś ich nie dał Boże! Już miała Irena dosiąść konia — krok tylko jeden pozostał — gdy nagle rozległ się rozruch piekielny po zamku. Nawpół senna, nawpół naga, zła, że ją zbudzono brutalnie, zaogniona, bo z niej trunek nie wyparował zupełnie, wypadła z podwoi zamkowych zgryza służalców rozmaitego cechu i otoczyła zbiegów. Wściekły, rozmamany, plugawy pianą dzikiej zwierzęcości, co mu z ust tryskała, sam wojewoda przewodził tej hałastrze, zanosząc się od krzyku obelgi i złorzeczenia, co ryk rozjuszonego tygrysa przypominał. Skoro ujrzał Irenę, rzucił się na nią obces i łącząc najdotkliwszymi wyrazami, z prostaczego słownika pożyczonemi, wołał do swoich:

— A bierzcie no tę awanturnicę! Ręczę, że mnie okradła i chciała umknąć. Bierzcie ją! na Belzebuba! bo wam głowy pozmiatam jak makówki!

Pchnęła się tłuszcza posłuszna — ale już pomiędzy Ireną i nią stał Chamiec w całej powadze cnoty, zasługi i wieku. Rzucając na tłum niewolniczy okiem wyzwania i pogardy, zawołał głosem piersi młodzieńczej:

— Precz ztąd!

Stanęli pomieszani służalce, korni jak dzieci, w obec majestatycznej postaci starca, spełniającego w tej chwili posłannictwo opieki i miłosierdzia.

Oniemiał zrazu wojewoda od podziwu i gniewu. Patrzył z jakimś złowieszczym wyrazem na Chamca, a drgające usta i zaognione oczy świadczyły jasno o nieubłaganej jego dlań nienawiści. Miał już wybuchnąć, gdy Chamiec przeciągnawszy rękę nad głową Ireny, na znak opieki, przemówił doń surowo:

— Grzech i hańba spoczęły na tobie wojewodo! Grzech — boś obraził Boga odmawiając względu i miłosierdzia tej, której los doczesny on tobie powierzył! Hańba — boś się nie powahał oczernić ją przed ludźmi bezczelnie, nazywając awanturnicą i złodziejką, chociaż sam wiesz dobrze, że nią nie jest. Nie ona przewiniła tobie, lecz tyś winowajcą przed nią i przestępcą! Tyś panem milionów — potężnym w narodzie świetnością imienia i wpływów — a ona biedna, nieszczęśliwa, sierota, nic nie posiadająca, nic zgoła! kromie niewinności i dobrej sławy! nie pragnąca niczego innego, kromie swej drogiej, nieocenionej swobody. I tyś miał serce więzić ją, dla celów ohydnych występnej zalotności! Tyś miał serce, targnąć się na jej skarb najdroższy i jedy — na jej niewinność przed ludźmi, sumieniem i Bogiem! Zaślepiony namiętnością i pychą, sam nie wiedziałes jakiej się dopuszczałeś zbrodni! jaki srom sobie i wyrzut sumienia zgotowałeś! Lecz żeś był niedostępny dobrej radzie, postanowiłem ratować cześć twoją, pomimo ciebie. Postanowiłem uwieść księżniczkę Irenę z tych murów, żeby ci oszczędzić wstydu i Boskiej kary! Bóg nie dopuścił spełnić się dobremu dziełu. Cóż

robić? Niegodnym widać posłannictwa, jakim oblekła mnie wola twojego dostojnego rodzica i któremu się z całym zapalem poświęciłem. Sam je więc dokonaj wojewodo! Sam! Rozumiesz? Każ bramy otworzyć — i wróć Irenie swobodę!

Śmiech ostry, złowieszczy, pełny szyderczego wyrazu, wyrwał się z piersi wojewody. Poczem odezwał się w ten sposób:

— Waszeć deklamujesz jak z kazalnicy. Za nic Skarga i Birkowski! Szkoda tylko, żeś natrafił tym razem na takiego, któremu nieznośne perory i który nie cierpi żeby mu dawano jakieś admonicje w jego własnym domu i krzyżowano jego wolę, jakiejby nie była natury. Ja tu pan, nie kto inny! Oprócz mnie jednego, nikt tu głosu nie ma! Rozumie waszeć? Uczynię wszakże według żądania waszeci. Każę bramy na oścież otworzyć, żeby ci było przestronniej wynieść się ztąd *eo instante*, z własną przeznaczoną osobą i ze wszystkimi manatkami, gratami, gracikami do waszeci należąciami. Świat nie zeszedł się klinem. Miejsca w nim dosyć. Ciasno waszeci nie będzie! Co do tej przedostojnej i przezacnej panienki, której tajnym konszachtom z waszecią tak się tej nocy niefortunnie powiodło, nadto dbam o dobrą sławę jej niepokalanego dziewictwa, a także i o splendor imienia, żebym mógł jej pozwolić wałęsać się z waszmością. Byłoby to, jak powiadają, *contra bonos mores* *). Nieprawdaż? *Tandem* tedy, wolna dla waszeci droga na cztery wiatry — lecz ona zostanie *tu!* — *tu!* słyszysz waszeć? Zostanie... dopóki jej sam nie... wypędzę!

Po tem złośliwym wystąpieniu, któremu śmiech

*) Przeciw dobrym obyczajom.

piekielnej ironii towarzyszył, wojewoda zbliżył się do Ireny w bolesnem zamyśleniu pogrążonej, i podając jej rękę z szyderczą galanterją, zawołał:

— *Titulo* grzecznego gospodarza, pragnę mieć honor instalowania pani w nowem pomieszkaniu, daleko dogodniejszym od poprzedniego, z powodu bezpieczeństwa od wykradzenia, jakie przedstawia. Proszę pani z sobą.

Nie zauważył wojewoda, że podczas kiedy mówił, Irena podniosła prędko rękę do ust, a gdy ją znowu opuściła, twarz jej blada i surowa, opromieniła się nagle uśmiechem tryumfu i pokoju. Nikt tego nie dostrzegł, kromie najżyczliwszego przyjaciela, jaki jej pozostał na świecie — kromie zacnego Chamca. Pojął on straszliwe znaczenie gestu Ireny. Westchnął głęboko. Zapłakał, a dłoń pobożna zrobiła znak krzyża świętego, dopełniając wewnętrznej intencji, jaką ta chwila natchnęła duszę jego. Na wezwanie wojewody żeby mu do nowego mieszkania swego towarzyszyła, Irena odpowiedziała uroczyście i spokojnie:

— Idę panie! Idę z radością, do nowego mieszkania mojego, które będzie ostatniem mojem mieszkaniem.

— To zależy od pani! — rzekł z szyderczą zalotnością wojewoda, nie odejrzujący głębszego znaczenia w jej słowach.

— Już nie zależy! — ciągnęła dalej Irena. — I gdyby nawet zależało, nie chciałabym zamienić je na inne. Cicho, spokojnie będzie mi tam. Natrętna doczesność, co mi tyle chwil życia zepsuła, tyle mar błogich spłoszyła, nie wniknie tam do mnie ze swoją podłością i przywarą. Przed tobą nawet panie, coś nawykł żeby

twej woli wszystko czołem biło, przed tobą nawet, powtarzam, nie roztworzą się podwoje moje...

— Każe je wysadzić! — zawołał gniewnie wojewoda.

Ostry, nerwowy śmiech Ireny, był mu odpowiedzią. Śmiech ten, wpił się stalowym grotem w duszę dumnego możnowładcy. Śmiech ten który był niczem innem, jeno pożegnalnem hasłem ulatującego życia, ostatniem złorzeczeniem ludziom i światu, przejął go zdumieniem i zgrozą. Słowo mu zamarło na ustach. Kroki skamieniały. Gdy spojrzał na twarz Ireny, ruchomemi blaski pochodni oświeconą, wyczytał w niej to, na widok czego struchlał aż do szpiku kości swoich. Wyczytał to, od czego namietność jego zgasła od razu, jak lampa, na którą wionął wiatr grobów, a przebudziło się sumienie. Wyczytał śmierć! śmierć nieubłagana, śmierć, której był przyczyną! On jeden, nie kto inny! I poczuł w tej chwili, jak sumienie pochwyciło go w swe szpony!.. jak mu je w serce zapuściło..

— Ireno! — wykrzyknął odchodząc prawie od siebie. — Co z tobą? Tyś blada!.. sina!..

Zoe, Ksenia, Chamiec, sam wojewoda, podbiegli — porwali ją, chwiejącą się, w swe ręce. Żal i przerażenie jęły w ich piersiach — trysnęły łzami w oczach.

— Lekarza! lekarza! tylko prędko! piorunem! żeby tu był zaraz! w mgnieniu oka! Słyszycie! — krzyknął wojewoda odchodząc od siebie.

Kilku dopadło koni i poleciało.

— Nie trzeba!.. zapóźno!.. nie chcę!.. — przemówiła Irena, słabym, urywanym głosem, opuszczając się coraz więcej na ręce, które ją podtrzymywały.

Poczem zwróciwszy się do Chamca, rzekła:

piekielnej ironii towarzyszył, wojewoda zbliżył się do Ireny w bolesnem zamyśleniu pogrążonej, i podając jej rękę z szyderczą galanterją, zawołał:

— *Titulo* grzecznego gospodarza, pragnę mieć honor instalowania pani w nowem pomieszkaniu, daleko dogodniejszym od poprzedniego, z powodu bezpieczeństwa od wykradzenia, jakie przedstawia. Proszę pani z sobą.

Nie zauważył wojewoda, że podczas kiedy mówił, Irena podniosła prędko rękę do ust, a gdy ją znowu opuściła, twarz jej blada i surowa, opromieniła się nagle uśmiechem tryumfu i pokoju. Nikt tego nie dostrzegł, kromie najżyczliwszego przyjaciela, jaki jej pozostał na świecie — kromie zacnego Chamca. Pojął on straszliwe znaczenie gestu Ireny. Westchnął głęboko. Zapłakał, a dłoń pobożna zrobiła znak krzyża świętego, dopełniając wewnętrznej intencji, jaką ta chwila natchnęła duszę jego. Na wezwanie wojewody żeby mu do nowego mieszkania swego towarzyszyła, Irena odpowiedziała uroczyście i spokojnie:

— Idę panie! Idę z radością, do nowego mieszkania mojego, które będzie ostatniem mojem mieszkaniem.

— To zależy od pani! — rzekł z szyderczą zalotnością wojewoda, nie odejrzujący głębszego znaczenia w jej słowach.

— Już nie zależy! — ciągnęła dalej Irena. — I gdyby nawet zależało, nie chciałabym zamienić je na inne. Cicho, spokojnie będzie mi tam. Natrętna doczesność, co mi tyle chwil życia zepsuła, tyle mar błogich spłoszyła, nie wnika tam do mnie ze swoją podłością i przywarą. Przed tobą nawet panie, coś nawykł żeby

twej woli wszystko czołem biło, przed tobą nawet, powtarzam, nie roztworzą się podwoje moje...

— Każe je wysadzić! — zawołał gniewnie wojewoda.

Ostry, nerwowy śmiech Ireny, był mu odpowiedzią. Śmiech ten, wpił się stalowym grotem w duszę dumnego możnowładcy. Śmiech ten który był niczem innem, jeno pożegnalnem hasłem ulatującego życia, ostatniem złorzeczeniem ludziom i światu, przejął go zdumieniem i zgrozą. Słowo mu zamarło na ustach. Kroki skamieniały. Gdy spojrzał na twarz Ireny, ruchomemi blaski pochodni oświeconą, wyczytał w niej to, na widok czego struchlał aż do szpiku kości swoich. Wyczytał to, od czego namiętność jego zgasła od razu, jak lampa, na którą wionął wiatr grobów, a przebudziło się sumienie. Wyczytał śmierć! śmierć nieubłagana, śmierć, której był przyczyną! On jeden, nie kto inny! I poczuł w tej chwili, jak sumienie pochwyciło go w swe szpony!.. jak mu je w serce zapuściło..

— Ireno! — wykrzyknął odchodząc prawie od siebie. — Co z tobą? Tyś blada!.. sina!..

Zoe, Ksenia, Chamiec, sam wojewoda, podbiegli — porwali ją, chwiejącą się, w swe ręce. Żal i przerażenie jęły w ich piersiach — trysnęły łzami w oczach.

— Lekarza! lekarza! tylko prędko! piorunem! żeby tu był zaraz! w mgnieniu oka! Słyszycie! — krzyknął wojewoda odchodząc od siebie.

Kilku dopadło koni i poleciało.

— Nie trzeba!.. zapóźno!.. nie chcę!.. — przemówiła Irena, słabym, urywanym głosem, opuszczając się coraz więcej na ręce, które ją podtrzymywały.

Poczem zwróciwszy się do Chamca, rzekła:

— Pojąłeś mnie... musiałam.. Tam... będę... szczęśliwszą. Ojciec... matka, bracia... On!.. tam... wszyscy i wszystko! Przyjacielu!.. bądź błogosławiony!.. Módl się za..., duszę... moją... Ciało... moje... w ojczyźnie... Umieram!

— Panie! przyjm tę czystą i rzewną duszę! — przemówił starzec, wznosząc ku niebu oczy we łzach tonące. Przyjm ją i pobłogosław jej, albowiem wiele ucierpiała niewinnie i ziemia nie była jej godną!

Tłum oniemiał wobec tej wielkiej sceny konania, odbywającej się na tle ponurem nocy, przy dymnym i złowrogim blasku pochodni, pośród łkania piersi niewieścich i głuchego milczenia męskiego żalu — lub zgrozy.

Opadła głowa — wstrzymał się oddech — zamierchły oczy — stanęło serce.

— Skonała! — rzekł Chamiec do wojewody z wyrzutem i żalem. — Bóg dał jej lepsze mieszkanie, od tego, jakieś dla niej przeznaczył! Podwoje tego mieszkania nie otworzą się nigdy przed tobą, jak ci to powiedziała Irena, albowiem nie jesteś godzien przestąpić jego progu.

Wojewoda nie odpowiedział. Pochylił oblicze — i milczał.

— No, panie Michale — rzekł cny gospodarz, ekscentryczny potomek Mokosiejów — naprawiłeś nam takich rzeczy, o jakich, klęę się na tę łysinę co wam na mojej mózgownicy przyświeca! nie miałem nawet wyobrażenia. — Żeby poważny dygnitarz, członek polskiego senatu, mógł się rozmiłować, jak młokos z nieoschłym mlekiem pod nosem, w jakiejś tam zabłąkanej Dulcynei — żeby ta zabłąkana Dulcynea

przeniosła śmierć dobrowolną nad splendory i rozkosze, jakimi by ją ów magnat, w zamian za trochę faworu otoczył — też to są rzeczy niesłychane! przechodzące pojęcie!

— Bywają prawdy nieprawdopodobne na świecie, i ta właśnie do ich liczby należy — zakonkludował Michał Grabowski, przechadzając się ruchawie po kominacie.

— Co do mnie — ozwał się Castro de la Cerda, z olimpijskiego obłoku sułtańskiej nikocjany, nie widzę nic nadzwyczajnego, ani w erotycznych zachciankach wojewody, ani też w szlachetnem samobójstwie Ireny. Na to piękna kobieta żeby się podobała, — na to mężczyzna, żeby ją upodobał — i gdyby wojewoda nie posunął był swej namiętności aż do tyraństwa i gwałtu, przyklasnąłbym mu. Śmierć Ireny nie wychodzi także z normalnego porządku rzeczy. — Jeżeli są na świecie zalotnice, i tak zwane kamelje, nie idzie zatem żeby nie było kobiet hartu i cnoty, któreby ceniąc wyżej, na wzór Ireny, swój honor od życia, postąpiły inaczej.

— Odpowiem na twój panegiryk, godny *Legowé*'go, maleńką formułką łacińską (o kobiecie), w niemyłość której, wierzę, jak żydzi w Mojżesza! — przemówił pan Stanisław przywoławszy cały zasób ironii do twarzy i głosu. — Jeżeliś ciekawy, to ci ją wyrecetuję. — Oto ona:

Quid levius pluma?

Pulvis!

Quid pulvere?

Ventus!

Quid vento?

Mulier!

Quid muliere?
Nihil!

Alboż nie prawda?

— Gra słów, nic więcej! — zawołał La Cerda. — Lekki podmuch dowcipu nic nie dowodzący — lżejszy, od pióra, pyłu, wiatru, i tej kobiety którą miał na celu; nie sędzę bowiem żeby się autor owej formułki wyraził w taki sposób o kobiecie zbiorowej. — Wartoby go było zamknąć do Bonifratrów.

Na tym punkcie stała rozmowa, gdy coś zątniało na podwórzu.

— Koń wrył się u ganku — zauważył Grabowski. — Pewnie kozak z listem.

— Wybiegł pan Stanisław do sieni, i wnet posłaliśmy witanie, cmokanie, pytania i radośne eksklamacje p. Stanisława. — Wkrótce skrzypnęły na swych drewnianych osiach archaiczne podwoje, i wszedł rozweselony gospodarz, ciągnąc za sobą Lipowczyńskiego.

Pod tem nazwiskiem znany był na Ukrainie i po za Ukrainą człowiek, lat prawie 40tu, średniego wzrostu, ani brzydki ani piękny, oryginalny nie wiedząc o tem, i wielu niemiły, bo się być nim dla każdego nie starał. — Ród jego sięgał świetnych epok dziejowych kraju; a chociaż podupadły w swej zamożności, i zredukowany, w jego osobie, do liczby jednego li tylko, ostatniego przedstawiciela nazwiska i herbu, czystym pozostał, w obec siebie, rodaków, i historii. — Lipowczyński był człowiekiem kontemplacji i rozmyślenia. — Wpatrywał się, badał, gruntował. — Codzienną zdobyczą, jakiegoś wniosku, wzbogacał siebie, i zasmucał. — To go doprowadziło do zubożenia, ironii, i pogardy; a następnie i do melancholji. — Naturalnym wynikiem

tego stanu duszy być musiało, że polubił samotność, i milczenie; że upodobał przestwór stepów; swobodę ruchu, fantazji, myśli, celu, niczem nieokreśloną; że zboczył mimowolnie z toru form i zwyczajów przyjętych i został oryginałem, błędnym marzycielem, farysem stepów, pustelnikiem lasów, z kąd wracał niechętnie pomiędzy ludzi, a wracał bo musiał. — Była więc w nim i żywa poetyczność, wylaniająca się kiedy niekiedy w strofie tęsknej, nie rzadko sprężystej, i śmiałej. — Lipowczyński służył ongi na Kaukazie. — Głęboko wypiętnowały się w duszy jego, surowe obrazy tej krwawej areny zatargu, i boju — tej dumnej krainy potoków, i gór. Przyjemnem było nam niespodziane pojawienie się jego. — Powitany uprzejmie i sercowie, okazał się wzruszonym, i wdzięcznie wesołym.

— Z kąd? — pytaliśmy go na przemian.

— Z Lubliniec.

— Konno?

— Ma się rozumieć! — Inaczej nie jeźdź.

— Na miły Bóg! — huknął pan Stanisław — też to ze 300 wiorst drogi!

— Trochę mniej, bo jechałem nie gościńcem, a stepem.

— Ile dni jechałeś?

— Trzy dni, i trzy noce.

— Kto z was djabeł? — twój koń? czy ty? — kochany panie Ksawery.

— Ani on — ani ja. — Obydwa nic nie mamy wspólnego z piekłem. — Po prostu, nawykliśmy do trudu, i nie boimy się go.

— Dokądże cię pan Bóg prowadzi? — Nie sędzę

bowiem żebyś się dla mnie umyślnie telepał trzy doby na siodle? — zapytał pan Stanisław.

— Umyślnie? — tego powiedzieć nie mogę. — Lecz żeś był u mnie na myśli, dowód, że mię tu widzisz. — Nikt nie wie w Lublińcach co się ze mną stało? — Jak zwykle, wyjechałem bez planu — ot poprostu na spacer — smutno mi się jakoś zrobiło. — Czarne myśli nadbiegły tłumem. — Koń kroczył, kędy sam chciał, nie zrywając się na bieg skwapliwszy, jakby z obawy żeby mi nie przeszkodzić dumać swobodnie. — Pocziwe zwierzę! względniejsze od bliźniego, ba nawet od niejednego przyjaciela! — Nie postrzegłem, jak futory, kurenie i siodła zostawały z tyłu; jak gęstniał wieczór, i jak noc w końcu zapadła. — Kiedym się opamiętał, byłem już daleko. — Step milczał dokoła, i gwiazdy mrugały mu z wysoka. — Przyszła myśl powrotu — lecz się jej serce oparło. — Zostałem więc na stepie. — Zeskoczyłem z siodła. — Nazbierałem suchych burzanów i polnych badyłów. — Ułożyłem z nich stos wysoki i podpaliłem. — Koń pasł się na czumburze, a ja podsyciałem ognisko i dumałem. — O czym? — Alboż ja wiem? — Może o dobrem — może o złem. — Wiedzą o tem tylko Bóg i dusza moja. — Nade dniem puściłem się dalej, owiany świeżością i operlony rosą. — Koń rwał się do lotu, bo mu wesoło było i lekko. — Ta noc pod namiotem nieba, na miękkim ziół posłaniu, i mnie i jemu otuchy dodała. — Ani on, ani ja nie zapragnęliśmy powrotu. — Obu nas dalnęciła — dal sina, tajemna, bezgraniczna! — A więc biegliśmy ku niej rącho i chciwie! — Mignęły koło nas przelotnie, Podwysokie, Frantówka; Monasterzyska z monstrualnym pałacem Podoskich; Baczkuryn z uprzejmym i szczerym domem Humnickich; Ohrymowa, gdzie z pod słomianej strzechy płynęła

krociowa, a co większa, sercowa gościnność Sarneczych — ludne, bogate osady; sercu niejednemu pamiętne! — Koń skubnął paszy — czerpnął napoju z rzeczutki; i dalej pomknął! i dalej! — Bajraczek zaszedł nad drogą; zielony, wonny, cienisty! — Skwar mocno dopiekał. — Schroniliśmy się do bajraczka. — Leśna Flora powitała nas uprzejmie, datkiem barw rozlicznych i woni. — Powiewy nie odmówiły ani balsamów, ani świeżości. — Patrzę; pasieka! — Starzec siedzi pod lipą i duma. — Włos biały, broda biała, twarz sędziwa, piękna. — Był to geniusz miejsca. — Powitałem. — Powitał. — Zszedłem z konia, i usiadłem na trawie. — On powstał i poszedł do swojej katrahy, zkąd wrócił z miską pełną jabłek. — W drugiej niósł tłusty plaster miodu. Za powtórny zawrotek przyniósł spory szmat razowego chleba i dzbanek żywej zdrowej wody. — Bóg ukazał podróżnemu w znoju cienistą oazę. — Głód jego i pragnienie ukoł. — A za narzędzie miłośierdzia swego użył uprzejmości prostaczego serca.

— Dzięki ci dobry człowieku — rzekłem do starca podjadłszy do syta. — Nie wiele mam z sobą — tylko dwa rubelki. — Podzielię się z tobą połową.

— To krywda pane! — odpowiedział na to, jakby obelgą dotknięty. — Nie kupowałem ja ani jabłek, ani miodu, ani chleba, ani wody — Bóg mi dał to wszystko darmo — czemuż miałbym brać za to pieniądze? — Oj! nie znacie wy nas Lachy! — Nie znacie! — Żebyście nas lepiej znali, byłoby i wam i nam nie tak źle na świecie! — Nie ma pomiędzy nami takiego, coby targował kęssem bożego chleba, kiedy podróżny do chaty zapuka — srom i hańba spadłyby na ród jego — i Bóg nie odpuszczyłby mu takiego grzechu. — My ludzie prości — i ta właśnie prostota stanowi naszą zaletę. — Dlatego u was

Lachów mniej serca? — boście się dawnej prostoty pozbyli, boście nawet samymi sobą być przestali. — Jeździecie Bóg wie dokąd, za morza i góry, i tam pozbywacie się cnót waszych rodowych, w zamian za cudzoziemskie przywary, które potem na swej domowej grzędzie pielęgnujecie. — Służyłem ja za młodu po pańskich dworach i widziałem dobrze co się tam działo, i jak? — Ne dobre, działo się i dzieje. — To też i ducha Bożego tam nie było! Pan bywało z panią i z panietami, wałęsa się za morzami i górami, jakby mu źle było u siebie, a w domu nieład, rozgardjasz i spustoszenie! — Komysar kradnie. — Okonom kradnie. — Arędarz, żyd, ludzi rozpaja i obdziera; a biedny chłopiek zostawiony sam sobie, bez dozoru, dobrej rady i zapomogi, albo marnieje w pijanństwie, albo się rozłajdaczy i puści na włóczęgę, albo nakoniec swą duszę bisowi zaprzeda! — Alboż tak być powinno? — Masz poddanych? pilnuj ich, bo oni dzieci twoje. — Masz swój grunt? pilnuj go i starannie uprawiaj, żeby ci nie porósł czasem chwastem i piolunem, zamiast pszenicą, lub żytem. — Masz głowę na swoim karku? miejże i swój własny rozum, a nie jedź na kraj świata kupować cudzego, bo wiadomo, że cudzy na nic się w naszym kraju nie przyda. — Mój pan sprowadził był z za morza jakiegoś nechrysta niemca, bardzo rozumnego (bo wszystko co robił to z książki) i dużo hroszy zapłacił, żeby u niego urządził gospodarstwo. — I cóż? — zakpiła z niemca nasza pocziwa rola, bo rodzić po dawnemu przestała — a ta oto pasieka, w której siedzę, o mało nie zmarniała na nic, z jego łaski. — Pokazało się, że każdy nasz chłop choć książek nie czyta lepiej gospodarstwo rozumie. — Druhych pytaj, a swij rozum mają!

— Ale pytać zawsze potrzeba — przerwał pan Stanisław. — Inaczej nie byłoby w niczem postępu.

— Bardzo naturalnie! — ciągnął dalej Lipowczyński — byle nie wierzyć na ślepo każdemu dlatego tylko, że to czego naucza zgodne z książkową teorią; bo chociaż ktoś powiedział że *experientia fallax*, wolę polegać na doświadczeniu, niż na zasadzie niczem nieudowodnionej.

— Wpadacie, jak uważam z przerażeniem, na tor najnudniejszej w świecie argumentacji, od której, racz nas Panie! wybawić, jak od powietrza, ognia i wojny, Czekamy dalszego ciągu relacji Lipowczyńskiego o jego awanturniczej wycieczce w stepy Ukrainy i Podola.

— Nie ma w niej nic takiego — ozwał się Lipowczyński — coby waszej ciekawości godnem było. — Zwykle przygody podrózne, każdemu wydarzyć się mogące, nędzne to materiały dla interesującej powieści. — Tyle wam tylko powiedzieć mogę, godniejszego uwagi, że ów sędziwy pasiecznik, Neczypor, którego bezinteresownej gościnności zawdzięczałem nowy zasób sił fizycznych i otuchy, gdy się poufniej ze mną rozgadał, wydał mi się człowiekiem wyższym nad stan, do którego należał, znakomitszym od swoich pozorów. Pokazało się że wszystkie główniejsze tradycje dziejowe kozaczyzny oralnie z pokoleń w pokolenia płynące, spoczęły w duszy jego, żywe, nieskazitelne, i z miłością pielęgnowane. On żył z niemi i w nich, jakby w odrębnym świecie. — I świat ów starczył mu, zaspokajał go, pocieszał, uzupełniał mu obecność świetną treścią rodzinnej przeszłości, w którą się wpatrywał z uniesieniem, z miłością, chciwy jej blasków, od których jaśniejszemi robiły się bezbarwne doby lat jego podeszłych. Neczypor miał w sobie tę szczególność, że chociaż obwiniał, słusznie

czy niesłusznie, Lachów, o upadek humaniszczyny, i jako rodowity kozak czuł do nich żal za to, odzywał się wszakże o nich bez złości i jadu. Różnił się w tem, jak niebo od ziemi od reszty ludowych patryotów, co się na samą myśl o czortowym Lachu zżymali z nienawiści. *)

— I my winni, i wy winni — mówił. — I wam, i nam bis otumanił głowy; a nie było takiego co by dobrze poradził i do posłuszeństwa dobrej radzie przymusił. — W tem tylko byliście winniejsi, żeście powinni byli mieć więcej od nas rozumu na stanowisku, jakieście na świecie w semii narodów zajmowali. Jak się to stało, żeście go względem nas nigdy nie mieli, i dotąd nie macie, — pojąć nie mogę! Bywało wojowaliśmy razem to z Turkiem, to z Tatarem, krew się nasza mieszała, a jednak ani spółnictwo ofiary, ani koleżeństwo broni, nie potrafiły pojednać nas i zbliżyć. Gdyśmy później jednakiej doli doznali, my pierwsi, wy potem; podobieństwo upadku także samo nie zbliżyło nas, zbliżyło, jak nie zbliżyło dawniejsze spółnictwo rycerskiej sławy. Widno tak napisano w górze. Takich coby myśleli po mojemu, nie wielu na Ukrainie. — Ja, i kilku jednolatków moich, nie więcej — a jednak, my to panie, my trzymamy nienawiść ludu na wodzy — my jedni nie dajemy jej zawichrzyć Ukrainy krwawym zatargiem z Lachami, do którego lud rwie się oddawna i rwać się długo nie przestanie. Nieraz to zacisze moje bywało, i po dziś dzień bywa świadkiem tajnych schadzek i zawziętych sporów. Z różnych stron dawnej humaniszczyny od Bohusławia, Korsunia, Białej-Cerkwi i

*) Cały ten ustęp prawdziwy. — Dosłownie prawie oddałem to co mówił do mnie w 1850 r. Nyczypor Hordijenko pasiecznik pod Humanem.

Humania, przybywali skrycie i dotąd przybywają czasami wysłańce gromad wiejskich, którym się ciągle nury o nowej Koliszczynie na pohybel Lachom i żydom. — Któż, jeżeli nie ja, biedny starzec pasiecznik, i nie kilku równych mnie wiekiem, podobnych przekonaniem, wstrzymujemy ten hrim Bożyj gotowy spaść na wasze głowy? Dopóki żyjemy nic się wam złego nie przytrafi, bo nie dopuścimy — ale co będzie kiedy nas nie stanie?

— Zaczęło już chłodzić — ciągnął dalej Lipowczyński — kiedym pożegnał filozofa-pasiecznika. I ja i koń wypoczęliśmy doskonale. Gotowi byliśmy puścić się w podróż. Ale dokąd? Sam nie wiedziałem, bom się wahał bez stanowczego planu. Przyszło mi jakoś na myśl, ponieważ byłem niedaleko, odwiedzić Human i Zofjówkę. Gdy się z tem starcowi na odjezdnem zwierzyłem, zadumał się trochę, poczem rzekł z przestankami jakby naumyślnie, żeby się każde jego słowo wryło głęboko w moją pamięć.

— Koły tak że będziecie w Humanu, to było by dobrze żebyście się pofatygowali aż do Legedzyny. Niedojeżdżając do sioła stoi nad szlakiem bajraczek. Wydeptana drożynka prowadzi do środka. — Pójdziecie tą drożynką. Traficie na obejście płotem ogrodzone. Pośrodku chata z przyzbą; a w tej chacie żyje mój kum i jednolatek stary Sawa Bondar, któremu oddacie pokłon odemnie, i powiecie żeby trzymał ostro ucho i oko, bo nie dawniej jak wczora przymandowało do mnie dwóch burłaków od Bałty, i powiedzieli że ich posłała gromada Bałanowiecka z wezwaniem do braci Ukraińców żeby jej dopomogli, a także i wszystkim innym siołom Sobańskiego wybić się z pod jego panowania. Ja im nagadał jak było potrzeba, i

napędził do domu; ale bis nie śpi. Kto wie czy ich nie skusi bałamucić lud humanński, albo legedzyński? To niechby Sawa miał tę rzecz na oku, żeby czasem nie nawarzyli piwa, którego by sami potem nie wyżyłali.

— To polecenie Neczypora było pewnym rodzajem mandatu politycznego, którego mi sama ludzkość odłożyć nie pozwalała. — Zapewniwszy tedy pocztowego starca, że każde jego słowo powtórzę wiernie Sawie Bondarowi, pożegnałem go serdecznym ujęciem dłoni, i wyskoczyłem z bajraczka, na przestwór stepu. Tu pomknął mój wrony jak wicher, rwąc się naprzód hulaszczym i polotnym cwałem. Gdyby grot dzielnym ramieniem puszczone wbijał się on coraz dalej w głąb przestrzeni, tak, że ledwie Leszczynówka *) zamajaczyła przedemną, jużem ją z tyłu zostawił, i leciał wzdłuż ciemnego ustępu lasku Grekowa, gdzie był, jak wiadomo, stan Żeleźniaka kiedy szedł na rzeź Humania. — Ale o! i Human! Pozostałbym tam dni parę dla Zofjówki, której dawno nie widziałem, gdyby nie nagłać polecenie Neczypora do Sawy, którego lekceważyć nie mogłem ze względu na wielką doniosłość onego. Los rodzin wielu, spokojność kraju zależały, być może, od mego pospiechu — a więc, nie tracąc czasu, pokrzepiwszy nieco siebie i konia, wpadłem na legedzyński gościniec, i utonąłem w stepie.

Daleko było jeszcze do zachodu słońca, kiedym doleciał do wskazanego przez Neczypora, bajraczka, — i ledwie kilka minut upłynęło, byłem już u wrót jego kuma i jednolatka Sawy Bondara. Czerstwy starzec sie-

*) Tam to, w domu czcigodnego Jana Krechowickiego pisał Seweryn Goszczyński swój *Zamek Kaniowski*.

dział na przyźbie chaty i smolił bakun z krótkiej nosohrejki. Brody nie nosił, włos na głowie miał nisko ostrzyżony, za to wąs biały jak mleko, i suty, sięgał mu od ucha do ucha, udzielając twarzy jego, w skwarze i chłodzie zgrubniałej, od długoletniego trudu życia zgrubiałej, wyraz istnie kozackiej dzielności, której wiek nawet podeszły ostudzić w nim nie zdołał.

Na widok nieznajomego zawarczały groźnie dwa potężne psy, z rodzaju owczarzy, i rzuciłyby się na mnie, gdyby ich starzec głosem nie poskromił. Poczem otworzył wrota, wpuścił mię na podwórze, pozdrowił uprzejmie po ukraińsku, i nie pytając ani kto jestem, ani zkąd, dokąd, i poco jechałem, zaczął wodzić mego konia, mocno zgrzanego, żeby się wysapał i ochłonał, unosząc się nad jego szykownym kształtem i zwięzłą budową, znamionującą sprężystość i ogień.

— Jak uważam, znacie się na koniach? — zapytałem go.

— Alboż ja nie kozak, i nie z zaporozskiego gniazda? — odpowiedział z dumą, prostując swój wzrost bohaterski. U nas, każdy przychodzi na świat znawcą i miłośnikiem koni, bo mu te przymioty przysły z krwi rycerskich przodków co żyli wojną, i w wojnie ducha Bogu oddawali. Wasz koń nie tutejszy. Sierść srebrna na czarnej skórze, skład krępy, pierś szeroka i ogniste oko, przy wzroście niewielkim, alboż to nie mówi jasno jak dzień, że wasz koń z rodu bałkańskich, góralskich biegunów? Ja te je znaju dobre!

— Widzę żeś doskonałym znawcą — przerwałem — bo to koń rzeczywiście z Bałkańskiego półwyspu.

— A szczo? baczyte! — zawołał z uśmiechem zadowolenia. Stare oczy widzą jeszcze, i stara pamięć pamięta.

— Mówiąc to, zbliżył się z koniem do małej stajenki, w której go postawił, rozsiadł, otarł z potu, i wonnem siankiem ugościł. — W drugim końcu stajenki, dwa bułane besarabce o czarnych grzywach i ogonach, zajaśniały u żłobu sieczką zerkając ciekawie na nowego przybysza. Była to okoliczność bagatelna pozorze, ta troskliwość Sawy o mojego wierzchowca — a jednak, świadczyła wymownie o jego dobrej naturze i uprzejmości. — Kto rad koniowi, rad i gościowi, uczy loika; miałem więc prawo wnioskować stanowczo, że natrafiłem na rzadki egzemplarz człowieka, w którym starożytna zaleta gościnnego względu dla podróżnego zachowała całą swą pierwiastkową, nieobludną serdeczność.

Sawa był człowiekiem ładu i trudu; a rygor familijny trzymał na stopniu starodawnej powagi. — Ze stajenki powiodł mnie do chaty. — Na lewo od sieni była piekarnia i kuchnia. — Na prawo duża izba, świeżym ajerem posypana, czysta i jasna aż lubo, gdzie cny gospodarz zwykł gościa przyjmować, i wespół z rodziną swoją zasiadać do trapezy. — Kilka świętych obrazów olejnych w czarnych ramach, wyszywanem czerwono rącznikami udrapowanych, wisiało na ścianie przeciwległej drzwiom wchodowym. — Przed każdym gorzała lampka wotywna ze szkła zielonego, i wionęły hołdownemi balsamy poświęcone wianki z polnych ziół zasuszonych. — Pod obrazami była szeroka ława dębowa, i stał nieporuszenie takż stół, czystym obrusem z krasnemi hafty okryty, na którym (symbol starosłowiańskiej gościnności) leżał bochen chleba obok szklanej solniczki, z solą przymierza i zgody (*sal foederis*). — Wspomniałem o tych szczegółach dlatego, że te poważne cechy starożytnego zwyczaju coraz się więcej zacierają u ludu, i znikną wkrótce niestety! jak znikły i

u nas, z poszanowaniem wiekowych tradycji, obrzędów i zwyczajów.

Lecz *epitheton ornans* tej paradnej izby starego kozaka była ścienna armatura, w której się przejawiała dotykalnie cała historia rodu Sawy Bondara, oraz ta część religijna przeszłości, jaką w swej duszy zachował, — Dwie kozackie spisy stare, rdzą krwi po kolicach zarumienione, i jedna na drugą skrzyżowane, stanowiły jądro środkowe tej armatury i treść onej główniejszej. — Dokoła nich umieścił Sawa długą tofaikę albańską o cienkiej lufie z białego żelaza, wykładaną misternie macią i srebrem, dwie tureckie janczarki, parę takichże długich pistoletów w metalicznej oprawie, oraz buńczuk ogoniasty z półksiężcem na końcu, jakimś bajrachtarowi zapewne razem z życiem wydarty. — Czy nie były to czasem zdobycze wojenne owych spis zaporozkich, honorowe miejsce pośród trofeów zajmujących, oraz dwóch szerokich szabli kozackich o klindze wyszczerbionej, co przy nich, po długiej pracy rycerskiego mordu spoczęły? — W przedmiotach napełniających izbę wyrażał się i sam właściciel onych. — Obrazy świadczyły o jego religijności; chleb i sól, że szanował uprzejmość przodków; broń, że w nim duch rycerski panował, — Kiedy mu oddałem pokłon od kuma i jednolatka Neczypora Hordijenka, podziw i zadowolenie ożywiły twarz starca.

— A hdeżeś-to baczyły jecho? — zapyta skwapliwie.

— Byłem u niego w pasiece.

— Kiedy?

— Dziś.

— A czy win nie kazał mnie coś powiedzieć?

— Kazał, i dlatego właśnie przyjechałem do was naumyślnie.

— A cóż win kazał mnie powiedzieć? — Czy nie to może, że brodiahy włóczą się po futorach i siołach, i naród na złe namawiają? — Czy nie to, że wczora byli u niego ludzie od Bałty i Bałanówki, i prosili pomocy przeciw Sobańskiemu?

— Tak — tak — rzeczywiście, odpowiedziałem zdziwiony — lecz zkądżeście się o tem dowiedzieli?

— Zkąd? — rzekł z wewnętrznym śmiechem zadowolenia. — Step wygadał się przedemną. — Wypłwał stary co widział i słyszał — bośmy z nim dawni i dobrzy przyjaciele. — Nic dla siebie skrytego nie mamy i mieć nie możemy. — On to wykołysał lud kozacki; wyniańczył go jak swe dziecko, nauczył iść w zapasy z wichrem, zarabiać szablą na sławę, pomiatać znojem i śmiercią. — A gdyśmy upadli, zapłakał nad nami i płacze. — A gdy nas żał przygniecie, on nam o młodeckiej przeszłości kozackiej zaśpiewa. — A gdy się tęskno robi na duszy, on dumką rozrzewni i do łzy pobudzi — a wiadomo, że łza ulgę przynosi — żar sercowy rany ostudza! — Nieraz, woła on do nas, starych kozaków, cośmy go pojąć zdolni: „Dość wam tęsknić po tem co było, irwać się do odzyskania tego co wrócić nie może! — Przez długie wieki poiliście mię krwią i łzami pokoleń. — Wojna zamieniała wojnę. — Pustoszył płomień, czego miecz nie zrąbał. — Dosyć już tej krwi, tych łez i tych wojen! — Dosyć już! — Niech się spełnią wyroki nieba! — Kto się im opiera, grzeszy, bo maci braterstwo ludzi i panowanie zbrodni uwie-

„cznia.“ Tak to on przemawia do nas, wiernych synów swoich, najstarszych wiekiem i doświadczeniem. — I stanie się według woli jego! — Wojny nie będzie! — Krew nie pocieknie! — Nie targnie się kozak na Lacha! *)

— Prawisz nam bajeczkę kochany marzycielu! — huknął pan Stanisław. — Nie wierzę ja w egzystencję takiego chłopca na Ukrainie! — Wyznaj kochanku — ubarwiłeś rzecz? — jeżeliś jej nie wymyślił, na mocy przywileju licencji poetom dozwolonej?

— Nie ubarwiłem jej wcale — odpowiedział Li-powczyński — zeszpecilem raczej, bo odjąłem jej naiwność okresów i prostotę słowa, co ją wznioślejszą czyniły. — Co do licencji poetom dozwolonej, o którą mię posądzasz.... nigdy się jej w potocznej rozmowie nie dopuszczałem, albowiem byłaby właściwie nie grą fantazji poety, lecz błazeńskim nicowaniem prawdy na wywrót; do czego się nie czuję zdolnym. — Tak, Neczypor Hordijenko, ów poważny mieszkaniak stepowej oazy, jako i dzielny mimo lat znoju i poetyczny Sawa Bondar, nie są to istoty wylęgle z lekkiej pianki wyobraźni; utwory jakiegoś feerycznego mirażu, nadającego czczości formy i barwy kłamane. — Nie! to są postacie realne z ciałami i kośćmi, jak my; ludzie wyłączni, których duch wybujał nad poziom ich stanu; przerósł sferę moralną bytu ich i doczesnych oznaczeń. — W Sawie zwłaszcza leży obfity materiał znakomitego człowieka. — Brak mu tylko rozwoju odpowiedniego wymaganiom wieku. — Dziwnie się różnoważą i harmonizują w nim rozum i serce. — Co serce poczuło, rozum potwierdza i uskutecznia. — Takiej to zgodzie dwóch sił, rzadko zgodnych, najczęściej sprze-

*) Nie skaziłem głównej myśli Sawy, chociaż jej nie oddałem *in extenso*. Umarł w 1852. r. Miał 96 lat.

cznych w człowieku, przypisać należy ową propagandę pojednawczą Sawy, jakiej się poświęca tajemnie, z gorliwością wielkości celu odpowiednią. — Neczypor Hor-dijenko i kilku innych starców po Ukrainie rozsianych, dopomagają mu gorliwie i umiejętnie. — Czatują bacznie na każdy zły objaw ludowego uspośobienia, i zapobiegają onemu. — Dwóch synów żonatych mieszkało przy nim. — Obaj nie byli w domu.

— Posłałem ich — mówił Sawa — hde było tre ba — i uśmiechnął się znacząco. — Ale pokażę wam moich wnuczat. — Hoże to, i wesola zgraja swawolników i swawolniczek, których, jak się domyślacie, nienawidzę. — Tymczasem myłosty prosym na chleb i sól, jak się wodzi u nas, bo nasze bat'ki i di dy zawsze od tego przyjęcie gościa zaczynali.

— Po tym wstępnym traktamencie, niemal obrzędowym, napominającym sędziwą patryarchalność ludów pierwotnych, starzec wychylił w moje ręce lampeczkę gorzaliny, sformułowawszy poprzednio swą intencję do-bitnem: „Na szczastje! na zdorowje!“ — Samo przez się, że się mu wywzajemniłem najkompletniej, choć gorących napojów nie znoszę. — Poczem wyszliśmy do ogrodu. — Nie wielki był to obszar ziemi, zato jak umiejętnie i starannie urządzony! — Jedną część zajmowały drzewa owocowe; drugą jarzyny. — Drzewa były świeże, zdrowe, bujnym liściem wiejące. — Jarzyny także, pod względem dobrobytu nic nie zostawiały do żądania. — Poważna kapusta wylegała się rozkosznie na grzędach opełtych starannie. — Groch, o jędrnej łodydze, szeleścił za lada powiewem wiatru strączki swemi, jak tancerz hiszpański kastanietą. — Fasola, kokietka jarzyn, wiła się w spiralnych skrętach wokoło wysokich tyczek, żeby wysmukłość jej kibici podziwiano, żeby się

nad jej świeżemi barwy zachwycano. — Snać kobieta, zawsze kobietą, nawet gdy fasolą. — Nie innego musiał być zdania i głębokomyślny słonecznik, licznem pokoleniem poważnie rosnący, z obliczem ku słońcu obróconem. — Co do ogórków, te jak zawsze i wszędzie, wic chrzyły się nieładem dziwacznej płataniny, i nie łaknąc wcale aplauzów świata, kryły się przed nim w gęstwinie. — Dalej, gdyby huf o barwistych proporcach, kwitły ogrodowe maki; „cyprysy jarzyn“, konopie ciemnym faliły się smugiem; i zielone wytryski kukurdzy strzelały fontanną do góry.

— A że to ci poeci, nie powiedzieć poprostu nie mogą! — zawołał pan Stanisław z dobroduszną ironią — Zawsze jakieś frazy, perfrazy, antifrazy, a hyperboli, więcej niż attyckiej soli!

— Kociół garnkowi przymawia — rzekł Michał Grabowski do mnie.

— *Jalousie du métier!* — dodał Castro de la Cerda — zawiścią przemówił twój język p. Stanisławie, że od kwadransa beczynny. *Son tour viendra*. Niech no tylko Lipowczyński zakończy swoje opowiadanie, w którym jest więcej daleko głębokiej treści, niżeli się wydaje. Pewny jestem, że z pod tego grochu, lub fasoli, wyglądnie nagle myśl o jasnem i szlachetnem obliczu, która całą tę stepo.rą winietkę oświeci, ubarwi i do wyższego moralnego znaczenia podniesie. Czekamy więc kochany poeto — mów dalej!

— Już mi nie wiele zostało — odpowiedział Lipowczyński zapalając swoją podróżną fajeczkę — i to co zostało postaram się zredukować do najmniejszej miary dla dogodzenia szanownemu gospodarzowi, któ-

rego niecierpliwa Monada, rada by sama, jak uważam, wkroczyć czempredzej na arenę narracyjnego popisu. Otóż powtarzam; nie długo ją nudzić będę. Dosnuwam już kłębek mojej treści. Gęsto było, kwiecisto, wonnie, w tym ogrodzie Sawy. Hukały tam na przemian jakieś wesołe wołania; ktoś szczebiotał w ukryciu zieleni; albo dojrzałym tonem piersi dziewiczej zanucił piosenkę półgłosną. Czułem, że dokoła mnie tchnęło życie młodociane, szczęśliwe miłością i zgodą; życie nieświadome złego, a więc niewinne, na wzór otaczającej je natury.

— Hop! hop! dity! huknął Sawa donośnie; i wnet poruszyły się krzewy, zarośla, zioła. Z gęstwiny grzęd grochu, fasoli, kapusty i ogórków, wysypała się, w radośnych podskokach, zgraja dziewczynek i chłopczyków, i opadła starca z pieśczętą i szczebiotaniem. Za nią biegły skwapliwie dwie hoże dziewczęta, pełne świeżości i krasy. Na końcu szła mozolnie wspierając się na kij, sędziwa staruszka.

— Ot, moi wnuczata! — mówił Sawa głaszcząc po główkach i twarzyczkach drobniejszą dziatwę, i owe dwie starsze, hoże dziewczęta, co śladem dziatwy przybiegły. Poczem dodał wskazując na staruszkę:

— A se moja baba! — i poszedł ku niej skwapliwie, ucałował w czoło, podał troskliwie rękę by się na niem oparła. Tkliwy szacunek, wspólny z wdzięcznem uznaniem za wierną i długoletnią miłość w trudnych kolejach życia wypróbowaną, wyraziły się żywo w tem jego postępowaniu względnie chorej i znękaney wiekiem przyjaciółki. Nie śmiecie się ze mnie, gdy powiem, że się poczuł głęboko wzruszonym wobec tej budującej, istnie patryarchalnej sceny, bezprzykładnej u nas o tej porze, w tak nazwanej wyższej sferze; wyż-

szej hierarchicznie, chociaż niezaprzeczenie niższej moralnie, bośmy zepsuci do gruntu i zgnili!

— Tam do diabła! wykrzyknął zachodząc się od śmiechu p. Stanisław — pięknieś nas zdefiniował, nie ma co mówić! Nie wiedziałem dotąd, że chodzące próchno. Ha! ha! ha! — Chłopoman jesteś i nic więcej.

Lipowczyński na to: Niech i tak będzie! — Wszak mię to nie krzywdzi. Żyłem z ludem sercowie, znam go więc lepiej niżeli wy, coście od niego stronili. Słuchajcie!

(deklamuje):

Spotwarzono lud biedny! z przymiotów odarto!
„Jemu ufać nie można, i sprzyjać nie warto!“
Takiem zdaniem świat wyższy, to jest niższy żyje,
Bóg jeden widzi, serce, czyje lepsze — czyje?
Może tych, co próżnością i potęgą złota
Lub rodu przywilejem, rej wodzą na ziemi?..
O! jak często niestety! godłem ich... sromota!
Jak rzadko być umieją ludźmi i bliźniemi!

A ile to szlachetnych uczuć w każdym słowie!
Ile wdzięku, słodyczy, w ich podstępnej mowie!
Každy, zda się aniołem — każdy... O! mój Boże!
Nie oskarzam!.. Lecz przed kimże duszę otworzę?...
Kiedy z sercem rozbitem, jam się do nich udał
W nadziei że spólcuciem zechcą ból złagodzić,
Cóż zyskałem?.. ten wydrwił—ów przychylności udał
A zamiast nieść mi ulgę, wołał raczej szkodzić.

Wyrzekłem się stosunków, i wiecznym rozbratem
Wzniosłem lasy i góry, między mną, a światem.
Wtędy to, wtędy poznał, czem jest serce ludu,
Jak w niem wiele promieni, i jak mało brudu.

Sam smutny — on mię krzepił, i nadzieją cieszył,
 Sam biedny — on z pomocą łaknącemu spieszył,
 Ostatkiem się podzielał — i czuwał nademną,
 A gdy ciałem daleki — to był duchem ze mną!

Cześć tobie! o! cześć wieczna! ty wiejska prostoto!
 Świat cię mieni brutalstwem, nazywa ciemnotą,
 Szydzi z ciebie, żeś skromna, nie bujasz wysoko...
 Za to czynisz pocziwie, i wierzysz głęboko!
 Nie z marzeń i sofizmów, tyś swą nić wyprzędła,
 Nić uczucia i sądu — ale z prawd natury;
 I gdy mądrość światowa, na wzór serca, zwiędła,
 Tyś dotąd świeża, młoda — niezłomna jak mury!

O! pozostań na zawsze, jaką dawniej byłaś,
 Jaką dziś jesteś jeszcze — lecz jutro, czy będziesz?
 Cechy twojej rodzinnej, wiele już straciłaś,
 Gdy i resztę utracisz — coż w zamian zdobędziesz?..
 Im wyżej sięgniesz żądzą, tem więcej postradasz;
 Nie wolno wyjść za krańce wzbronione bezkarnie;
 I poziomu zapomnisz, i szczytów nie zbadasz,
 I goniąc marę szczęścia, własne stracisz marnie!

— Święta prawda! — zawołał Michał Grabowski,
 i uściskał serdecznie Lipowczyńskiego. — Zaczne prze-
 konanie natchnęło ciebie zacnie, podnosząc słowo twoje
 do brzmień harmonii Helikonu, do szmerów strumieni
 Kastalii. — Ale to rzecz podrzędna. — Główna zaleta
 twojej improwizacji w samej zasadzie, na której swój
 wniosek finalny oparłeś. Takich ludzi, jak Necypor i
 Sawa, już w naszej sferze nie znajdziesz! — Zmar-
 niała, i zamieniła się w pustkowie. Na gruncie ludo-
 wym, przeciwnie; bujnie rosną dzielne natury, niezło-
 mne przekonania i serce nie jedno, pod szorstką sko-
 rupą nieokrzesania, szlachetnie uderza. My nie mamy

już ani wiary w Boga, ani wiary w bliźnich, ani nawet
 w siebie samych, i uważamy ten stan nasz opłakany,
 za *apogeu*m cywilizacji; czem naturalnie łechcemy na-
 szą próżność, podnosząc własne znaczenie *ad astra*. —
 Lud robi inaczej. On obejmuje swą wiarą, skończoność
 i nieskończoność; co jest i czego nie ma. Cały się w swej
 wierze pograżył. Wierny przyjaciel, dlań, nie mytem
 bajecznym, lecz realną prawdą. — Cnota (w sensie
 zbiorowym) nie czczem słowem, nie firmą samolubstwa,
 lecz potrzebą absolutną duszy, jej celem jedynym. Co
 do pobożności ludowej, ta zawsze szczerą, korną, po-
 błżliwą, i nigdy się nie poniża do tej ohydnej tartu-
 ferji dewotyzmu, której my, dzieci wyższej cywilizo-
 wanej sfery, używamy zwykle do pokrycia naszej nie-
 wiary w Boga, naszych ułomności duchowych, lub opła-
 kanego stanu sumienia. *Exceptio firmat regulam*. Nimeś
 do nas zawitał, opowiadałem właśnie tym panom arcy-
 ciekawą historję Skarbu Międzyńskich, którą
 znać musisz zapewne z relacji zacnego marszałka Cy-
 prjana Rakowskiego, który był jak wiadomo, chodzącą
 kroniką, i mnóstwo rzeczy ciekawych, po mistrzowsku
 opowiadał.

— Znam ją dokładnie — odpowiedział Lipow-
 czyński — ale z innego zupełnie źródła. Opowiadał mi
 ją *in extenso*, sędziwy Piotr Potocki *) starosta szcze-
 rzecki, słynny poselstwem od stanów rzeczypospolitej do
 Stambułu. — Międzyńscy — zwykł mówić — bliżcy
 nam parentelą. — Z najpierwszemi domami Polski
 skoligaceni.“

— Owoż tedy — ciągnął dalej Michał Grabow-
 ski — jeżeli sobie przypominasz, występuje tam na

*) Syn Józefa Kasztelana Lwowskiego, z Morszty-
 nówny. Mieszkał w Biłokówce na Ukrainie.

scenę żywioł ludowy w osobie kozaka Sawy, który był przybocznym hajdukiem Piotra Miączyńskiego, wojewody Czerniechowskiego. Ze stanowiska, moralnego hartu, wielka to, istnie heroiczna postać, i śmiało rzec moge, że w naszej, tak nazwanej postępowej sferze, sam by nawet Diogenes ze swoją latarnią, nie wynalazł podobnej. Jak skończysz opowiadanie o swoim Sawie, ja rozpocznę dla tych panów, dalszy ciąg relacji o moim, bo *res infinita, tanquam non incepta*.

— Nie wiele mi dodać zostało — rzekł Lipowczyński. — Całym gronem wracaliśmy z ogrodu ku obejściu chaty. — Starsze wnuczki, Andzia i Motrunia, szły po obu stronach dziadostwa swoich. — Działwa płasała i rzeźwiła się wiankiem weselnym przed niemi. — Słońce chyliło się już ku krańcom nieboskłonu. Perłowe skrzydła roztaczał wieczór pogodny i skwarem dziennym znużony witał go bajraczek drzew szumem. Obrazek zmieniał tło swoje. — Inaczej grupował postacie; oświeślał inaczej. — Sawa szepnął coś na ucho Andzi. — Skoczyła jak łania spłoszona ku chacie; za nią w ślad pobięła Motrunia. — Usiedliśmy na ławie twarzą na zachód. — Mieliliśmy więc przed sobą wspaniałe, najwspanialsze w naturze widowisko, jakiemu żaden okres ludzkiej mowy nie starczy. — W czerwieni i lazurach toczył się słoneczny rydwan ku swej codziennej mecie.

— Baczcie — rzekł do mnie Sawa wpatrując się z zachwytem w tę wielką scenę empireju. — Jak har-
no, jak światło na wyżyni nebesnoj! — Nie jeden dziesiątek lat patrzymy z moją starą Nastką na to wielkie dzieło Boże, i korzemy się przed nim. — Każdą razą pytamy siebie naprzemian w obec zachodzącego słońca: czy ujrzymy jutro wschodzące? — I

Boh miłostywy dozwala nam dożyć jutra, żebyśmy się lubowali Jego stworzeniem, i nauczyli wnuki nasze poznawać w niem wszechmocność Boga i Jego miłosierdzia. — A jednak, wielkie to szczęście, mój panie, przeżyć od zachodu do wschodu. — Zdaje się, kilka godzin, nie więcej; a ile to rzeczy w tak krótkim czasie wydaryć się może! — Wieś może burza spustoszyć; miasto pożar zniszczyć; kraj stać się zdobyczą nieprzyjaciela; świat runąć w gruzach zniszczenia. — A ile to mogli w te kilka godzin wyrasta! — Żniwo śmierci nigdy nie ustaje. — Machnie kosą i walą się ludzie. — Prędko też skosi i mnie starego i moją Nastkę pocziwą. — Skosi kiedyś i tę hożą działwę, co teraz płasza koło nas, rzeźwiąc się śmiechem i piosnką. — Bo cóż wiecznego na ziemi?

— Kiedy tak mówił, otworzyły się drzwi chaty, i ujrzeliśmy Andzię z Motrunią, niosące ku nam stół nakryty i zastawiony. — Były na nim, świeże mleko, twaróg, miód w plastrach, owoce, chleb i masło; najlepsze wiejskie specjały. — Zamiast sewrskiej lub saskiej porcelany, gliniane misy z barwistą polewą; zamiast srebra nowiutkie łyżki drewniane, polerowane pod bukszpan. — Zbiegła się działwa i stanęła rzędem przy stole. — Andzia z Motrunią obdzielały ją strawą. — Potem wzięły się obsługiwać staruszków, z miłością i uszanowaniem. — Mnie, gościowi, sam sędziwy gospodarz napełniał misę; podawał chleb, masło, owoce, z uprzejmością pełną tej cieplej serdeczności, z jaką rzadko przychodzi się ninie spotkać gościowi, nie tylko w pańskich, lecz nawet i w szlacheckich domach. — Po wieczerzy powstałi staruszkowie, ukłękli pospołu otoczeni rodzianem gronkiem, i uderzywszy czołem ku stronie zachodu, w którym się coraz głębiej pograżało słońce, kornie dziękowali Bogu

za jego dary. — Nie nazwiecie mię zapewne dziwakiem, gdy wam powiem, że wszystko to czegom doznał umysłem i sercem w tem miejscu, dalekiem od świata, wydało mi się czemś nowem, niezwykłem, i tak dalece przewyższającym naturę wrażeń, jakich doświadczyłem dotąd, że gdyby to było możebnem, pozostałbym na zawsze w gronie tej dobrej, prostaczej rodziny; w ci-chym Edenie jej patryarchalnej cnoty! — I cóż dziwne-go? — Wiara, miłość, bogobojność, węzły święte przy-mierza, co tę rodzinę w jednego ducha łączyło, są to ninie rzeczy tak niezwykle, że my, ludzie postępowi, nie mamy nawet o nich wyobrażenia.

— Po modlitwie — ciągnął dalej Lipowczyński — do której dołączyłem i ja moje westchnienie, Sawa powstał, i powołał mnie z sobą. — Wyszliśmy za wrota, i wkrótce ujrzelśmy się za obrębem bajraczka, w obec ogromów przestworza stepu. — Sawa milczał dotąd, lecz skorośmy przekroczyli zonę mroków lasku, wziął moją rękę, ścisnął serdecznie ze wzruszeniem, i rzekł.

— Znajete teper, bo wam Neczypor powiedział, jakiemu dziełu poświęciliśmy usilność naszą. — Dzieło to uczciwe i miłe Bogu. — Jeżeli chcecie nale-żeć do nas (o czem nie wątpię, bo mój chłopski rozum odgadł was) to zróbcie jak wam powiem. — Jedźcie do Bałty, a ztamtąd wzdłuż Kodymy, na Bobryk do Krzy-wego-Jeziora. — Tam żyje blisko cerkwi stary Ołeksza Szewczenko, mój kum, bogaty gospodarz. — Jeho zna je każda detyna. — U niego trzech synów; tęgie chłopcy, choć kudy! — Todoś, Karłan i Dmytro. Otóż powiedzcie staremu odemnie, żeby ne dremaw. i wysłał zaraz do mnie Karłana z wieścią o tem, co się dzieje pomiędzy ludem w Smile, Mosznach i Berszadzcie. Powiecie mu także, że synów moich nie ma w domu. —

Zrozumie stary co to znaczy. — Ale czy znacie wy step?

— Znam go dobrze — odpowiedziałem. — Często się po nim uganiał. — Wyznać jednak muszę, że z tej strony nie łatwo będzie wpaść na tor do Bałty. — Dla skrócenia drogi wypadnie jechać na perełaj, a bez pewnej wskazówki kierunku, to trudno, zwłaszcza w nocy, kiedy step pusty.

— Na teje bude rada! — rzekł po chwili Sawa. — Cały step zna starego Sawę Bondara, i ten, kogo on jemu poleci, nie przepadnie. — Andzia odpro-wadzi was do futoru Zawidnoho, co ztąd o pół milki. — Tam siedzi na pasiece stary Semen Smalko, mój brat stryjeczny. — Powiecie jemu dokąd i poco jedziecie, a on wam da radę. — Już weszły gwiazdy. — Miesiąc prędko wejdzie. — Najlepszy to czas do jazdy. — Bóg pobłogosławi celowi jaki was prowadzi, a ja i cała moja semja nie zapomnimy o was w modlitwie.

— Wkrótce byliśmy z powrotem. — Pobiegłem do stajenki. — Osiodłałem konia. — Sawa przyniósł wiadro wody i napił go. — Pożegnawszy serdecznie staruszków i całe ich familijne grono, miałem już skończyć na siodło, gdy Sawa przemówił do mnie:

— A nie spieszcie bardzo, żeby was moja Andzia dopędziła. — Pobiegła łapać podjezdka na paszy. — Buwajte zdorowy! — Ne zabuwajte nas!

— Pojechałem — lecz długo jeszcze dochodziło do mnie pożegnalne wołanie Sawy, wspólnie z dźwięcznem hop! hop! na różne tony powtarzanem jego pocziwnej dziatwy.

— Za bajraczkiem wstrzymałem konia. — Wkrótce doszło uszu moich bystre cwałowanie w lasku. — Andzia

spieszyła ku mnie. — Gdy wypadła na przestwór stepu rozpromieniony blaskiem gwiazd i księżyca, nie poznałem jej odrazu. — Była w męzkim stroju. — Miała na sobie białe płóciennne szarawary, i takąż kurteczkę ściśniętą w stanie pasem czerwonym. — Główkę nakryła baranią czapką kozacką, i nahajkę zawiesiła na rzemieniu przez plecy. — Niktby nie powiedział, że to była dziewczyna, a wziąłby ją za prześlicznego chłopca, tak jej strój ów przypadał do twarzy, i tak dzielnie jechała na swoim stepowym koniku, zwinnym jak pantera, i lotnym jak łania.

— Did kazaw, żebyś was odprowadziła do futoru Zawidnoho — rzekła, jadąc koło mnie.

— A nie będzie wam straszno wracać samej jednej w nocy?

— Straszno? — A czegoż? — Trafiłabym do domu z zamkniętymi oczyma. — Znam od dzieciństwa ten step, i on zna mnie dobrze.

— Ale bywają w nocy źli ludzie na stepie — włączają się brodiahy, — bywają i wilki.

— Od złych ludzi ochroni Bóg — od wilków uniesie koń. — Jidmo!

— I pchnęła się naprzód żywym kłusem. — Step, noc, gwiazdy, księżyc, nieskończoność, milczenie i ta biała postać unosząca się w powiewach, gdyby duch lekki przestrzeni; i ta druga postać ciemna (wasz pokorny sługa) równie tajemnicza, chociaż mniej eteryczna od pierwszej; obie, jakby związane współnictwem losu, na znój wiecznej pogoni za czemś niedającym się doścignąć skazane — było to zaiste widowisko pełne fantastycznej treści — szerokie pole dla ballady lub le-

gandy. — Bürger i Mickiewicz nieomieszkiliby skorzystać z niego, i mielibyśmy jednym arcydziełem więcej. Wielką już przestrzeń stepu zostawiliśmy za sobą, gdy nagle Andzia śpiewać zaczęła. — Zrazu nieśmiała, półgłosem, potem wzmagająca się stopniowo brzmieniem i uczuciem, dźwięcznie roztoczyła się dumka ukraińska po stepie.

Dumka Andzi.

„Unoś mię, o! koniu wrony!

„Unoś w dziką stepu dal!

„Do mych dzieci, do mej żony. —

„Żal mi serce sciska — żal!

„Czy zastanę ich? — Od roku

„Spisa wrasta w moją dłoń,

„Szabla wpiła się do boku,

„Nie obeschła z potu skroń. —

„Od roku, w trudzie i znoju

„W zgiełku wojny płyną dnie!

„Czas, po krwawej burzy boju

„Z dziećmi, z żoną, spocząć mnie. —

„Dalej tedy! dalej wrony!

„Dalej, wierny druha mój!

„Wietrzę woń rodzinnej strony!

„Owiał mię pamiątek rój!

„Rwie się serce, rwie stęsknione!

„Dal go wciąga — nęci dal —

„Uściskam dzieci i żonę

„W radości ukoję żal!“ —

Pędzi kozak — szabla brzęczy —

Nagli konia — leci koń —

Wiater śladem za nim jęczy:
„Goń szalony!” — woła — „goń!”

Coraz bliżej — bliżej — blisko!
Ot kurhanek — dalej wał —
Za wałem gaik, ściernisko —
Za ścierniskiem — futor stał —

W tym futorze... lecz go nie ma!
Gdzież się podział? — Wszak tu był?..
Pustynia dokoła niema!
Już nie żyje, kto tu żył!

Ani sadka, ani chatki!
Czarne zgliszcze! — szczątki drzew!
A gdzie żona? — a gdzie dziatki?..
Patrz kozacze!.. ich to krew!

Pohulał Tatar do woli!
Rąbał, palił, gwałcił, bił!..
Do szabli! synu sokoli!
Na to żyjesz, żebyś mścił!

Bez analogii nie ma efektu. — Ten śpiew Andzi wydałby się niezawodnie dzikim, i nieprzyjemnym w salonie. — Na stepie rzecz inna. — Przestrzeń wymaga silnej piersi, i pierś Andzi brzmiała rozgłośnie, rzewno, roniąc za sobą tony, jakby ziarna melodyjnego zasiewu. Gdy skończyła, chyżej pchnęła się naprzód. Biegliśmy posuwistym cwałem, i lotnie step uciekał za nami — kurhany majaczyły z daleka. Gdzieniegdzie sterczały tęskne wierzby, pustelnice stepu, nad wyschlęm łóżem swego strumyka. — Gdzieniegdzie dąb starzec, bez konarów i kory, ostatni szczątek rozgromu czasów, dogorywał samotnie. To sęp zakracze wysoko. To się gdzieś

puhacz odezwie. To lis przemknie wędrowny. To trwożny zajączek przebieży. Milczała Andzia, jadąc zamyślona. Milczałem i ja, niemniej od niej zamyślony. — Wtem rozległo się opodał szczekanie psów strażniczych. Zbudzona z letargu marzeń, Andzia zawołała:

— Se chutor Zawidny! — Jidem!

— Wkrótce byliśmy pod strzechą Semena Smalki. Z tego to punktu zaczęła się bystrzejsza podróż moja na Bałtę, do Krzywego-Jeziora. Od wsi do wsi, od futoru do futoru, wszędzie podejmowany gościnnie, jechałem pospiesznie, z małemi przerwy, w towarzystwie przewodników, dobrze świadomych kierunku, których mi wszędzie na hasło imienia Sawy Bondara skwapliwie dawano. Spoczawszy tyle tylko w Bałcie, ile tego konieczna potrzeba wymagała, poleciałem co tchu do Krzywego-Jeziora. Stary Ołeksza Szewczenko był w domu, Pozdrowiłem go od Sawy, i powiedziałem czego od niego żądał.

— Wse zroblu — zawołał — jak win chce! — Niech będzie pewny szczo ja ne drem lu. Wiem dokładnie, co i jak się gdzie dzieje, i nie dalej jak jutro poszlę do Sawy mego syna Karłana z wiadomością jakiej potrzebuje.

— Zaspokoivszy tym sposobem sumienie moje względnie poufnego zlecenia jakie mojej gorliwości powierzono, spocząłem doskonale na sianku w stodole starego Ołeksy, i skoro świtać zaczęło, wyjechałem z Krzywego-Jeziora, do... Hetmanówki, z kądem, tuszę sobie, że mnie cny gospodarz nie wypędzi przed jutrem, za to, że jego samego i przezacnych gości wynudził moją rozwlekłą gawędą, o rzeczach błahych... pozornie; bo tylko pozornie. *)

*) Całe to opowiadanie Lipowczyńskiego nie jest

— Tak rzeczywiście! — przemówił Michał Grabowski. — Pozornie tylko była błahą treść twego opowiadania. — W gruncie jej bowiem leży smutna i niezaprzeczona prawda, żeśmy się nie umieli poznać na ludzie, i przywiązać go do siebie.

— Dość tych jeremjaszowych elegji! — huknął pan Stanisław zwykłą swoją tubalną intonacją. — Co się stało, nieodstanie. — Bierz zatem kat wszystkie niewczesne filozofowania, które dziś, tyle korzyści przyniosą, co umarłemu kadzidło. My Polacy jesteśmy niepoprawni; to fakt absolutny! — Jakimi nas zrobiono, takimi pozostaniemy aż do walnego sejmku Jozafatowej doliny, na którym *nisi fallor* czeka nas suty traktament boćkowskich specjalów za całą sumę głupstw, pojedynczych i zbiorowych, których fatalne konsekwencje dźwigać obecnie *nolens volens* musimy. — Owoż tedy, czy nie zechciałbyś szanowny panie Michale, dla zatarcia przykrego wrażenia, jakie opowiadaniu Lipowczyńskiego zawdzięczamy, rozpocząć ciąg dalszy swojej ciekawej narracji o tym zaklętym skarbie Miączyńskich, który nam tylko mignął przed oczyma, jakby dlatego naumyślnie, żebyśmy doń nadaremnie ślinę połykali?

— Ponieważ zacząłem, dokończę! — rzekł Michał Grabowski. — Uprzedzam was jednak moi panowie, że i ta część opowiadania nie będzie ani wesołą, ani lakoniczną. — Uzbrojcie się przeto w cierpliwość, a jeżeli onej nadużyję, wybaczenie. — Stanęliśmy w miejscu rzewnem i smutnem. — Irena umarła. — Rozpacz dokonała dzieła swego. — A ten, co się do tej rozpacz

wymysłem. Złe myśli krążyły wtedy rzeczywiście pomiędzy ludem ukraińskim, i gdyby nie interwencja starych gospodarzy wiejskich Bóg wie na czymby się skończyło.

przyczynił, skamieniał od przerażenia i żalu. — Ponieważ ostatnią wolą Ireny było, żeby spoczęła w ziemi rodzinnej, zacny pan Symforjan Chamiec przystąpił gorliwie do skutecznienia onej. — Wojewoda dawał ludzi, konie, wozy, pieniądze; dałby krocie nawet, tyle go dotknęła śmierć Ireny; lecz pan Symforjan odrzucił wszystko ze wzgardą.

— W imieniu nieszczęsnej ofiary twojej wojewodo — mówił on — ofiary czcigodnej, bo niewinnej, odmawiam! — Biedny jestem, lecz to ubogie mienie moje wystarczy na oddanie ostatniej posługi księżniczce. — Nie nalegaj wojewodo! — Byłoby nadaremnie!

— Tak się też i stało. — Odjechała biedna Irena z Zawieprzyc, o koszcie swego najwierniejszego przyjaciela. — Skromną jej trumnę, z polerowanego dębu złożył p. Chamiec do takiejże skrzyni żelaznymi sztaby okutej, którą władował na wóz, o ścianach wysokich i dość obszerny, żeby się obok trumny swej pani, Zoe i Ksenia wygodnie pomieścić mogły. — Sześć koni ciągnęło ten wóz, a konie te kupił pan Symforjan za własne pieniądze. — Stangreta i trzech silnych pachołków z drogą oswojonych, najał. — Sam zaś starzec czcigodny jechał konno przy żałobnym wozie, jak straż wierna, opiekun, ojciec, ostatni przewodnik w podróży ostatniej, na spokój wieczny, na wieczną bierność dla tego, co było, jest i będzie na ziemi. — Zdarzenie to potrząsnęło gwałtownie wojewodą. — Pękła od ciosu jego wola żelazna. — Ukorzyła się nieugięta duma. — Zwolnił narów despotyczny nieznający krańców, ani tamy. — Posmutniał zamek, bo i sam pan onego posmutniał. — Dnie trawił na samotnem błędzeniu po alejach i altanach ogrodu, które z Ireną odwiedzał. — Zamykał się bywało w jej pokojach, gdzie długie godziny przepędzał

i podsłuchano, że ciężko wzdychał, niezwiązane jakieś z sobą rozchowy toczył, a nawet płakał. — W nocy rzadko zasypiał, i to ledwie na chwil parę a giermek przyboczny, czuwający *ex officio* u podwoi sypialni wojewody opowiadał, że go przerażały nieraz jęki jego, pośród których wymawiał jakieś błagalne, urywane zaklinania, jakby się jakiemuś straszliwemu widzeniu opierał; jakby je przebłagać, oddalić od siebie usiłował. — Sumienie snąc wkroczyło w swe opatrnościowe prawa, i dopełniało nad winowajcą zasłużonej kary. — Ten stan duszy nie mógł pozostać bez wpływu na stan fizyczny wojewody. — Nie jadł, nie pił, nie spał w miarę potrzeby organizmu, coś dziwnego, że w końcu obłożnie zachorował? Rozbiegli się gońce w różne strony, po lekarzy, do krewnych i do brata wojewody, Antoniego Miączyńskiego *), kasztelana Podlaskiego, który mieszkał w swoich podlaskich dobrach. — Dwóch starych lekarzy przyjechało; jeden z Krakowa, a drugi z War-

*) Później wojewody Podlaskiego starosty Łuskiego. On był dwa razy żonatym. *Imo voto* z księżniczką Korybut-Wisniowiecką. — Z niej miał Józefa generała Ardeńskiej armii we Francji (*Général en chef*). Ścięty w Paryżu podczas rewolucji. — Pierwszą żoną jego była córka margrabiego de Coigny (z rodu książąt de Coigny z przydomkiem Guillot de Franquetot, (drugą, księżniczką de Penthièvre-Bourbon. — Ten Józef był sławnym konfederatem Barskim, bronił Krakowa w 1772. r. i nazywano go generałem nieustraszonym. — Antoni Miączyński był ożeniony *2do voto* z księżniczką Korybut-Woroniecką, starościanką Szredzką. — Z niej miał Kajetana M., generała-lejtnanta wojsk polskich, ożenionego z Jabłonowską herbu Prus.

szawy. — Obydwa niemcy, w niemieckim stroju, w ogromnych perukach, i z takimiż okularami na nosach krogulczego formatu suto odkarmionych tabaką. — Postawa ich magistralna, nadęta, przypominała jędora w chwilach największej jego fanaberji; a kiedy przystąpili do uczonej djagnozy u łóża chorego, to nawet i samego jędora zakasowali. — *Herr Schwindelmacher* dał się przed *Herr'em Katzeneselskopfem* i na odwrót. — Obydwa zerkali na siebie prowokacyjnie, antagonizmem pychy uzbrojeni. — Gdy w końcu nadokuczyli do syta nieśczęsnemu pacjentowi, oddalili się procesjonalnie do osobnego pokoju, i tam swoje *consilium* rozpoczęli. — Poczęstowawszy siebie nawzajem tabaczką, usiedli do stojni zwolennicy Hippokrata naprzeciw siebie, i długo ust nie otwierali, dla bardzo naturalnej przyczyny, bo żaden nie mógł skłonić swej pychy do zrobienia pierwszego kroku. — Lecz wszystko musi mieć swój koniec. Zniecierpliwiony *Herr Schwindelmacher* nie wytrzymał dłużej, i zapytał:

— Co myślisz kolego o stanie chorego?

— Hm! a ty dostojny kolego — odpowiedział skandując dobitnie każde słowo *Herr Katzeneselskopf* — co myślisz o jego stanie?

Znowu nastąpiła pauza.

— Ja myślę...—ozwał się nakoniec *Herr Schwindelmacher* — że w tej chorobie leży *causa occulta*, której zdeterminowanie, wiele akcesoryjnych dolegliwości, *alias* pobocznych symptomatów, niezmiernie utrudnia. — Sądzę jednak, *nisi fallor*, szanowny kolego, *hunc morbum esse febrem malignam*.

— *Proh pudor!* Coś wyrzekł? — zawołał z obu-

rzeniem wskakując z krzesła *Herr Katzenesekopf* — w imieniu Hippokrata, *nego!* — W imieniu najśłynniejszych jego adeptów, *nego!* — W imieniu samej sztuki, którą *viri praestantissimi* do takiej świetności podnieśli, *nego!* — Wojewoda chory na co innego. — U niego, *morbus intestini plenioris!* — Ślepyś, mimo okularów, kolego! — Symptomata jasne jak dzień! — *Dixi!*

— A tyś więcej jeszcze ślepy odemnie! — wykrzyknął poruszony do żywego *Herr Schwindelmacher*. Nazwałem tę chorobę *febris maligna*, bo innej z tego co obserwowałem, nie dopuszczam. — *Capitis dolor, pulsus debilis, et inaequalis, nec non sitis, et inquietudo* — alboż to nie usprawiedliwia mego zdania? — Co do twojej opinii w tym względzie, pozwól sobie powiedzieć, że wygląda na żart studencki, ubliżający i mnie, i tobie, i naszej przesławnej profesji! — Coby na to powiedzieli *Mercatus, Trincavellius, Altomarus, Andernacus, Abvali-ibn-Sina, aliique clarissimi medici*, żeby słyszeli twoją diagnostyczną dedukcję? — *Morbus intestini plenioris!!* co za błąd! co za nonsens! co za głupstwo! — *ha! ha! ha!*

— *Tausend Sapperment!* Nie ja, a ty pleciesz głupstwa jak niedouczonego student!

— *Blitz und Donnerwetter!* i ty śmiesz tak mówić do mnie? ty? rozczochrań peruko, pod którą nośisz swój łysy czerep bez mózgu?! *Febris maligna!* powtarzam, a więc *venaesectionem* natychmiast zaordynuję!

— A ja stoję przy swoim! — Zaordynuję *purgationem* i *sudorifica*.

— Nieuk jesteś, *Herr Katzenesekopf!*

— A tyś osioł, *Herr Schwindelmacher!*

— Co? — ja osioł? — ja! *doctor, quia doctus, sum!* — ja! autor Aforyzmów, *de hydracephalo acuto*, czyli puchlinie mózgu...

— W których dowiodłeś że go sam nie masz...

— Autor Apoftegmów...

— Których nikt nie czyta, bo głupie...

— Tu nie wytrzymał *Herr Schwindelmacher* — zawrzał gniewem szalonym, i nie będąc już panem siebie cisnął swoją tabakierką w łeb oponenta, który mu, nie wiele myśląc, tąż monetą natychmiast odpłacił. — Zajuszyły się przemądre łby i prześwieatne nosy. — Widok krwi zaognił jeszcze więcej wściekłą zajądlność za targu. — Pięści wkroczyły w szranki bojowe i zaczęły rozracać straszliwe spustoszenia, których *facies* walczących na długo zapewne zachowały ślady. — Dostało się też i poważnym perakom. — Najprzód poleciały z nich kudły i strzepki; potem się same całkiem ulotniły odskłaniając admiracji światu nagi, jak step Sahary, *occiput* dostojnych gladiatorów wiedzy.

— Takim tedy sposobem zakończyło się owe uczone *consilium*, mające stanowić apodyktycznie o wyzdrowieniu wojewody. — Wątpię, żeby się wzajemne guzy i policzkowania zwaśnionych konsultantów mogły do uzdrcwienia pacjenta *directe* przyczynić; nie podlega wszakże wątpieniu, że wpływ ukośny tego rycerskiego zatargu na powyższy rezultat okazał się wielce zbawiennym, albowiem prześwieatni dygnitarze sztuki, nie mogąc żadną miarą zgodzić się na jedno, odjechali sobie szczęśliwie, każdy w swoją stronę, z poszarpaną pe-

ruką, wprawdzie, i z tatuowanym obliczem, lecz zato z nieobciążonem sumieniem śmiercią bliźniego. — Znamy nasz ukraińiec Sawa nie odstępował swego pana. Czuwał nad nim w chorobie, nie tylko z gorliwością wiernego sługi, ale nadto z umiejętnym taktem, przenosząc daleko stan jego i umysłowe wykształcenie. — Bo też to co w nim działało nie było płodem nabytym z wykształcenia, lecz z natury. — Zdrowy rozum i serce szlachetne, wiodły go za rękę po drodze życia, i wiodły nieomylnie. — Od kiedy p. Chamiec opuścił Zawieprzycę, Sawa objął zarząd zamku, i stał się stróżem nie tylko mienia pańskiego, ale i zdrowia. — On to wyprawił z własnego popędu *Herr'a Schwindelmachera* i *Herra Katzeneselskopfa*, dając im do zrozumienia bez ogródki, że nie na to ich sprowadzono, żeby siebie po łbach trzepali. — On to sprowadził z nadzwyczajnym pospiechem, i nie szczędząc kosztu, z Ukrainy słynną znachorkę ludową, Horpunę, o biegłości której, w leczeniu najtrudniejszych chorób cuda opowiadano, i którą znał osobiście. — A skoro przybyła, nie dał jej nawet wypocząć po długiej podróży, lecz powiódł natychmiast do chorego. — Od tej chwili zaczęła się zmniejszać wyraźnie gwałtowność choroby. — Empiryzm ludowy dokonał, czego sztuka dokonać nie potrafiła. — Stara baba, obca wszelkiej teorii, pokazała się biegłąszą od specjalistów napchanych teorjami, których zastosować nie umieli. Zaledwie dwa tygodnie ubiegło, zdrowie wojewody polepszyło się do tyła, że chodził o swojej mocy po komnacie, sen i apetyt odzyskał. Nie odzyskał przecież ani moralnego pokoju, ani dawnego wesela. — Gdy ciało wróciło do zdrowia, czemuż nie wyzdrowiała i dusza? — Czemu? — bo pamięć podsycala w niej co chwila ognisko wyrzutu i żalu, bo dniem i nocą stała przed nim biała postać konającej Ireny, i brzmiało bo-

leśnie ostatnie jej słowo na ziemi. — Smutnym był tedy wojewoda, smutnym głęboko, tylko mniej zapędów, więcej rezygnacji okazywał. — Pewnej nocy, kiedy go sen omijał, rzekł wojewoda do Sawy:

— Tobiem winien pocciwy sługo mój powrót do zdrowia. — Wiem, ileś dla mnie uczynił i z jakim sercem. — Żaden brat, ani przyjaciel nie byłby trokliwszym od ciebie. — Chciałbym wynagrodzić ciebie Sawo! — Mów! czego żądasz?

Posmutniał Sawa na te słowa swego pana — jakby mu przykróść sprawiły; i nie prędko, bo po długiej chwili milczenia odpowiedział:

— Ja ba'tku nyczeho ne choczu!

Zdumiał się wojewoda, bo nie wierzył w bezinteresowność ludzi, i Bogiem a prawdą, trudno było mieć mu za złe, że w nią nie wierzył. — Ci, z którymi w ciągu życia zostawał w styczności, byli wszyscy, mniej więcej, ludźmi jego sfery, musieli zatem mieć właściwe jej ułomności duchowe. — Interes był po większej części jedynym cementem, który ich z sobą łączył; a ciche, skromne poświęcenie, bez spekulacyjnych widoków egoizmu, nie było nawet dostępne ich pojęciu. Tem się tłómaczy zdumienie wojewody, w obec tej niepojętej dlań bezinteresowności prostego człowieka, w którym niespodziewał się, bo nie mógł się spodziewać znaleźć tyle moralnej wyższości i cnoty.

— Nie pojmuje Sawo — przemówił doń ze wzruszeniem podziwu i rozrzewnienia — dlaczego wzbranasz się przyjąć odemnie wynagrodzenie jako dowód uznania i mojej wdzięczności. — Jesteś biednym — czemuż nie chcesz żeby cię wzbogacił?

— Ne chocz u bat'ku! — odpowiedział szlachetny kozak, kornie, lecz stanowczo. Wierności mojej nie sprzedaję za pieniądze. Złoto, błoto! Nie chcę się paskudzić na starość.

— Fawor Sawy rósł odtąd codziennie. Nie było takiej rzeczy, której by mu wojewoda odmówił; lecz wierny swej wyłącznej naturze, pocziwy ukrainiec trwał stoicznie w swej bezinteresowności; nie prosił o nic dla siebie — za to o innych nie zapominał. — Szeroko zaczął słynąć dobroczynnością, ów groźny przedtem, i nieprzystępny dla niedoli, zamek zawieprzycy. Żadna jej skarga nie pozostała bez względu, żadna nadzieja nie doznała zawodu. Rozwarły się bramy zamku na oścież, i nie było Cerbera u wnijscia. Rozwarło się i serce wojewody, i ulotniła zeń dawna przywara. Narzędziem jego dobroczynności był nie kto inny, tylko Sawa. On skargę przynosił i pociechę odnosił. — Było też czem hojnie szafować wojewodzie — było! — Oprócz obszernych majątności, Maciejowskiej i Zawieprzyckiej, otrzymał on nadto w dziale Miączyn i Połajów (na których pisał się hrabia) Garwolin, Zajączki, Radziwiłłów, Miropól, Sielec, i t. d. a były to wielkie i ludne klucze, w najżyźniejszych okolicach kraju położone; a więc dochodne. Sypały się tedy pieniądze do kasy, a Bóg zrządził tak, że się z niej po większej części na cele zacne rozchodziły. Że w tym odmiennym trybie życia wojewoda musiał znajdować ulgę i rozweselenie, niema wątpliwości — a jednak, smutnym był zawsze, i moralnie cierpiącym — czuł się samotnym na świecie. Upadał pod ciężarem swojej przeszłości. Dusza jego nie miała westchnąć do kogo, bo niebo dla niej było puste i ziemia była bez Boga. Nie szukał on pociechy w modlitwie, bo do kogoż miał się modlić, przed kim ukorzyć, kiedy o Bogu wszechmocnym i mi-

łosiernym zapomniał? Jedną tylko doczesnością zajęty; uganiając się za jednemi li tylko celami żądź namiętych, i pychy, stracił wojewoda zupełnie ów zmysł religijny, co dzikiemu nawet człowiekowi, w pustyni głuchych lasów, lub gór niedostępnych, istnienie najwyższej istoty objawia, i ducha jego do hołdu kornego pobudza. Miotał się tedy wśród świata o własnych siłach, a wiadomo co znaczy siła człowieka ogołoconą z wiary, nadziei i miłości Boga. Miotał się i upadał; a kiedy powstać usiłował, nie mógł, bo mu niebo nie przychodziło na pomoc.

Pewnej bezsennej nocy (a było to wkrótce po chorobie wojewody) nie mogąc poskromić zamętu jakiego doznawał, zbudził nieodstępne Sawę i rzekł doń:

— Sen mię odbiega. — Powiedz mi co.

— Szczoż bat'ku? — przemówił pocziwy kozak, z wyrazem spółczucia. Nie pierwsza to noc taka! Nie pierwsza! Wasza dusza bat'ku, niespokojna. — Czemuż jej nie uspokoicie?

— Alboż to zależy od woli człowieka?

— Ja bat'ku, prosty kozak, nic więcej. — Nie mnie zatem dawać rady mojemu panu; ale...

— Mów Sawo śmiało — mów wszystko co masz na myśli!

— Kiedy pozwalacie bat'ku staremu słudze żeby wypowiedział otwarcie co myśli, to będę posłusznym. Zapomnieliście o Bogu i on o was zapomniał. — Ztąd niepokój duszy waszej; ztąd smutek wasz i bezsenne noce.

— Bredzisz Sawo! — bredzisz! — zawołał wojewoda do głębi wzruszony. Bóg, jeżeli jest w istocie, nie

troszczy się o nas. Stworzył człowieka, rzucił go do ziemskiego bagna i powiedział mu: „Radź sobie jak możesz z.”

— Ne każył tak pane, bo hriszno! — U nas, ludzi prostych, inaczej myślą i wierzą. — Żeby tak nie było, wpadlibyśmy w rozpacz — a wiadomo, że rozpacz to samo co potępienie, bo do grzechu prowadzi. Któż nas ratuje? Wira! Od starego do małego, każdy z nas czuje niebo nad sobą, i cieszy się że nie sam jeden na świti. Każdy wie że tam z wysoka czuwa nad nim myłost' Bożaja, i nieopuści go w godzinę śmierci. Komu złe na ziemi, nie wątpi, że mu na tom świti bude lipsze. — A czegoż więcej potrzeba?

Zamyślił się wojewoda i długo by może pozostał w tem pogrążeniu się w sobie samym, gdyby się Sawa w ten sposób nie odezwał:

— Pozwoliliście bat'ku żebym gadał, a więc gadam. — Wiecie że zmyślać nie lubię (bo u mnie prawda, świataja ricz) możecie zatem pane wie-
rzyć temu co wam opowiem.

— Mów — będę słuchał — przemówił wojewoda.

— Byłem jeszcze smarkaczem — ciągnął dalej Sawa — i żyłem przy rodzicach na Ukrainie. Miałem dwóch braci starszych i dwie siostry młodsze. Chata nasza była duża, wygodna, nowa. Za chatą leżał sadek wiśniowy — dalej ogród warzywny. Za ogrodem, mieliśmy spory kawał dobrego gruntu, co rodził pszenicę jak las. Ojciec był człek pracowity, spokojny i dobry. Takiej matki jak moja, nie było drugiej na świecie. — Rodzice kochali dzieci — dzieci kochały rodziców. — Byliśmy więc szczęśliwi — zupełnie szczęśliwi!

Tu zamilkł Sawa, i głowę opuścił, jakby pod ciężarem boleśnego wspomnienia.

— Cóż dalej Sawo? — zapytał wojewoda.

— Skazawem bat'ku, że byliśmy zupełnie szczęśliwi! — ciągnął dalej Sawa, pociągnawszy dłonią po czole, chcąc zetrzeć chmurę co na niem osiadła. — Owoż tedy myłostywy pane, naleciał czambuł na Ukrainę. Rozlała się tatarszczyzna jak woda, po kurenach, futorach i siołach, i dawaj rąbać, palić, rabować, gwałcić, po swojemu.

Blisko nas było misteczko, Żornyszcze, ¹⁾ pana starosty Strutyńskiego. Trzymał on na zamku swoim trzy sotnie dworskich kozaków, i miał na murach kilka żelaznych armatek. Pułkownik załogi, Masłowski, ²⁾ kazał zwoływać lud okoliczny, żeby się schronił do zamku. Kto mógł, spieszył tam, z familią i majątkiem. Mieliśmy i my to samo uczynić. Wozy były już zaprzężone i bednie i kufry nasze leżały na nich, gdy nagle wpadli na podwórze zadyszani hajdaje co paśli trzodę na stepie, i oznajmili, że wielka chmura Tatarów toczyła się od Lipowca w naszą stronę. Działo się to, pamiętam, w samo południe. — Futor nasz, zewsząd odkryty, nie mógł być niedostrzeżonym; żadnej więc nie pozostawało nam nadziei ratunku — żadnej.

— Prawda! — zawołał wojewoda — kręto było koło was! — Ale czemużecie nie umykali do Żorniszcz?

— Tatary złowyły by nas bat'ku. — Wozy były ciężkie, mocno naładowane. — Niepodobna byłoby nam ująć od lekkiej pogoni tatarskiej.

¹⁾ W gubernii kijowskiej, w powiecie lipowieckim.

²⁾ Realne. Jego prawnik służył u mego ojca.

— Masz rację.

— Otóż była u nas odwieczna nerukotworenaja ikona Spasa, kosztowny klejnot familijny. — Na drzewie malowana, czarna od starości, wisiała na ścianie w jednym z rogów świetlicy, w kijocie oszklonym, który bywało matka i siostry moje ubierały starannie w kwiaty, zielen i białe ręczniki. — Wieczna lampa w srebro oprawna, i na takichże łańcuszkach u pułapu zawieszona gorzała przed nią dniem i nocą. — Nazywano ją cudotworną, bo robiła cuda. — Od kiedy zapamiętam, w każdy wielki praznik ojciec przywoził bywało popa z Żorniszcz, albo z Lipowca, żeby odprawił moleben za zdrowie semji naszej i całość dobytku; i nikt w semji naszej nie chorował, i dobytek mnożył się szczęśliwie. — Skoro tedy straciłmy nadzieję ratunku od Tatarów, o których przybliżeniu donieśli nam hajdaje, pierwszą myślą naszą było wezwać pomocy owej cudotwornej ikony. — Ojciec i matka padli na twarz przed nią z całą semją swoją, i uderzywszy czołem trzy razy zawołali głośno: „Wo carstwi twojem pomianinas Hospodi! „Sława tobi, i nynie, i prisno, i wo wiki wikow — amiń!“ — A gdy powstałi uściskali nas ze łzami, jakby na wiecznoje proszczanie — bo słychać już było głuchy tentent hordy na stepie i dzikie okrzyki. — Słychać było, że pędziła ku futorowi naszemu; a więc, że się ostatnia godzina nasza zbliżała! I cóż bat'ku? — Wira była ratunkiem naszym. — Bóg dopuścił cudu. — Cudotwornaja ikona Spasa, odwróciła od nas śmierć niechybną. — Horda przebiegła cwałem mimo naszego futoru, uniosła się ku Żorniszczom, znikła z oczu na stepie, i już więcej nie powróciła. — Ot! jak było bat'ku. — A czemu tak

było? — bo kto wiryt w Boha tomu win i pomahaje!

— Rezultatem tej bezsennej nocy, w rozmowie z Sawą przepędzonej, było to, że wojewoda wpadł w głęboką zadumę, w której całe dwie doby zostawał. Trzeciego dnia kazał, ku wielkiemu zdziwieniu całego zamku, wezwać do siebie miejscowego proboszcza, weterana świętego posłannictwa miłości i wiary, słynnego pobożnością i surowem życiem księdza Piotra Milewskiego. Był to już starzec podeszły, wspaniałej i ujmującej postawy. — Słodycz i pobjaźnianie jaśniały na jego sędziwym obliczu, i nieudaną pokorą tchnęło każde jego słowo. — Należał on tedy do rzędu ludzi wybranych, pojmujących mandat kapłaństwa nie według świata, lecz według Boga i ewangelii. — Nie wierzył w słowo, ale w czyn. — Nie pokładał zasługi w pacierzach, w postach i w biczowaniu się, lecz w czystej intencji duszy, i w dopełnieniu obowiązków chrześcijanina o tyle, o ile to możebnem człowiekowi na stanowisku, jakie zajmuje. „Nie ten chwali Boga“ — zwykł mówić — „co trzepie pacierze i morzy siebie głodem, „ale ten, co dobrze czyni bliźniemu i złego „mu przykładu nie daje. — Bóg więcej nie żąda.“ — Pomimo bogatego probostwa był on prawie biednym, biednym dobrowolnie, bo całą niemal intratą rozporządzał w sposób odpowiedni przekonaniu, jakie miał o naturze obowiązków pasterza i kapłana. — Czy gdzie pożar zniszczył dobytek wieśniaka, czy nawiedziła choroba lub śmierć, spieszył starzec czcigodny z pomocą, pociechą i radą, gotowy podzielić się ostatkiem, podzielić się łzą i modlitwą. — Kiedy bywało wstępował na ambonę, słodycz i prostota sączyły się z ust jego. — A kiedy wyrzucał ludziom nieposłuszeństwo prawom boskim; kiedy błędy prostował i zatwardziałość potępiał,

było w tem więcej współczucia, ubolewania, rzewnej li-tości, niżeli oburzenia. — Nie unosił się gniewem nie tryskał żółcią, nie piorunował, ale nauczał spokojnie, łagodnie napominał, zachęcał do poprawy, a drogę tej poprawy usiłował zrobić dostępniejszą, łatwiejszą, pożą-dańszą. — Hasło ewangeliczne „*Filioli, diligite alteru-trum*“ było głównym tekstem jego kazań, — jak i ży-cia jego.

— Wieść o cnotach księdza Prota, przechodząc przez usta niechętnego jemu zwierzchnictwa duchowne-go, doszła była do uszu wojewody, skażoną. Nim zje-chał do Zawieprzyc, ba nawet na długo przed śmiercią swego ojca, słyszał już o nim, jak o dziwaku, hypokry-cie, nieuczonym i bezdarnym. — Dalekim był wtedy wojewoda od myśli, że w zdaniu takowem kryła się właśnie największa pochwała zawieprzyckiego proboszcza, i że jeżeli nań tak ostro powstawano, to dlatego jedy-nie, że był nie jednemu z oszczerców swoich solą w o-ku, żywym wyrzutem i rażącą sprzecznością. Ale czas, który jedną ręką obala, a drugą wznosi, niczemu po-zostać niezmiennem nie pozwalając, przekształcił także i opinię wojewody o księdzu Procie. Osiadłszy w zamku zawieprzyckim, zdziwił się nie mało, gdy prawda, potę-piająca jego poprzednicze zdanie, stanęła mu przed oczyma. — Dzień każdy utwierdzał w nim odtąd spra-wiedliwszy pogląd na dostojęstwa moralne tego wzoro-wego kapłana; dzień każdy podwajał chęć ciekawą po-znania go z bliska. — Stanęło w końcu na tem, jakem powiedział, że posłał wezwać go do siebie.

— Ważna była to epoka w życiu wojewody; epo-ka przerodzenia się całego jego jestestwa, w duchu za-sad ewangelicznych, których dotąd nieuznawał, bo się nad ich świętością nigdy nie zastanowił. I mogłóż

być inaczej? — Świat, ta wieczna arena walki ludzkich namiętności, czyliż nie odrywa duszy co chwila od głę-bszych poglądów na siebie samą, wiodących do opamięta-nia i poprawy? — Czyliż pozwala jej wysłuchać zba-wiennych objawień wiekuistej prawdy? głosu przestrogi sumienia? — Trzeba gwałtownego ciosu, żeby duszę takim zamętem pochwyconą opamiętać, i do zaparcia się swych błędów zniewolić. — Takim to właśnie ciosem była dla wojewody śmierć Ireny, na sumieniu jego całą wagą zbrodni ciążąca. — Takim ciosem były słowa obu-rzenia i pogardy, jakimi dotknęły go do żywego szla-chetne usta Chamea po dokonaniem samobójstwa Ireny. Sam Bóg przysposobił grunt pod zasiew zbawienny po-kuty i poprawy, uskutecznienie którego poleciły nieba czcigodnemu proboszczowi zawieprzyckiemu. — Jakoż i dopełnił go chwalebnie. — Padło z rąk jego żywotwor-ne ziarno na znękaną duszę grzesznika; padło i bujny plon wydało. Częste konferencje wojewody z księdzem Prote-m; konferencje ustronne i długie godziny trwające pokonały zwycięzko nareszcie antireligijne uprzedzenia dumnego grzesznika, w samolubnem zamiłowaniu docze-sności pogrążonego. — Wielki dzień zajaśniał nad za-wieprzyckim zamkiem! Łaska Boska wstąpiła do jego wnętrza. — W skromnem ubraniu, z obnażoną głową, z obliczem skrucę i pokorę wyrażającym, udał się Piotr Miączyński pieszo do parafialnego kościoła. Była godzina poranna — i nikt oprócz Sawy nie towarzyszył mu w tej pobożnej pielgrzymce.

Kapłan czekał już u ołtarza; lecz nikt z przyto-mnych w kościele nie wpadał na domysł, na kogo cze-kał i czemu świętej ofiary nie zaczynał? Jakież być musiało ogólne zdziwienie, gdy ujrano wkraczającego do świątyni magnata, którego duma i chłód religijny

były wszystkim wiadome? — Skoro kapłan rozpoczął *introit*, wojewoda ukląkł, poczem leżał krzyżem na kamiennym pawimencie kościoła. Wtedy to przejrżeli wszyscy tajemnicę. Pan korzył się przed Panem panów. Grzesznik pokutował w modlitwie i żalu. Syn marnotrawny powracał na łono kochającego ojca. I zdawało się jakoby duch światów i stworzeń, miłosierny i wszechmocny, rozpromienił się radośnie, w blaskach i kadzidłach ołtarza; jakoby głos przebaczenia i błogosławieństwa wionął z góry na ziemię w uroczystych melodjach organu i pobożnych pieśni. Ciepło uwielbienia objęło serca przytomnych. Nie było powieki bez rzewnej i hołdownej łzy Bogu. Sam kapłan, przejęty uroczystością chwili, wznosił się duchem natchnionym aż do wyżyn proroczego zachwyty, apostolskiej świętości. A rzesza pobożnych rosła i rosła w kościele, wolne tylko leżącemu krzyżem Piotrowi Miączyńskiemu zostawiając miejsce; albowiem on to był wtedy, nie kto inny, najpierwszym pomiędzy nimi, nie dla tego że pan milio nowy, że dygnitarz i wojewoda, lecz że pokutujący grzesznik, a więc najgodniejszy łaski nieba.

— Odtąd, innym stał się on zupełnie człowiekiem. Opadły męty duszy, ucichły wrzawy umysłu, uleciały grube tumany rozpaczliwego smutku. Spokój i błogość nieznana zamieszkały w nim natomiast, i nadzieja, ta dobroczynna córa niebios łaskawych, roznieciła dlań swą uroczą lampę. Ze zdrowiem duszy poszło w parze i zdrowie ciała. Wojewoda ożył, okrzepl, odmłodził, wszystko też ożyło dokoła niego, wszystko się uśmiechnęło weselej, w lepszej, słodszej i życzliwszej jego ku ludziom skłonności. Nie dziw, że odtąd ksiądz Prot odwiedzał codziennie wojewodę. Święte ogniwo połączyło ich na zawsze. Wojewoda ze swojej strony odwiedzał

co ranka, po mszy świętej, swego czcigodnego kierownika. Szerszem korytem popłynęła dobroczynność bogatego pana pod przewodnictwem świadomego miejscowej niedoli, proboszcza. Wdowy i sieroty nie roniły już odtąd łzy samotnej śród zapomnienia i nędzy.

— Nie mógł jednak Piotr Miączyński zmusić pamięci swojej do milczenia. Spokojniej, bo pojednany z Bogiem, lecz niemniej boleśnie jak i przedtem powracał on myślą do chwil obłędu, przywary i winy. — Żywemi barwy kreśliła pamięć jego, rozdzierający obraz konającej Ireny. Była to kara dotkliwa, kara zasłużona, czyniąca wojewodzie pobyt w Zawieprzycach nieznośnym. Postanowił zatem oddalić się z miejsca gdzie mu wszystko największą winę życia przypominało, i wkrótce to postanowienie skutecznił. Zamieszkał w Maciejowie. Tam go znajdziemy.

— Najpierwszem zadaniem Piotra Miączyńskiego po przybyciu do Maciejowa było urządzenie bezpiecznej i tajemnej kryjówki dla wezyrowskiego skarbu, pozostałego w piwnicach zawieprzyckiego zamku. Zgodnie z wolą swego rodzica Atanazego, wojewody wołyńskiego, chciał on przekazać skarb ów nietkniętym późniejszym pokoleniom rodu Miączyńskich, jako środek odzyskania świetnego stanowiska, jeżeliby takowe utraciły. Uważając wszakże testamentowe zastrzeżenie niedostatecznem dla całości pomienionego skarbu, i nie widząc innego środka zabezpieczenia go do właściwej pory od niecierpliwej pożądlivosti swoich spadkobierców, postanowił wojewoda zeszkamotować go na lat 150 (a la Pinetti albo Bosco) i dokonał tej sztuki w sposób następny. Najprzód wykopał w ziemi, czy wydrążył w zamkowych murach (bo to rzecz niewyjaśniona dotąd) zagadkowe *receptaculum* dla skarbu, a ludzi, któ-

rzy do tej tajemnej roboty użyci byli, porozsyłał do najodleglejszych posiadłości swoich, zobowiązawszy ich hojnemi dary do milczenia. — Potem sprowadził skarb z Zawieprzyc (do czego użył na się rozumieć nikogo innego, jeno wiernego Sawę, i ukrywszy takowy *ibi ubi*, z tymże Sawą w zamku maciejowskim, związał go solenną przysięgą, że nikomu innemu tajemnicy nie wyjawia, jeno w godzinę śmierci starszemu synowi swojemu, i to pod klątwą wyjawienia onej, umierając także starszemu synowi swojemu, z tymże obowiązkiem kolejnej transmisji spadkowej sekrety, starszemu z pokolenia, aż do ekspiracji 150 lat, w którym to terminie wolno będzie ostatniemu inicjowanemu potomkowi Sawy odkryć tajemnicę skarbu któremubądźkolwiek z Miączyńskich, z linii Atanazego wojewody wołyńskiego idących. — Takimi były owe *pacta conventa* między wojewodą i Sawą. — Zakłętę bogactwa miały pozostać niewidzialnem dopóki się końce zamierzonego kręgu czasów nie zbiegną z sobą; dopóki nie wyjdzie z ust świadomych tajemnicze słowo objawienia. — Nie przewidywał wojewoda, ile w podobnych apriorycznych układach człowieka z czasem zajść może omyłek rachunkowych! — Minał już podobno zakreślony termin, a nikt jeszcze magicznego słowa objawienia nie przemówił. Snać zastygło w przełocie epok; w przestrzeni wieków zamarło!

— Czyniąc wzmiankę o Maciejowie, kiedyś śmierć Atanazego Miączyńskiego, wojewody wołyńskiego i podskarbiego w. k. opisywał, zrobiłem lekki szkic i samego zamku, tej starożytnej, feudalno-magnackiej siedziby Miączyńskich. Wnętrze onego odpowiadało zewnętrznej wspaniałości, jeżeli jej nie przewyższało; — wszystkie bowiem najcenniejsze sprzęty zawieprzyckiego zamku przeniosły się wraz z panem swoim do Maciejowa, i

połączone z miejscowemi, podniosły okazałość rezydencji do nader wysokiego stopnia. — Bronzy, marmury, obrazy, zbrojownie, gobeliny, kobierce, mnogie rodzaje tkanin lewantyńskich, złotem lub srebrem na tle barwistych jedwabów wyszywane, harmonizowały się tam w jedną zachwycającą całość. Wschód i zachód podały sobie rękę w najwytworniejszych okazach swojego przemysłu i swoich pamiątek. — Komnaty były wielkie i poważnego stylu. W jednej z nich, długiej naksztalt galerji, i której wysokie sklepienie opierało końce swych łuków na słupach z cypryjskiego marmuru (*diaspro*) wisiały po ścianach obrazy, tudzież familijne wizerunki. W długim szeregu tych ostatnich trzymał czoło stary bardzo i nadwątłony olejny portret Stanisława Miączyńskiego pierwszego senatora w rodzie, któremu księżęta Mazowieccy nadali byli kasztelanie Wielską w 14tem stuleciu. Była to butna postać o licu wyrazistym i surowem, cała w żelazie i z mieczem w potężnej prawicy. Dziad, czy pradziad Atanazego Miączyńskiego, Andrzej, wojewoda płocki, mąż dzielnej postawy i groźnego oka, sąsiedował z nim na ścianie. Byli to *primi inter pares* tej poważnej falangi dygnitarzy i rycerzy w deljach, ferezjach, kolczugach, pancerzach i kontuszach, co jakby na przegląd potomstwa swojego z dawnych czasów, w późniejsze stąpali. Figurował pomiędzy nimi i sam Atanazy, zdobywca wezyrowskiego skarbu pod Wiedniem. Kilka obrazów, wcale niezłego pędzla, wyobrażało jego najznakomitsze rycerskie popisy; jak pod Chocimem za Michała Korybuta, przeważył, dzielnem natarciem, zwycięstwo na stronę Polaków; jak oswobodził pod Lwowem Stanisława Jabłonowskiego, hetmana w. k. otoczonego nawałem tatarskiej tłuszczy, i los bitwy zapewnił; jak się ucierał pod Wiedniem, stan Kara-Mustafy najeżdżał i zdobywał. Nie bardziej pouczającego nad te wy-

obrażenia wielkich postaci przeszłości, i wielkich czynów, któremi swe imię uświetniły. — Nie wiem jak kto, co do mnie, doświadczyłem nieraz, że poważniałem, rośłem, i krzepłem pod surowem spojrzeniem, tych martwych choć pełnych wyrazu źrenic, co się zdawały urągać nikczemności mojej, i budzić ducha do walki. — Wstyd mi się wtedy robiło samego siebie, że taki nikły ciałem i wolą bezwładny — że nie takim szermierzem jak oni, że słabą trzcina tylko, którą lada wietrzyk pomiata, kiedy oni byli potężnym dębem co się przed nawałnicą nie skłaniał, i wiekom butne stawiał czoło! Były też w tej portretowej galerji maciejowskiego zamku i niewieście konterfakta, młode i stare, powabne i brzydkie, a wszystkie dostojne, poważne, majestatyczne, godne takich ojców, mężów i braci. Ostatni z rzędu portret wyobrażał małżonkę Piotra Międzyńskiego, Katarzynę Rzewuską kasztelanekę podlaską, panią wielkiego wdzięku, i przebiegłego rozumu, co się w jej ożywionem spojrzeniu, i w ustach lekką ironią napiętnowanych wyrażał. Herb Krzywda jaśniał nad nią w pozłocistej armaturze laurową gałązką oplecioną. Zdziwicie się zapewne (jeżeliście o biednej Irenie nie zapomnieli) gdy wam powiem, że ta pani żyła jeszcze na Bożym świecie, w całej pełni zdrowia ciała i umysłu i wkrótce po przenosinach wojewody, z całym fraucymerem i półtuzinem respektowych panien z Warszawy, do Maciejowa przyjechała. Nie wiedziała ona, prawdopodobnie, o smutnym zawieprzycim dramacie, ani też o ciężkiej winie swego męża — a jeżeli i wiedziała, to jako rozumna kobieta nie pokazała. W najlepszej tedy byli z sobą komitywie; on, bo się poprawił, ona bo umiała być wyrozumiałą; czego zwykle żony nieumieją. Odżył znowu zamek przez lat kilka opuszczony, ruchem i gwarem nieustannych odwiedzin okolicznej i

odleglejszej magnaterji. Zjechała także i familia. Najprzód Antoni Międzyński, brat Piotra wojewoda podlaski, z żoną, księżniczką Korybut Woroniecką, starościanką Szredzką. Potem dwie siostry Piotra i Antoniego, Ossolińska podskarbina wielka koronna i Sierakowska strażnikowa koronna, zacne i poważne matrony. Potem księżna Hieronimowa Radziwiłłowa chorążyna litewska, i Ronikierowa cześnikowa litewska; obie młode, piękne i dobre, a więc mile przez familijne grono powitane. Wesoło pobiegły doby w maciejowskim zamku. Pocziwy p. Sylwester Witwicki, któregośmy poznali w Zawieprzycach pełniącemu funkcję marszałka dworu, (i który dawny fawor swego pana odzyskał) zawiadywał teraz maciejowskim zamkiem, i na arenie swego mandatu świetnie zdobywał sukcesy. Zabawom, niespodziankom, nie było końca, a wszystkie on wymyślał, i urządzał gustownie i wspaniale, ku zadowoleniu towarzystwa. — Tak przebiegła jesień i zima, rącho, bo wesoło i bezpowrotnie jak wesele. Rozpierzchło się familijne grono w różne strony, do Warszawy, do Działowa na Podlasie, na Litwę. Za to się nowy gość pojawił miły i uśmiechnięty — wiosna! — I drugi jeszcze — samotność! — I trzeci, najmniej spodziany — Chamelec! Był zmieniony do niepoznania. Błądną i krępką starość jego zastąpiła starość bezsilna, niemal zgrzybiała. Rumieniec zdrowia powlekły blade stygmata choroby i znużenia — a brózdy głębokie porały lica jego i czoło. Lecz uśmiech pokoju i błogości, świecił mu na ustach i w oku mglistem przyświecał.

— Witam was wojewodo! — rzekł doń z wylaniem — witam całym sercem! Przynoszę słowo zapytania, pojednania i błogosławieństwa! Żał wasz wzruszył niebiosy, a poprawa napełniła radością. — Żał obmył dawne męty wasze i oczyścił całe jestestwo jako

kryształ. Irena spoczęła w ziemi przodków, niechże i dusza wasza spocznie po burzy i znoju! — Bóg przyjął ją na łono swoje, za jej niewinność i cierpienie — Przyjmie i was, za waszą pokorę i pokutę. Duch Ireny przebaczył wam na niebie. boście i wy zwrócili serce ku pobożaniu i miłości. Uspokójcie się przeto umysłem i sercem. Niechaj pamięć przeszłości nie zatrzuwa dni waszych, obecnych i przyszłych. — Spijcie snem dziecka, żyjcie duszą chrześcianina.

Wojewoda nic nie odpowiedział, bo wzruszenie pochłonęło słowa. Lecz jakże wymownem było to jego milczenie! Nigdy by usta nie oddały tego, czego w sobie doświadczał, i co się w całej jego malowało postawie.

— Dzięki ci starcze czcigodny — przemówił nakoniec głosem urywanym — za dobre słowo pociechy i otuchy. Tyś posłańcem Boga, zwiastunem jego miłosierdzia. Trafiłeś boleśną, niezagojoną dotąd ranę mojego sumienia, aleś ból onej złagodził natychmiast balsamem przebaczenia i błogosławieństwa. Szczęśliwie progi tego domu, że cię ujrzały z powrotem. Szczęśliwym i ja, że cię powitać mogę! Usiądź tu — tu — koło mnie — i opowiedz z kąd przybywasz, gdzieś cały ten czas przepędził — opowiedz o...

Tu mu głosu nie stało. — Nie śmiał dokończyć swej myśli — wynurzyć żądania. — Zrozumiał starzec co się w duszy jego działo — pojął czego pragnęła — zaczął więc natychmiast swoje opowiadanie.

— I dobrze się stało, co się stało — chociaż byłoby lepiej, żeby się to samo stało inaczej — rzekł starzec z głębokiem westchnieniem. Dla biednej Ireny, śmierć była dobrodziejstwem, bo cóżby tu robiła na

ziemi, gdzie jej nic nie pozostało i nikt nie pozostał? Długą i mozolną była podróż nasza z Zawieprzyc do Multan, rodzinnego gniazda Ireny. Ileż to przeszkód musieliśmy podolać, nimeśmy stanęli u celu! I ludzie, i żywioły, i sama nawet miejscowość górami najeżona, lasami porosła, głębokimi jary porznięta, wszystko jednym słowem, zdawało się niedozwalać zwłokom Ireny spocząć na łonie ojczyznej ziemi. Lecz wielką jest potęgą wytrwałości, którą wiara w Boga pokrzepia! Daremne były przeszkody! Przewycięzyliśmy je szczęśliwie. Noc była kiedyśmy stanęli nad Prutem. Wiało gwałtownym wiatrem od strony gór Mołdawii i woda biła o brzegi. A do tego, chmury płynęły nawałem i było ciemno. Z racji niepodobieństwa przeprawy, przewoźnicy dokądś się porozchodzili. Pusto więc było na brzegu i głucho. Kazałem wyprząż konie, żeby się wytaczały po całodziennym trudzie; a że mieliśmy z sobą zapas obroku i siana, było ich czem nakarmić należycie. Niedaleko drogi szumiał las. Posłałem Semenę, co miał kocie oczy, żeby nazbierał wależniaku i suchych burzanów. Sprawił się gracko, mimo ciemnoty. Rozpaliliśmy ognisko. Zoe i Ksenia, które jechały przy trumnie swej pani, i trzęsły się od nocnego chłodu, wyskoczyły z wozu i pobiegly ogrzać się trochę. Reszta moich ludzi to samo uczyniła. Gdy się ogrzali, kazałem dobyć kociołki i podróżne trójnogi, dla przygotowania wieczery. Skoczyli żwawo chłopcy i zajęli się ochotczy przyrządzeniem hreczanej kaszy i mamałygi ze słoniny. A że im lampeczka gorzalinowa dodała apetytu, więc się żywo krzatali. Co do mnie, usiadłem na ziemi koło żałobnego wozu, i pogrążyłem się w myślach. Ta noc ponura, ten szum rozhukanych wód Prutu, ci ludzie snujący się około ogniska, napominały żywo czas bujnej młodości mojej, kiedym się nad tym samym Prutem,

w tem samem niemal miejscu, do bojowej zasługi zaprawiał, i nieraz, pośród ciemnej i słotnej nocy, jak ta, wyjeżdżał samotny na czaty, lub z wierną drużyną mężnych, gonił na oślep za Turkiem. Nie było dla nas tamy — nie było!

Noce, burze, prądy potoków, strome wąwozy, jakież miały dla nas znaczenie? Duch młody bujał nad niemi, szydził z nich, a dłoń jasnowidząca nie potrzebowała słońca, żeby szablą porazić wroga. Żywiej, niż kiedykolwiek stanął mi przed oczyma ów czas, tak skoro ubiegły i smutno mi się zrobiło.

Gdzież ci, z którymi łączyło mię braterstwo oręża? Gdzie dzielni i szlachetni koledzy moi? Niedawno zdawało się, byliśmy razem, a choć nas ubywało kolejno w bojach, pozostałe gronka ciasne wiązały sojusze, i zgodnie, bystro biegliśmy pospołu przez bezdroża życia. — Dziś wszystko minęło jako sen! — Nie ma ich! nie ma! — Ostatni, którego mi śmierć wydarła, był to rodzic wasz wojewodo! — Czemuż ja żyję dotąd? i tutaj sam w pustyni świata, jak ten upiór samotny, którego niebo nie chce i piekło odtrąca? — Czemu nie ległem obok tych mężnych szermierzy, co legli dzierząc w dłoni swój miecz wyszczerbiony, syty krwi i sławy? Takie były myśli i żale moje, gdy usłyszałem zbliżające się kroki. Człek jakiś stanął u ogniska i grzał się. — Nie był on stary, ale był znękany. — Zdawał się krajowcem, chociaż łachmany, jakimi był okryty, nie miały stanowczego charakteru mołdawskiej narodowości. — Twarz złowieszcza, oczy obłąkane, czoło w skibach, takie były jego cechy. Zoe z Ksenią patrzyły nań z przerażeniem; a moi ludzie, źle wróżąc o nim z pozorów, chcieli go odegnać brutalnie, ale się oparli temu. — Ktoś jest? zapytałem po mołdawsku. — Nie bój się —

możesz głodny? mamy posiłek — możesz spragniony? mamy i napój. — Jeżeliś cierpiący? znajdzie się rada i pomoc — tylko mów, kto jesteś? i czego żadasz? — Nieznajomy zbliżył się do mnie krokiem chwiejnym, a twarz jego, całą pełnią blasków ogniska oświecona, wyrażała niespokojne zdumienie, jakby niewiarę w ludzkie społeczenie. — Na powtórzone pytanie moje przyznał się nareszcie, że od trzech dni nie miał w ustach posiłku, i że go siły opuszczały — kazałem go nakarmić. — Ogrzany i posilony nabrał otuchy, i mniej dzikiem zrobiło się oblicze jego. — Było w niem cierpienie jeszcze, ale nie było ani obłąkania, ani rozpacz. — Wydało mi się jednak, że oprócz boleści przejawiała się w nim jakaś trwożna nieśmiałość, jakiś wstyd nawet, jakby sam w sobie uznawał, że nie był godzien obcować z ludźmi uczciwymi; że na ich wzgląd i społeczenie nie zasługiwał. Złe piętno było rzeczywiście na tym człowieku. — Wstręt niewolny odpychał mię od niego. Wicher zaczął wolnieć, a chmury, strącone z miejsca, rozsuwały się pomału. Zanosilo się na pogodę, z czego naturalnie byliśmy bardzo radzi, bo spory nam jeszcze kawał drogi zostawał do zamku Laskarysów. — Przewoźnicy, burzą rozpędzeni, zaczęli się zgromadzać na brzegu. — Kilku podeszło do nas, a pozdrowiwszy uprzejmie, usadowili się przy ognisku, lecz skoro tylko postrzegli nieznajomego, porwali się natychmiast z miejsc swoich, wołając „Aliko! Aliko!“ — i jakby zgrozą przejęci, uciekli. Jeden tylko, starzec atletycznej budowy i poważnego oblicza, pozostał z nami, i zbliżywszy się do skonfundowanego Alike, zmierzył go wzgardliwym okiem, przeszył na wylot i krzyknął:

— Precz ztąd! nędzniku! — Nie kalaj powietrza oddechem swoim! Nie hańb ludzi swoją przytomnością! Precz ztąd!

Drżący, z pochylonem obliczem, stał przed nami Alika i milczał.

— Zacożęście tak surowi dla tego człowieka? — zapytałem starca.

— Tak — wy nie wiecie — wy nie tutejsi — odpowiedział wpatrując się we mnie. — Nie słyszeliście nigdy — o! bo gdybyście słyszeli — ten oto nikczemnik nie siedziałby tu obok was, u wspólnej strawy, przy wspólnem ognisku.

— Starcze! — rzekłem doń wtedy — treść słów twoich ciemna — nie wiem tedy, zaco rzucasz kamieniem na tego człowieka. A jeżeliś w błędzie? A jeżeli on niewinien? Co powie na to sumienie twoje, gdy się przekona, żeś był niesprawiedliwym?

— Nie ma tu błędu! i być nie może! — zawołał z oburzeniem. Od dziecka do starca, każdy wie u nas, o strasznej zbrodni Alika. — On zostaje pod wzgardą ogółu — pod wyklęciem całego kraju!

— Cóż on zrobił, na Boga! — mówcież na koniec

— Kiedy Kara-Mustafa szedł tedy pod Wiedeń znalazł się taki pomiędzy naszymi magnatami (niech będzie przeklęty), co miał złość do księcia Laskarysa, i namówił wezyra, żeby ubiegł jego zamek, a samego schwytał jako najzawziętszego od lat wielu wroga Turcji. Wezyr nienawidził księcia Laskarysa; wiedział, że bogaty; zemsta i chciwość skłoniły go więc pójść za radą owego magnata; lecz gdy przyszło do najęcia przewodnika, coby mógł przeprowadzić oddział janczarów nocną porą przez wąwozy i strome urwiska, otaczające ów zamek, nikt z naszych, mimo groźb i hojnej zapłaty, nie chciał być tym przewodnikiem, chociaż znał miej-

scowość doskonale. — Uważano za hańbę taką posługę nieprzyjacielowi. — Mnie samego chciano skusić, ale się nie udało. Aga wysypał na stół kieszę złota; lecz gdy i złoto nie pomogło, zgrzytnął zębami, i pchnąłby mnie niezawodnie kindżalem, gdyby się nie obawiał odwetu, bo wielu tam naszych było. Znalazł się jednak taki, co się nie powahał zaprzedać cześć swoją za marną błyskotkę tureckich cekinów. Znalazł się taki nikczemnik, co się nie powstydił współnictwa w czynie gwałtu i mordy, i to względem jednego z największych i najzaciejszych panów naszych, co był szczerym przyjacielem ludu, i za honor narodu krew swoją nieraz przelewał! — On to, ten podły Judasz, którego widzicie przed sobą on, ten potworny wyrodek ziemi naszej, przekradł się w nocy do tureckiego stanu, wcisnął się cichaczem do namiotu Agi, i otrzymawszy z rąk jego sromotną zapłatę krwi, naprowadził go na zamek Laskarysów, kiedy był we śnie pogrążony....

— Jakto? — zawołałem porywając się z miejsca, jakby mię padalec użądlił — to on? to on był sprawcą tego strasznego nieszczęścia, co tyle łez i krwi nie-
winnej kosztowało?....

— Nieinaczej! — ciągnął dalej stary przewoźnik. Poczem zwróciwszy mowę do Alika, krzyknął z jakimś dzikim zapalem oburzenia:

— Gadaj! czym skłamał? — Gadaj!....

Aliko nic nie odpowiedział; tylko się zaczął oddalać pomału, i zanurzać w gęstych mrokach nocy, jakby ludzkiego oka i ludzkiego słowa dłużej wytrzymać nie mógł.

— Nikczemny! — krzyknął jemu wślad przewoźnik.

— Nieszczęśliwy! — dodałem.

— Od kiedy się to stało — ciągnął dalej starzec, w którym ku wielkiemu memu zdziwieniu przebiegało wyższe ukształcenie nad stan, jaki zajmował, wyrzekła się go rodzina, wyrzekł kraj cały. — Odwróciły się od niego, wszelkie współczucie, wszelka litość; zamknęły drzwi wszystkie i dłonie. — Gdyby pośród pustyni, on samotny w zdrowiu i w chorobie — opuszczony, w głodzie i chłódzie — bez przytułku, jak Ashawerus, wyklęty jak Kaim! — Ziemia dlań bez pociechy — niebo bez nadziei.

— Niebo przebaczy — zawołałem — bo miłosierny!

— Nigdy! — odparł z wzrastającym oburzeniem ów zagadkowy starzec. Nie przebaczy, bo i nie powinno przebaczyć! Wzdrygasz się na te słowa moje, które ci się wydają bluźnierstwem? Uspokój się! Nie bluźnię ja niebu, lecz wierzę mocno w jego sprawiedliwość, a ztąd mam przekonanie, że zbrodni Alike nie przebaczy! Nie wiesz cudzoziemcze! jak straszliwym było nieszczęście, jakie on na ród czcigodny Laskarysów sprowadził! — Bój, gwałt, zdrada i mord zmiotły go z tej ziemi w ciągu jednej przelotnej nocy! Czego rabunek nie zniszczył, pożarły płomienie! I jam był tam cudzoziemcze! I jam walczył na murach obok samego księcia i jego dzielnych synów. — A kiedy oni padli po długim i bohaterskim oporze — kiedy oni padli, i ujrzałem ich bez życia, zarzynałem z żalu jak zwierz drapieżny, i rzuciłem się wściekle w tłum wdzierających się do zamku janczarów, mordując na prawo i na lewo, dopóki sił stawało — dopóki nie padłem i ja z kolei.

— O! wiem ja starcze! wiem dobrze wszystkie szczegóły tej okropnej nocy, kiedy zdrada ułatwiła Tur-

kom wniście do zamku, i mężtu jego obrońców śmiertelny cios zadała! Wiem, jak poległ książę, jak jego dzielni synowie polegli! Wiem o bohaterskim samobójstwie księżny, o porwaniu księżniczki Ireny...

— Nie skończyłem jeszcze, gdy starzec porwał rękę moją w żelazne ujęcie, i zawołał ze wzruszeniem niemal gorączkowym:

— Więc ona porwana? — Więc żyje może, i ty wiesz gdzie się znajduje? W istocie nie znaleziono jej ciała pomiędzy zabitemi. Ojciec jej i bracia, leżeli w dolnej części zamku, u furty, gdzie był najgwałtowniejszy nacisk napaści. Matkę znaleziono na górnym murze. Leżała bez życia u stóp środkowej baszty. — Ale księżniczki ani śladu! A szukali tacy co się omylić nie mogli, bo ją znali doskonale i robili swoje bolesne poszukiwania z całą gorliwością miłości i żalu. Byli to starzy słudzy Laskarysów, którym się udało ujść śmierci. Oni to złożyli książęce ciała w zamkowych grobach; a znalazłszy mię zemdlonego od krwi upływu na stosie trupów tureckich i naszych, otrzeźwili, a potem wyleczyli. Odtąd zaczęły się dla mnie doby goryczy i żałoby. Po stracie tych co byli panami moimi, i ojców moich, żalu utulić nie mogłem. Dnie i noce błąkałem się gdyby upiór jaki, wśród opustoszonych komnat zamku, po jego odymionych pożarem basztach i warownych ścianach. W końcu, nie wiedząc co począć, zostałem przewoźnikiem na Prucie; a ci których tu widziałeś przed chwilą, i których widok Alike tak mocno przeraził, są to dawni słudzy Laskarysów, koledzy moi, współnicy żalu i niedoli! Aleś ty wspomniał cudzoziemcze o porwaniu księżniczki Ireny. Jeżeli została porwana, to nie przez kogo innego, jeno przez Turków — a w takim razie, albo się nęka w haremach stambulskich, albo umarła.

A jednak byłoby hańbą dla nas, żebyśmy nie starali się odszukać jej, i jeżeli żyje, oswobodzić. Wszak to ostatnia krew wielkiego rodu., co był obroną i chlubą ziemi naszej! Jeżeli mi tedy zaręczysz na godność swego siwego włosa, że księżniczka Irena była rzeczywiście uwięzioną, nie nas nie powstrzyma. Wszyscy, ilu nas jest, starych sług Laskarysów, ruszymy natychmiast do Stambułu, pomimo niebezpieczeństw i trudu — ruszymy, dla spełnienia świętego obowiązku, choćbyśmy wszyscy zginać mieli!

— Że była uwięzioną przez Turków, przysięgam na włos mój siwy, żadnym złym uczynkiem nie splamiony! — rzekłem rozrzewniony szlachetnymi słowy starca. Lecz daremnie szukałibyście jej w Stambule! Nie ma jej tam! nie ma!

— Gdzież na Boga! — Mów, jeżeli wiesz!

— Tu! starcze! — tu! — zawołałem ciągnąc go do wozu — uklękaj przed tym rydwanem śmierci i zmów pacierz za jej duszę! ona powraca z obcej strony na łono rodzinnej ziemi, i jam jej smutnym przewodnikiem!

Zdumienie odjęło mowę starcowi. Zdawało się, jakby nie zrozumiał odrazu znaczenia słów moich. Lecz kiedy treść ich przeniknął, padł hołdownie przed wozem i długo, jednocząc łkanie z modlitwą, w tej pozycji zostawał. Kiedy się to działo wrócili tymczasem ci sami, co się na widok Alika oddalili przed chwilą. — Rzeczna nastąpiła scena. Żal tych ludzi sięgał najgłębszych kryjówek mojego serca, bo z głębi ciepłych i nieobłudnych serc pochodził. Żal tych ludzi był wielkiej, uroczystej natury. Klęczeli dokoła wozu; modlili się; płakali; całowali ze czcią trumnę; cisnęli do piersi kraj

żałobnej obsłony, co ową trumnę, ostatnie mieszkanie pani ich okrywała. Skoro świtać zaczęło, kondukt ruszył z miejsca, i pociągnął ku przewozowi. Przebywszy Prut szczęśliwie, pojechaliśmy dalej. Konie szły stępą. Przewoźnicy poprzedzali wóz Ireny, z drągami i łopatami dla wyrównania miejsc grożących wywrotem. Starzec stapał za ciałem z gołą głową i pogrążony w rozmyślanie. O wschodzie słońca byliśmy już niedaleko zamku Laskarysów. Zostawało nie więcej mili. U krańców ostatnich nieboskłonu majaczyły przed nami ciemne zarysy baszt, wystrzelonych ponad wierzchy zielonych ścian lasu i skał Diabiego Jaru. Zewsząd biegli skwapliwie ludzie na spotkanie żałobnego konduktu. Matki niosły swoje niemowlęta. Starce wiedli za rękę wnuczeta i pośpieszali w miarę sił swoich. Młódz robocza płci obojga, rzucała swoje sierpy i kosy na polu, by pomnożyć orszak ludowy rosnący za ciałem Ireny co chwila. Z niepojętą chyżością poruszyła wieść całą prawie ludność przydrożną, i ściągnęła ją do nas. Żaden monarcha nie stapał uroczystej do grobu. Żadnego jednogłośniejszym nie otoczono żalem, dobrowolniejszym nie uczczono hołdem. Kiedyśmy wjechali na podwórzec zamkowy, orszak żałobny ostatniej córki wielkiego rodu Laskarysów, zaledwie zdołał się pomieścić.

Ścisł był niesłychany. O mało nie rozsadzono obwodowej ściany podwórca. Lecz jakież było nasze zdziwienie, gdy się nagle w tym samotnym, i opustoszo- szonym gmachu, odezwał dzwon na wieży, bijąc jak do pogrzebu. I w tejże chwili ukazał się w bramie zamkowej pop w szacie żałobnej, z krzyżem w ręku, i w asystencji dwóch djakonów.

Lud urządził tę ceremonję religijną, za pomocą konnych gońców, którzy nas wyprzedzili na parę godzin,

bośmy się posuwali z ciałem nader pomału. Na zamku Ipsylantych wywieszono czarną chorągiew dla okazania współczucia i hołdu tej, co miała być ozdobą ich rodu. Nie mam potrzeby rozwodzić się nad szczegółami tej rzewnej ceremonii, która się nie prędko zakończyła, bo po złożeniu zwłok Ireny, w familijnym grobie, obok rodziców i braci, nikt z ludu nie odszedł z zamku, dopóki trumny Ireny nie ucałował i nie zmówił nad nią modlitwy. Nazajutrz zająłem się przyborem do wyjazdu. Pomieściwszy Zoe i Ksenią, w usłudze starych księstwa Ipsylantych, nieutulonych w żalu po stracie syna, (co spiesząc z odsieczą Laskarysom, został rozsiekany przez janczarów), puściłem się w drogę w zamiarze odwiedzenia familii, w Bracławskiem województwie zamieszkałej, z którą się od lat niemal sześćdziesięciu nie widziałem. Stan moralny, w jakim zostawałem, wymagał koniecznie jakiegoś bodźca, coby mi dopomógł powstać z upadku. Trzeba mi było albo wielkiej radości, albo wielkiej i nieprzewidzianej boleści, żeby nabrać sił nowych i nowego interesu życia. Podróż moja trwała kilka tygodni, albowiem jechałem, jak to powiadają, rzemiennym dyszlem, wstępując do szlachty braci na popasy, noclegi i wypoczynki. Jedni znali mnie osobiście z pod Chocima, Podhajec i Wiednia, i z tych znalazłem jeszcze kilkunastu przy życiu. — Drudzy słyszeli tylko o mnie, a że słyszeli jak o człowieku rycerskim i pocziwym, byli mi serdecznie radzi, czego dowodzili i czapką, papką i puharem, bo u nas nie bez puhara! Byli i tacy, a takich najwięcej, co ani mię znali, ani słyszeli o mnie; a przecież okazali się względnymi i uprzejmymi dla starcetułacza, jakby dla przyjaciela *ab antiquo*, lub dla brata. Szeroka to wojewodo i hojna w przejawach swej serdeczności ta polska, szlachecka natura, istnie rycerska i dzielna, bo ani skrytą być umie, ani się z podstępem

brata, ani drzwi przed gościem zamyka. — U niej wszystko na wierzchu, na słońcu, odkryte przed Bogiem i ludźmi. Lecz będzie tak zawsze? — Bogu wiadomo! Trapi mię w tym względzie myśl boleśna. Przewiduję, że na tym jasnym i szlachetnym metalu osiadzie kiedyś rdza zepsucia! Magnat zacznie małpować Francuza lub Niemca, a szlachcic magnata. Idea cywilizacji i postępu spocznie na kruchej podstawie cudzoziemszczyzny. Polak przestanie być *de facto* Polakiem, i cnot swoich publicznych i domowych zapomni. — *Utinam falsus sim vates!* Tak włącząc się, jakem powiedział, rzemiennym dyszlem, przebyłem Bracław i Winnicę, gdzie podówczas sejmikowała szlachta. — W miarę jakem się zbliżał do Lipowca, gdzie ongi mieszkali rodzice moi, i gdzie na świat przyszedłem, wzruszenie moje rosło i rosło, zalegając, gdyby powódz wezbrana, całe jestestwo moje. Nie oczyma, lecz duszą wpatrywałem się w ten kraj, co mię wykołysał, wypielegnował, tyłu węzłami do siebie przywiązał. Pięknym był jak dawniej! pięknym nad wyrazy! Balsamiczne tchnienia obszarów pływały w słońcu łagodnem i zdawały się witać mię starca, którego dzieckiem znały — witać i owiewać pieścizotliwie, żebym trosk i znoju zapomniał, żebym zakwitł tą samą myślą, co dawniej, i tą samą radością! — Niestety! i myśl stała się inną! i radość niemożliwą! — Pomiedzy mną i krajem rodzinnym migały żałobne cienie rodziców, braci, przyjaciół doby mojej młodzieńczej, w obec których żal ścisnął serce, a łza przyciemniała źrenicę. — I rodzice pomarli, i bracia i przyjaciele! Gdzież ich mogiła? Gdzie? Pytałem ludzi nadaremnie. Nie wiedzieli! Pobiegłem na cmentarz. Groby piętrzyły się dokoła, i świeże, i dawne i dawniejsze. — Poszedłem pomiędzy te ostatnie. — Jaki chaos! jakie spustoszenie! Krzyże zbutwiały i runęły, i nikt ich nie odnowił! — Głazy pozapadały w ziemię, i

nikt ich nie podźwignął! -- Żywi nie uczcili pamięci umarłych! Zapomnieli o nich, żeby z kolei być także zapomnianymi! A więc nie pytałem ludzi, jeno własnego serca: gdzie rodzice? bracia? przyjaciele?... „Nie znajdziesz ich tu! „odpowiedziało serce. Co było u nich „doczesnem, stało się ziemią — co było wiecznem, uleciało w niebo. Tam ujrzysz ich! tam się z nimi połączysz na wieki!“ Zaniechałem czczych poszukiwań! — Ukląkłem — zmówiłem pacierz zaduszny — i odszedłem. I zdawało mi się, że oprócz mnie nikogo nie było na ziemi! że wszyscy wymarli i rozsypali się prochem nicości! — Nigdy uczucie samotności nie roztoczyło się w duszy człowieka takim kręgiem szerokim — takim pasmem milczenia, chłodu i mroku! — Głucho mi było, mglisto, smutno w tej lubej krainie praocjów, gdzie wszystko, co mi świeciło, zamierzchło, co do mnie przemawiało, zamilkło, co żyło dla mnie umarło! gdzie mi już nic więcej nie pozostało, kromie mogił, zwalisk i sieroctwa! Za Lipowcem, ku stronie Rososza i Bohdanówki, rosną obszerne lasy, nie tak już gęste jak dawniej, lecz dotąd piękne i wzniosłe, bo prastare. W cienistym ostępie tych lasów leżał ongi futor nad stawkiem; chatka, stodołka, chléwek, ogródek warzywny, pasieczka. W tym futorze mieszkał *titulo* dożywotnika, wierny sługa naszego domu, zbawca rodziny naszej podczas krymskiego czambułu, stary kozak Omeljan Bulba, którego odwiedzali często moi rodzice z całą dzieciarnią swoją. Syn tego Bulby był atamanem nadwornych kozaków starosty Strutyńskiego w Żorniszczach; a wnuczek, także paliwoda jak ja, i jednego ze mną wieku, zostawał pod opieką dziada. Nazywał się Kondrat. Był to dzielny i śliczny chłopak. Kochaliśmy się jak bracia. Kiedy nie byliśmy razem, tęskniliśmy po sobie. Kiedy byliśmy razem, nie zamierał uśmiech na ustach, a radość granic

nie miała. W Kondracie i we mnie istniało coś nakształt pobratymstwa duchów, które się niezmiennie w zamięłowaniu swobody i rycerskiej dzielności przejawiało.

Sprężystość ciała, szła u nas z energią woli w parze. Ciało i wola szukały przestworu i trudu; zaś spokój i ograniczenie były im nieznośne. Truchleli rodzice moi, kiedyśmy z nim bywało, czepiając się gałęzi lub sęków, wdrapywali się na najwyższe jawory, lub dęby, i zawieszeni u szczytu hojdali się w powietrzu głowami nadół, albo, kiedyśmy sadzili przez płoty i rowy, z oczywistym niebezpieczeństwem skręcenia sobie karku. Stary Omeljan uśmiechał się bywało, podkręcając szpakowatego wąsa. Ojciec mój, cieszył się w gruncie z dzielności synalka; lecz dobra matka moja nie podzielała wcale ich zadowolenienia, i trwożnym wołaniom nie bywało końca. Mielśmy obydwaj dziesięć lat skończonych kiedy nas rozłączono. Był to dla nas obu cios boleśny, i o małośmy nie podnieśli buntu. Ale *ferrea vox* rodzicielskiej powagi i nieunikniona speranda dyscyplinarnej interwencji bizuna, sprawiły, że radzi nie radzi, musieliśmy się ukorzyć. Mnie oddano do szkół winnickich, a Kondrat pozostał w domu. Tam to, na szkolnej ławie, zawiązało się owe braterstwo serca, które nas z twoim rodzicem, wojewodą, na zawsze połączyło. — Wakacje przepędzałem corocznie w domu rodziców. Futor Omeliana Bulby znowu ożywał się wtedy mojem weselem i Kondrata — znowu kipiała młodzieńcza ochota nasza, w półmrokach lasu i na słońca stepu — wszędzie nas bowiem było pełno i gdzie trzeba i gdzie nie trzeba. Kondrat miał do wynagrodzenia sobie kilkomiesięczną tęsknotę po mnie — ja, moją szkolną nudę i przymusową nieruchomość. Tak przeszły cztery lata. Miałem ich wtedy piętnaście, chociaż wzrostem i siłą daleko więcej. Zagadano w Winnicy o chocimskiej

wyprawie. „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!“ usta powtarzały ustom — „młody sułtan Osman, dumny z cecorskiej Wiktorji nad Stanisławem Żółkiewskim, uzbroił trzy części świata na Polskę, i niesie jej ogień, mord i spustoszenie!“ Taką to wieścią rozbrzmiało się całe miasto. Zawrzała młodź szkolna. Szóstoklasiscy zwłaszcza usiedzieć nie mogli spokojnie. Atanazy Miączyński i ja, chociaż młodszy od nich i wiekiem i szkolnem znaczeniem, podzielałiśmy zapał ich marsowy, ku wielkiemu zgorszeniu p. profesora, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby przekładać trud obozowy i rycerskiego guza, nad spokojne rozkosze naukowego zawodu. Nie szczędził też elokwencji; sadił się na argumenta i morały; błagał, beczał nawet błagając żebyśmy się opamiętali i pozostali wiernymi dziewięciu księgom Herodota, tym samym, co pobudziły ongi do łez młodego Tocydydesa, a nas, mniej tkliwych, tylko do ziewania pobudzały.

Nie pomogło! — On gadał swoje, a my robiliśmy swoje. Wbrew władzom szkolnym, usiłującym *per omnia fortia* ostudzić zapał naszej młodzieńczej krucjaty, wyciągnęliśmy pewnej nocy w kilkadziesiąt koni na Wołyń, pod znamiona Stanisława Lubomirskiego, hetmana koronnego, co pierwszy wystąpił w pole na czele 3.400 ludzi własnego zaciągu. Był to, że tak powiem, pierwszy podmuch tej długiej nawałnicy, która mię od rodzicielskiego łona uniosła na zawsze. Całymi dziesiątkami pierzchały lata przedemną. Zmęźniałem, dojrzałem, w końcu postarzałem! Ciało ckryło się blizny, włosy srzonem, myśli kirem niejednej żałoby, serce zawiedło od tęsknoty i boleści; a burza niosła mię, i niosła przez trudy, wojny, zdarzenia — niosła coraz dalej i dalej od rodzinnego gniazda, od tych, po których tęsknić nie przestawałem, którzy po mnie do końca dni swoich tę-

sknili! A kiedy się wicher uśmierzył, i oporu pragnieniom duszy mojej zaniechał; kiedym po latach wielu znowu na łono strony rodzinnej powrócił, nie było już komu powitać mię! przytulić do wiernego serca! Śmierć zmiotła wszystkich i wszystko! Przypomniałem sobie wtedy Kondrata, tego najpierwszego przyjaciela lat moich dziecinnych i młodocianych, którego od pół wieku z górą nie widziałem. Nie zaginęło jeszcze w pamięci mojej miejsce, gdzie leżał ów futor Omeljana Bulby, tak poszczegółowie przezemnie opisany, z niemalym zapewne szwankiem twej cierpliwości wojewodo. Nie był on bardzo odległym od Lipowca. Poszedłem więc. Chwila była poranna i pogodna. Ledwie wstąpił do lasu wionęło na mnie ciepłem, ożywiającem tchnieniem dawnej pory życia — tem samem tchnieniem, jakie mię przed laty w tem błogiem miejscu witało — i czułem, jak się myśl moja z pyłów niepamięci oczyszcza — jak rozpoznała każdą nić splatanego pasma ścieżek i manowców lasu — jak drzewo każde, miłe zabawie naszej, każdy niemal krzaczek, jakąś swawolą niewinną pamiętny rozpoznaje. Szedłem więc śmiało, tak pewny siebie, jakbym przechodził tamtędy niedawno — wczora. Patrzę — polanka odkryta; a na niej staweczek sitowiem porosły; a za stawkiem stodółka, i chlewek i chatka — takie, jak były przed laty! schludne, uprzejme, pocziwe! To on! to mój miły futorek! cicha siedziba starego Omeljana Bulby! Aż oto i on sam siedzi na przyźbie, w czarnej baraniej czapce, w płóciennej kozackiej oponczy! Miał-żeby żyć dotąd? Zbliżam się. Pies zawarczał u furtki — ten sam czarny, kudłaty Żuczek, co mię bywało witał tak uprzejmie, łasił się do mnie i tulił. Pojąć nie mogłem. — Wtem starzec siedzący na przyźbie, jakby dla powiększenia mego podziwu krzyknął:

— Żuczek! sasu do nogi!

— Pies zamachał ogonem i pobiegł do swego pana. I ja stanąłem przed nim. Spojrzeliśmy sobie oko w oko. Nie był to (bo i nie mógł być) stary Omeljan Bulba, lecz w obliczu nieznanego było coś takiego, co mi go przypominało. Nagły błysk mignął w umyśle moim. Kondrat! zawołałem, patrząc mu w oczy z naciśnięciem. Porwał się starzec z miejsca, przyskoczył do mnie, wpił się żrenicą w twarz moją.

— Ten głos... — mówił do siebie, drżąc jak liść — ten głos... ale to być nie może!... Nie!... on umarł!...

— Żyje! wykrzyknąłem z konwulsyjnym uniesieniem, padając w objęcia Kondrata, albowiem on to był ów mieszkawiec futoru! on! Kondrat! starzec jak i ja na miarę przeżytego czasu, ale młodszy odemnie nierównie, zdrowiem, siłą, weselem! młodszy, tym dziecięcym prawie pokojem ducha, świeżością myśli, zadowoleniem życia, jakie mię oddawna opuściły! I cóż dziwnego? — Nie jednostajne było przeznaczenie nasze. Mnie skruszył huragan wyżyn, jego ukołysała cisza padołów. Jam żył z ludźmi, on z naturą. Nie będę mówił o radości Kondrata, bo na to słów nie ma. Cudownym balsamem szczęścia oblał on duszę moją, i bole jej ukoił. Po latach tylu obojętności ludzkiej, pierwsze to było gorące i szczere uściśnienie! po latach tylu zatargu ze światem pierwsza chwila pokoju i błogości! Był więc jeszcze taki na ziemi, którego uczuć dla mnie życie nie zwichnęło, nie ostudziło i nie rozwiało! był taki, którego wierna pierś przytuliła moją! Iżą i błogosławieństwem ogrzała i opromieniła! Zwalczony potęgą wrażeń, ustać nie mogłem na nogach. Padłem na kolana, i roniąc łzy słodkie wdzięczności, dziękowałem Bogu za tę pierwszą

chwilę ulgi i szczęścia, tak jasną, ciepłą, nieskazitelną i tak niespodziewaną!

Kondrat wprowadził mię do chaty. Posadził pod ikoną Kazańskiej Bogarodzicy, w srebrnej ryzie, i sam usiadł przy mnie. Wszystko tam było jak dawniej. Każda rzecz zajmowała to samo miejsce. Żadnej nie brakło. Nie przybyło żadnej. W przyległym alkierzyku, proste łóżko z pościelą o skórzanym wezgłowiu jego dziada. W głowach krucyfiks cyprysowy, który sam Omeljan Bulba przywiózł ongi z cerkwi Afonu. Na podłużnej ścianie, stara rohatyna, dwie kozackie spisy, łuk mongolski z sajdakiem pełnym grotów, szeroka zaporożska szabla, para albańskich pistoletów i turecki jatagan — godła rycerskiej działalności rodu religijnie przechowywane przez dziada Kondrata, i przezeń pod błogosławieństwem, jego troskliwej przekazane pieczy.

— Nikt tu nie był od lat trzydziestu, oprócz mnie — rzekł Kondrat do mnie. Święte to miejsce! Tu żył i zmarł, mój dziad, opiekun i dobrodziej! Rano i wieczór modłę się tu za jego duszę. To moja cerkiew! — Skonał na mojem ręku, bez choroby i cierpienia. Zasnął jak dziecko na setnym roku życia. Mój ojciec poprzedził go w Zorniszczach na lat parę. Nie długo i matka moja popasała po mężu. Jestem tedy sam, jak widzisz.

Poczem, ciągnął dalej.

— Na kilka miesięcy przed śmiercią dziadka, twój ojciec darował mu urzędownie ten futor. Według prawa jest on zatem moją własnością — lecz według sumienia, rzecz się ma zupełnie inaczej. Klęski dotknęły twego biednego ojca. Utracił dzieci, żonę, majątek.

W końcu nie wytrzymał, i sam legł w mogile. Krewni i przyjaciele nalecieli stadem, jak się wodzi. Nawąchawszy się chrzanu beczeli prześlicznie dla ludzkiego oka podczas pogrzebu; dla uczczenia zaś drogiej pamięci nieboszczyka, zrepetowali na stypie wszystko co było w spiżarni, wydudlili wszystko co było w piwnicy i rozchwytawszy na waletę wszystko co było w szkatułce i w pokojach, machnęli szczęśliwie zkąd przyjechali. Plunąłem w ślad za nimi! i przekląłem ich! — Czy chciałbyś, powiedz, żebym się i ja zhańbił jak oni? Nie sądzę! Kiedy twój ojciec darowywał ten futor mojemu dziadkowi, był on zupełnie przekonany że już nie żyjesz. My także myśleliśmy nie inaczej. W przeciwnym razie, nigdy by mój dziadek nie przyjął daru! nigdy!

A po chwili dodał:

— Owoż tedy, ja, Kondrat Bulba, syn Huata, wnuk Omeljana, spadkobierca ich uczciwości i bojaźni Boga, zrzekam się teraz dobrowolnie, stanowczo i na zawsze, tej darowizny twego ś. p. ojca i zwracam takową tobie jako niezaprzeczoną własność twoją po ojcu i dziadach.

— Zaczna dusza! — zawołał wojewoda ze wzruszeniem.

— Żadna moja opozycja na nic nie posłużyła — ciągnął dalej p. Symforjan Chamiec. Powiedział sobie że tak zrobi i zrobił tak. Lecz i jam także postawił na swoim. Kiedy ci na tem tak wiele zależy — rzekłem doń — to zgoda! Powinieneś jednak i ty uwzględnić to co mam ci powiedzieć. Byliśmy razem dziećmi, pozostańmyż i starcami razem. Przyjaciele o poranku, bądź-

myż nimi i o zmroku. Skorośmy wspólnie zaczęli, winiśmy i kończyć wspólnie. Tyś się zrzekł na mnie futoru — lecz ja nie zrzekłem się wcale naszej starej przyjaźni i jako twój przyjaciel, tysiącnie wężły wrażeń i pamiątek z tobą związany, wzywam cię do równego podziału, na zasadzie braterstwa ducha, przed którym braterstwo krwi, jakby bliskiem nie było, żadnego nie ma znaczenia. Żyjmy razem! i umierajmy! Świat mię znękał; ciebie on nie nęci — obejdziemy się zatem bez świata. — Czy zgoda?

— Zgoda! — wykrzyknął z uniesieniem Kondrat rzucając się w moje objęcia — i łączy nasze zmieszają się z sobą.

— Odtąd zamieszkałem z Kondratem, i śmiało rzec moge, że nigdy tak szczęśliwym nie byłem. Ponieważ zamierzyłem pozostać z nim nieodłącznie do końca dni moich, uczułem potrzebę odwiedzić was wojewodo, żeby pożegnać na zawsze. Jest to ostatni hołd mój pamięci czcigodnego rodzica waszego a mego przyjaciela i towarzysza broni. Szczęśliwy jestem, że i twej osobistej zasłudze, jako odrodzonemu duchem i życiem cnotliwym, mogę tenże hołd złożyć, błogosławiąc od serca i tobie i twoim i najdalszemu twemu potomstwu!

— Żadne usiłowania wojewody nie zdołały skłonić starca pozostać u niego w Maciejowie. Zabawiwszy dni kilka pożegnał wojewodę na zawsze i wrócił w bractwskie, do owego samotnego futoru pod Lipowcem gdzie daleko od zgiełku i przywar świata przeżył resztę dni na łonie niezachwianego pokoju i szczęścia, jakimi niebo obdarza tylko serca wybrane, takie, jak Chamca i Kondrata; którego z nich umarł pierwszy? Nie wiadomo. Tradycja milczy.

— Śmierć ich musiała być prawie jednoczesną — rzekł Lipowczyński. Tacy przyjaciele nie mogli przeżyć siebie długo. Węzeł był za ciasny i za mocny.

— Słusznie! — przerwał pan Stanisław. — Nie dałby się ani rozciągnąć, ani skruszyć. Ciekawym, co się stało z tym futorem, takiej błogiej i rzewnej pamięci? Czy uległ metamorfozie? Czy stał się pastwą niszczącego czasu?

— Las — ciągnął dalej Lipowczyński — o którym opowiadał Chamec wojewodzie Miączyńskiemu, że się rozciągał od Lipowca aż do Rowna i dalej, znikł już bez śladu. — Lata, biegnąc tamtędy zerwały i uniosły z sobą jego cienistą zasłonę, i step nagi roztoczył się natomiast pod słońcem. Trudno więc oznaczyć obecnie z pewnością miejsce, gdzie leżał ów futor Omeljana Bulby. Według mnie musiał on istnieć tam, gdzie widzimy futor napadowiecki Helenów, na prawo od gościńca z Lipowca do Bohdanówki. Widziałem tam niedawno nad stawkiem szczątki dawnego pomieszkania, kilka kłód dębowych spróchniałych i ślad kamiennego podmurowania. Pośród zarośli nad rzeką wznosi się kurhanek, spłaszczony z wierzchu biegiem wiosennych powodzi, na którym dostrzegłem dwie małe wypukłości gruntu, stykające się z sobą, jakby dwie stare mogiłki. Żył niedawno jeszcze w Napadówce chłop bardzo wiekowy; nazywał się Maluta Boroławka, i miał swoją chatę na wygonie, w pobliżu Helenowa. Mówił, że kiedy był jeszcze bardzo młody, widział na tych mogiłkach dwie kamienne płyty z jakimiś napisami. Jedna z nich miała na sobie herb wyrzeźbiony — ale co wyobrażał? nie pamiętał.

— Jasno jak dzień! — zawołał p. Stanisław. Pod jednym z tych głazów spoczął Symforjan Chamec, szla-

chciec herbu Gryf, a pod drugim bezherbowny kozak Kondrat Bulba!

— Rzewny symbol przymierza dwóch stanów, w najpierwszym z warunków doczesności: w uczuciu i cnocie człowieka! — dodał Michał Grabowski powstając z kanapki. Pozwólcie teraz, żebym dał spoczynek i waszym uszom i mojemu językowi. Dalipan! słowa, którem od godziny wypaplał, możnaby mierzyć na korce, chociaż w tem ziarnie było i plewy nie mało.

— Protestujemy! zawołaliśmy jednogłośnie.

— Dajmy temu pokój! — ciągnął dalej Michał Grabowski — kąkol i plewa, nieodstępni towarzysze dobrego zboża. Ile go jest w korcu? mniejsza! byle było! Dla miłości własnej skromnego narratora nie trzeba więcej. — *Dixi!*

Zdarzyła się w tym momencie rzecz nadzwyczajna, granicząca z cudem, i dla nas obytych z hetmanowieckim *modus vivendi* niepojęta. — Hryć, któremu snać przyszła raptem myśl do głowy zaimponować gościom swojego pana, wszedł do pokoju uśmiechnięty, uczesany, umyty, a choć świecił łokciami (dla wentylacji zapewne) pyszny, jak nigdy. Niósł białe (*sic*) prześcieradło (mniejsza o łatki), którem, w zastępstwie obrusa, zjedzonego od szczurów, nakrył stół. Poczem wybiegł i znowu powrócił z naczyniem stołowym, *alias* z talerzami których *summa summarum* było tylko trzy dla nas czterech; jeden cynowy, drugi fajansowy (z piętnem Baranówki), trzeci porcelanowy korecki. Funkcję czwartego miała dopełnić nejzylberowa miedniczka do płukania ust, świetnie kredą wypucowana. Trzeba nam było posiadać nie mały zasób woli, ażeby pokonać śmiech szalony, co się z nas na przestwór wyrывał. La Cerda ką-

sał sobie język. Grabowski zaszpurował gębę cygarem. Ja fajkę. Jeden tylko p. Stanisław zdawał się ślepym na stronę śmieszną obrazu, i kompletnie zadowolonym. Dziwiło mnie to, i któż nie przyzna, że dziwić się miałem rację? bo już ciż nie dopuszczałem, żeby tego zadowolenia mogła być powodem ta komputowa zbierani-na różnorodnych naczyń, których praktyczna wartość była mniej niż mierna, a estetyczna żadną. Tkwiło zatem coś innego w głowie dostojnego syna Mokosiejów, jakiś dowcipny figielek, lub jakaś oryginalna niespodzianka — inaczej wnioskować nie mogłem.

Stało się też według mojej myśli. Zajęczały drzwi dębowe na swoich drewnianych osiach i wbiegła nagle, z impetem wichru, Kiłynka — ale nie ta sama Kiłynka, cynicznie brudna, z włosom na wzór kopicy siana rozczóchrany, którąś poznał wczoraj łaskawy czytelniku, lecz świeża, czysta, świeżo wystrójona w kibalcie o mnogich barwistych wstążkach opadających na ramiona, i zgrabnie ściśnięta w stanie czerwonym pasem. Niosła dużą salaterkę (arcydzieło berszadzkiej ceramiki) przykrytą liściem łopucha, z pod którego, buchająca para owiewała twarz jej uśmiechniętą, przezrocznym obłokiem. Każda tajemnica zaostrza ciekawość. Wielce nas zajęła ta szarada kuchenna, skrywająca się pod zasłoną łopiana. Coby to być mogło? Kartofle?.. Nie! Szparagi?.. Nie! Kalafior?.. Nie! Kukurudza?.. Nie?..

— Cóż u diabła! — Nie zgadujecie? — huknął podboczywszy się do śmiechu cny gospodarz z miną tryumfującą — prawda że wbiłem wam klina do głowy? Że wykonceptowałem szaradę, logogryf, rebus, łami-główkę, których nawet wasz organ *wqchalitatis* odga-

dnąć nie zdoła? — No! żeby was dłużej nie dreczyć... Kiłynko! pidiymaj!.. raz!.. dwa!.. try!..

Na słowo ostatnie komendy, wzbil się łopuch do góry, i odkrył o! dziwo! czarną piramidę prześlicznych trufli. Trzeba było widzieć dumne zadowolenie p. Stanisława, z efektu jaki wywarło na nas niespodziane ukazanie się w hetmanowieckim *triclinium*, smacznego kryptogamu Perygora.

— Macie przed sobą — zawołał — produkt alimentarny wysoko ceniony przez smakoszków starożytnego świata! Dioskoryd pisał o nim obszernie, pod grecką nazwą *Odion*. Cała Hellada oblizywała sobie palce, po smacznej trufli *kyrenaickiej*, z Afryki sprowadzonej. W księdze XIX. w rozdziale III. wspomina o niej poszczegółowie Pliniusz naturalista. A ta którą dzisiaj Piemont, całej starożytnej Italii dostarczał, była ozdobą bankietów Apicjusza, Lukulla i Trymulcjona.

Podczas tej perory p. Stanisława, żaden z nas nie próżnował. Puszczając mimo uszu ów przemądry panegiryk, poważnie jakby *ex cathedra* deklamowany, rozprawialiśmy się czynnie ze specjałem wielce głodowi naszemu przyjemnym. Zmniejszał się też szybko ładunek salaterki, a p. Stanisław gadał i gadał. Dwie tylko zostały już na spodzie trufelki i z tych połowa ubyła, a p. Stanisław gadał i gadał. — Czy nie pragnąłbyś łaskawy czytelniku, wiedzieć o czem gadał? Radbym z duszy uczynić zadość twemu żądaniu, lecz muszę wyznać, że byłoby to przedsięwzięciem nad moje siły. — Gdyby Proteusz jaki, zmieniający kształty co chwila, lub jak ruchome zjawiska kalejdoskopu, nie trzymała się gawęda p. Stanisława, ani stałej idei, ani formy, ani barwy. Zdawałoby się, że zaczawszy od trufli, po-

winien był kończyć na truflach? Gdzie tam! — Jednego przedmiotu było dlań za mało! Dziwacznymi spadkami i skretami, biegła myśl jego po bezdrożach wspomnienia, alluzji, fantazji i wniosku, by się rozprysnąć w końcu na bryzgi i atomy, które się znowu łączyły w pomysł jednolity, również oryginalny i nietrwały jak i poprzednie.

— Nie jadam truflach — mówił — lecz wiedząc że je lubicie, posłałem Bizunowicza, mojego ekonoma, do Berszady po ten specjał.

— Czemuż w nich nie gustujesz, kiedy to przecież rzecz bardzo dobra, ba nawet słynna historycznie z tego względu? zapytał Michał Grabowski.

— Nie znoszę przewagi materji nad częścią duchową mego jestestwa! — odpowiedział stanowczo p. Stanisław — trufla, za ciężki balast dla żołądka. Utrudnia proces myśli; przygnębia sprężystość wrażeń i robi z człowieka bryłę, nie zdolną samodzielności moralnej. Gdyby się Cezar objadał truflami, nie zawojowałby Gallji nie ośmieliłby się przepłynąć Rubikonu i nie wyrzekłby następnie owych słów pamiętnych do swego przewoźnika: „*Cur times? Cesarem vehis!*“ Ani Gustaw Adolf, ani stary i zatabaczony Fritz, Wielkim przezwany, ani nasz Stefan Batory, nie jadaliby truflach. Gdyby koalicja Europy przeciw Napoleonowi, była przeczniejszą, nie trzymałaby ogromnych armij pod bronią, nie marnowałaby miliardów, a po prostu przekupiłaby jego kucharza, żeby go opychał truflami. Nie byłoby ani Austerlitz'u, ani Friedlandu, ani Jeny, ani owej szalonej krucjaty na Moskwę. Duch bohatera usnąłby głęboko w odorujących gazach dygestyjnego procesu, i Europa mogłaby sobie drzemać spokojnie. Powiecie, że to paradoks? —

Wcale nie! Przyczyny wielkich zdarzeń, bywają zwykle nader drobne. Żeby jabłko nie spadło z drzewa Newtonowi na nos, system atrakcji nie powstałby w jego głowie. Żeby Potter nie upuścił pędzla na krowę, którą właśnie wtedy malował, nie mielibyśmy tego prześlicznego obrazu krowy moczającej co w Ermitażu petersburskim hołdy znawców odbiera. Traf ślepy dokonał tego, co nie powstało nawet w myśli artysty. Można by pomnożyć podobne przykłady do nieskończoności. Znałem pewnego Włocha, za którym przemawiała ta okoliczność że Silvio Pellico i hr. Gonfalonieri, byli jego przyjaciółmi. Nazywał się Giulio Spada i pochodził z dobrej florentyńskiej szlachty. Owoż tedy ów Spada, najpociesniejszy oryginał pod słońcem, dowodził zabawnie, że dość było jednej pchły, żeby poruszyć Europę, a następnie przez odbicie, Azję, Afrykę, Amerykę i Oceanję. Pchła, jako wyłączny atrybut (według niego) płci pięknej, wyrażała kobietę; a któż nie wie o przewadze kobiety w sprawach tego świata! Ten sam kawaler Spada był wielkim nieprzyjacielem hymenu i wyrażał się o nim ze zwykłą swoją szczerością, nie krępując się żadnym względem. Zapytany przez piękną i miłą pannę Montefeltro czemu się dotąd nie ożenił? odpowiedział przy mnie:

— Nie ożeniłem się, bo celibat jest stanem najszczęśliwszym na ziemi. Kobieta i żona, dwie rzeczy różne. O ile pierwsza przyjemna i czarująca (jeżeli nią jest) o tyle druga nudna i dokuczliwa.

— Późem palnął jej *a bout portant* następną frazę:

— *Voi siete al presente una colomba, ma quando, sarete maritata diverrete un dragone.*

— Mniej dowcipnie, niżeli złośliwie, a co gorsza niegrzecznie! — zawołał La Cerda. — Twój przechwalony florentyńczyk, kochany panie Stanisławie, wcale się nie popisał. Postąpił *comme un rustre mal élevé*.

— Nieinaczej! — rzekł Lipowczyński, zostawmy go więc w cieniu, jak na to zasłużył, a prosimy raczej p. Michała, żeby nam dokończył powieści o skarbie Miączyńskich, bo *fugit interea, fugit irreparabile tempus* (przepraszam za szkolną cytację) a dziś jeszcze muszę być w Bałanówce.

— Prosimy! prosimy! — zawołaliśmy *unisono*.

— Chętnie! — rzekł Michał Grabowski. Trufelki dodały siły; wino dodało otuchy i werwy; umysł wypoczął od naprężenia pamięci, jakiego opowiadanie wymagało. Treść onego żywszym pchnie się naprzód ruchem. Nie doby, lecz lata przemkną przed nami. Słuchajcie więc, jeżeli łaska, a kiedy się wam zechce poziewać, uprzedźcie mnie. Włożę hamulec na język; zaszpunktuję gębę milczeniem i dam wam pokój.

ROZDZIAŁ III.

— Pożegnanie czcigodnego Symforjana Chamca — ciągnął dalej Michał Grabowski — było rzeczywiście ostatniem. Nagła choroba nawiedziła wojewodę, i pomimo największych usiłowań lekarzy z Warszawy i Krakowa nie dała się poskromić. Wkrótce też umarł Piotr Miączyński, i ża niejedna uczciła jego szlachetną mogiłę. Starszy syn jego Adam, generał wojsk koronnych starosta Łosicki, odziedziczył po ojcu, oprócz dóbr z podziału z młodszym bratem Józefem, starostą Krzepickim, na jego schedę przypadających, i klucz Maciejowski. — Jako mąż stanu nie był on bez zalety, i niejednym czynem zasługi przyozdobił swój zawód publiczny. Nie zbywało mu zatem ani na rozumie, ani na świetnem wykształceniu. Lecz jakże niższą była jego strona moralna! Jak drobną dozę szlachetności otrzymał w udziale! Obca polskiej naturze przywara, chciwość, zaległa całe niemal jestestwo jego. Bogactwo, jakie posiadał, było dlań tylko podniętą żądzy większego jeszcze wzbogacenia się. Pomimo głębokiej tajemnicy, jaką nieboszczyk otoczył istnienie wezyrowskiego skarbu w murach maciejowskiego zamku, domysł, czy może świadomość prawdy, pobudziły Adama Miączyńskiego do gorliwych poszukiwań. Wszystkie framugi lochów, grunt i ściany zamkowych głębi, uległy ścisłemu badaniu. — Kopano, świdrowano, stukano akustycznie w mury —

nadaremnie! Zrażony niepowodzeniem, starosta miał już zaniechać niefortunnego przedsięwzięcia, gdy mu żona, piękna hrabianka Kolowratówna, nowego dodała bodźca. Opowiedziała, że kiedy na lat kilka przed śmiercią wojewody, odwiedziła go w Maciejowie, uradowany teść przyjął ją z większą niż zwykle troskliwością ¹⁾, i zawiązawszy jej pewnego dnia chusteczką oczy poprowadził, dokąd? sama nie wiedziała. Wiedziona za rękę przez teścia, doznała najprzód takiego wrażenia, jakby z głębi jakiegoś podziemia wionął na nią chłód wilgotny. Później poczuła stopnie schodów kręto w dół opuszczających się, i policzyła je; było ich 28. — Potem szła gruntem gładkim, ale przejście było tak ciasne, że jej ramiona trącały o ściany onego. Zatrzymał się nakoniec wojewoda, i zdjął zawiązkę z jej oczu. Ujrzała wtedy, jakby podziemny pokój, i mignęły przed nią sęczyście połyski drogich kamieni, oraz świetne tła kosztownych metalów. Łatwo sobie wyobrazić jej zdumienie. Wojewoda przyniósł był z sobą pąsowy kuferek ²⁾. Napełnił go brylantami, szmaragdami, rubinami, perłami, i dał jej na pamiątkę. Późem, zawiązawszy troskliwie oczy, wprowadził znowu do pałacu. Zalecił wszakże najsurowiej, żeby o tem, co zaszło, przed wszystkimi zamilczała. Długo wierną pozostała tajemnicy starości; lecz gdy wojewoda umarł, a świerzbiączka języka zaczęła coraz dotkliwiej dokuczać imości, wypaplała wszystko przed mężem. Rozniecona tym sposobem cciwość nie dała mu odtąd pokoju. Ważąc w umyśle woim naturę faktów tego rodzaju, łatwo wpadł na sta-

¹⁾ Literalnie według tradycji familijnej hrabiów Miączyńskich.

²⁾ Kuferek ów przechowuje się dotąd w maciejowskim pałacu hr. Miączyńskiego.

nowcze przekonanie, że był przecież taki, oprócz wojewody, co wiedział o niedocieczonej kryjówce — i że ten ktoś nie mógł być innym, jeno starym i najbliższym jego sługą. Takim właśnie sługą był kozak Sawa, on jeden! Do niego tedy wziął się pan starosta z całą mocą przekonania i energii. Powołany przed pańskie oblicze, stawiał się Sawa skwapliwie, o ile mu wiek i znój życia pozwolił. W pokoju nie było nikogo, oprócz starosty. Chodził w niespokojnej zadumie, ścigany i poprzedzany naprzemian cieniem własnej osoby, od lampy płonącej jasno na piśmiennym stole.

— Jak się masz Sawo! — rzekł starosta stając w obec starego sługi.

— Dziękuję panu.

— Chciałbym pomówić z tobą.

— Słucham pana.

— Mam zapytać ciebie o rzecz ważną. — Czy mi odpowiesz sumiennie?

— Inaczej nie umiem.

— Tem lepiej.

Starosta uciał. Przeszedł się po komnacie. Potem zbliżył się znowu do kozaka. Spojrzał nań ostro i rzekł:

— Słyszałem, że znajdowałeś się przy moim dziedzie podczas wiedeńskiej wyprawy.

— Kto to powiedział, skazaw prawdę.

— Mogłeś więc być świadkiem zdobycia wezyrowskiego stanu?

— Byłem tam.

— Niepodobna tedy, żebyś nie wiedział o bogactwach, jakie się w tych namiotach znajdowały?

— Widziałem je na własne oczy.

— Gdzie się podziały?

— Jużciż dostały się temu, co miał do nich największe prawo.

— Któż on był taki?

— A któż inny, jeżeli nie twój did, panie starosto, a po nim twój bat'ko? Był to plon wojny. Zdobycz szabli pana wojewody wołyńskiego.

— Cóż z niemi zrobił mój ojciec?

— Ukrył tu.

— Tu? — zawołał uradowany starosta — tu?

— Wo istyno tu.

— I znasz miejsce gdzie ukryte?

— Znam.

— I nikt oprócz ciebie nie zna tego miejsca?

— Nikt.

— To chodźcie ze mną, pocziwy Sawo! — chodź natychmiast i pokaż!

— Nie mogę bat'ku.

— Co to ma znaczyć? Jakto nie możesz? Nie rozumiem.

— Ja pokławsia nieboszczykowi panu wojewodzie, że nikomu nie wydam tego sekretu.

— Nikomu, nie stosuje się do mnie.

— Nikomu bat'ku, znaczy nikomu. — Wolno mi tylko będzie wyjawić tajemnicę w godzinę śmierci starszemu synowi mojemu, i to pod zaklęciem żeby nikomu nie mówił, jeno, umierając swemu synowi, i tak z kolei, aż dopóki nie upłynie 150 lat.

— Bredzisz jak najety! — rzekł z gniewem starosta. Mój ojciec nie mógł chcieć tego, albowiem byłoby to głupstwem.

— Chciał tak, i wola jego dla mnie świętą, bom ją zatwierdził przysięgą.

— Chwałę wierność twoją — ale wszystko powinno mieć swoje granice. Bywają nawet takie okoliczności, w których przesada sumienności, staje się głupim i szkodliwym uporem.

— Ja bat'ku człowiek prosty — nie znam się na tem co mówicie — lecz boję się Boga, i nie chcę gubić duszy mojej.

Nie spodziewał się starosta takiego oporu. Za ekko trzymał o sumieniu prostaczem. Aż mu nagle skała zatarasowała drogę; przystęp do celu niemożliwym uczyniła. Gniewny zamęt poruszył go do dna. Wybuchnąłby zapewne, ze szkoda pocziwego Sawy, gdyby go nie powstrzymało nagle postanowienie użycia środków łagodnej perswazji, z dodatkiem brzęczącego argumentu, o którego wszechmocności ani myślał wątpić starosta. Takim sposobem nastrojony, wypogodziwszy oblicze aż do wyrazu łaski i przychylności, zbliżył się do Sawy i przemówił głosem łagodnym:

— Mój kochany! źle patrzysz na rzeczy. Nierozumnie, co mię wielce zadziwia i martwi. Zadziwia, bo

miałem ciebie dotąd za człowieka rozsądnego, i widzę, że zostawał w błędzie. Martwi, bo jeżeli się nie opamiętasz i nie uczynisz zadość mojemu sprawiedliwemu żądaniu, będę zmuszonym przypomnieć tobie żeś moim sługą, a ja panem twoim, i że następnie mam prawo rozkazać tobie, a w razie oporu, zmusić ciebie do posłuszeństwa!

— Wola twoja bat'ku — przemówił Sawa spokojnie.

— Rozumiesz przecież — przerwał niecierpliwie starosta — że niechciałbym użyć całej srogości prawa mnie służącego, że wolałbym, że gotów nawet jestem być dla ciebie wspaniałomyślnym, hojnym, tak hojnym, jak żaden pan nie był nim dotąd dla sługi swego. Daj więc szczerą odpowiedź na moje pytanie, a przysięgam że każde twe słowo spadnie worem złota na ciebie. — Rozumiesz?

— Wola twoja bat'ku! — przemówił Sawa ze wzruszeniem wewnętrznym, które usiłował poskromić. Złoto nie złamie przysięgi. Jam chrześcianin i człowiek uczciwy.

— Tyś głupi! zawołał starosta w zapędzie. Głupi jak polano! a do tego najgorszy ojciec! Mogąc wzbogacić, uszczęśliwić dzieci twoje, skazujesz ich samochcą na ubóstwo i na moją niełaskę...

— Wola twoja bat'ku! — powtórzył z pewnym rodzajem uroczystości, niezachwiany kozak — lepsza nędza, niżeli srom! Droższa łaska Boska, niż ludzka! Gdybym wiedział, że moje dzieci będą kiedyś myśleć inaczej, gdybym wiedział, że złoto olśni ich sumienie a łaska ludzka strąci z uczciwej drogi, zamordowałbym ich własną ręką i Bóg sprawiedliwy nie ukarałby mnie

za to! Nie kuś mię przeto panie starosto! Nie wikłaj w jakieś tam świetne obietnice twej magnackiej hojności! *Cur im! pekim!* Zły duch gada przez was bat'ku! Proklatie jemu!

— Zuchwały chłopie! — wrzasnął z oburzeniem starosta. Śmiesz kłać mnie! mnie, twemu panu! twemu chlebodawcy! twemu dobrodziejowi! Śmiesz nazywać głos mój, głosem złego ducha! Śmiesz opierać się woli mojej! Uragać się z niej!

I nie posiadając się od gniewu, poskoczył ku Sawie, podniósł nań rękę, lecz ręka ta pozostała nieruchomą w powietrzu, nagle uwieczona w żelaznej dłoni starego kozaka, który ujawszy ją z całą potęgą młodszej woli i rycerskiej dumy, rzekł surowo:

— Wolno zabić Sawę, ale uderzyć... wara! bo Sawa żołnierz, wolny syn wolnego rodu, a nie twój poddany panie! ani żaden niewolnik! Służyłem tobie z nałogu, z przywiązania do pamięci ojca i dziada twego, którzy nie dali by mnie pokrzywdzić, gdyby żyli! — Służyłem Bogiem a prawdą, jak człowiekowi uczciwemu przystoi. Taką moją nagrodą, że na mnie rękę podnosisz? Taką to cześć mojej starości i zasłudze? Nie byłeś jeszcze na świecie, kiedy już szybował orłem po stepie i gonił na ostre w bojowym tańcu! Byłeś niemowlęciem, kiedy krew przelewał na podhajeckich polach, i bujał duchem wśród ognia i krwawych sieczy krymskich czambułów. Ledwieś szczebiotać zaczynał, kiedy już był starym żołnierzem, i dziesiątą bliźnę pod Wiedniem odbierał! I tyś myślał, że orla stepów i sicz tak łatwo zmanić do sieci! że kozaka z gniazda Sahajdacznych, Brzuchowieckich i Wyhowskich tak łatwo przerobić na podłego służalca? Że mnie Sawę Za-

porożca, mnie, com z ognia wojny wyniósł hart stali, i Bogu tylko, jednemu Bogu kornie czołem uderzał, tak łatwo nagiąć, jak trzcinę, i zdeptać w błocie pogardy? Dziękuj Bogu, żem uśpiął zatrzymać twą rękę! bo gdyby się tylko tknęła oblicza mego, nie żyłbyś już o tej porze! A teraz, powiem ci starosto, ostatnie moje słowo. Ani głodem, ani pragnieniem nie wyrwiesz ze mnie tajemnicy! Morduj żonę moją i dzieci — i to nie pomoże! Drżij ze mnie pasy, wbij mię na pal — i to nie pomoże! Nie wierzysz? Spróbuj! Jam w twojej mocy!

Zbity z toru, poniżony temi słowy Sawy starosta rumienił się, to od gniewu, to od wstydu naprzemian. Poczłł siebie maleńkim i nędznym w obec tej dzielnej i szlachetnej natury prostaczki, której duch owionął go z całą potęgą swego zapału i swojej wyższości. Sam nie wiedział, co począć? Jak wyjść z honorem z tej matni? Jak błąd swej porywczowości naprawić? Obrażona duma szeptała mu na ucho radę gwałtu i zemsty; lecz głos rozumu zagłuszał złe podszepty dumy, i godziwsze nastęrczał środki. Ocknął się z zadumy starosta. Spojrzał na Sawę. Kozak stał przed nim nieomy i surowy.

— Słuchaj Sawo. Zapomnij urazy. Uniosłem się zanadto, boś mi uchybił; puszczam jednak tę chwilę w niepamięć, i ty uczyn to samo. Zgoda?

— Niech i tak będzie! Ja nie z łopamiatny. Tylko hadiuka skrywa jad w sobie — człowiekowi chreszczennomu, to nie uchodzi.

— Rad jestem z tego — a teraz z panem Bogiem! Idź sobie Sawo, bo już późna pora.

— Bud'te zdrowy!

Zaledwie odszedł Sawa, furknęła na metalowych kółkach adamaszkowa draperja drzwi pobocznych, i wystąpiła z pod niej młoda i piękna kobieta.

— Słyszałam wszystko! — rzekła.

— I cóż? — zapytał starosta nieco zmieszany, podając uprzejmie fotel.

— Ty zmalaleś w moich oczach — a on wyrośł.

— Przerosnę go! — rzekł żartobliwie starosta.

— Nigdy!

— Czemu?

— Ubogi, on się nie zaprzedał! Bezsilny, nie uląkł się twojej potęgi. A wiesz-li ty dlaczego?

— Ciekawym.

— Bo w nim wyższa potęga od twojej! potęga ducha, przed którą truchlałeś i bladłeś, kiedy cię karcili słowy oburzenia i prawdy!

— Ależ-bo moja kochana, to coś wyrzekła, nie ma ani kropli sensu! Moralna strona rzeczy, nie za nim, lecz za mną przemawia. Rozważ sama, a przekonasz się, że tak jest, a nie inaczej. Cała jego siła w tem, że posiada tajemnicę, której nie wiemy, a którą chcielibyśmy wiedzieć. Ztąd i ta buta tego dzikiego chłopca. Czuje się bezpiecznym za swoją tajemnicą, jak za kamienną ścianą, i to właśnie robi go śmiałym. Co do jego bezinteresowności — blichtr! Będąc *de facto* panem ukrytego skarbu, umyślił zapewne przekazać go w całości swemu potomstwu; czyli mówiąc prościej, woli miliony od kilku czy kilkunastu tysięcy, jakiego ode-

mnie otrzymał. Jeżeli w tem upatrujesz wielkość, to ci winszuję! W takim razie każdy rozzuchwalony złodziej wielkim człowiekiem u ciebie.

— Poniżając go w ten sposób, sam siebie potępiasz.

— Nie rozumiem.

— Jużciż — ciągnęła dalej z sarkazmem staroscina, kołysząc drobną nóżką, w elegancki przyodzianą tufelek. Jużciż, potępiasz siebie, boś się przed tym złodziejem ukorzył.

— Ja?

— Jużciż nie ja! — dodała z ostrym śmiechem pewna swego wpływu, młoda kobieta. — Jeżeli nie winien? nacoś go pokrzywdził? Jeżeli winien? czemuś go oszczędził i słodkimi słowy pożegnał? Alboś człek niesprawiedliwy — albo słaby, chwiejny, bez hartu i szlachetnej ambicji. Jedno z dwojga!

— Nie od razu Kraków zbudowany! rzekł starosta całując z nadszaskiwaniem rączkę swej małżonki. — Cierpliwości! cierpliwości! moja najdroższa! Wkrótce się przekonasz, kto kogo przerósł; czy on mnie? czylim ja jego? Koniec wieńczy dzieło — czekaj więc końca!

— Nie żył już wtedy — ciągnął dalej Michał Grabowski — zacny p. Sylwester, Gaudenty, Kleo fas trzech imion Witwicki herbu Sas, miecznikowicz oszmiański, marszałek dworu J. W. ś. p. Piotra Miączyńskiego, wojewody Czernichowskiego. Na osieroconej posiadzie jego instalował p. starosta Adam Miączyński jednego z dawnych pieczeniarczy i zauszników swoich, jurgielnika bez czci i wiary, gotowego na wszystko,

w czem swoją korzyść upatrywał. Nazywał się, (o ile sobie przypominam z udzielonej mi relacji) Józef, Faustyn Iwoński. Jakim się klejnotem pieczętował? Zagadka! Prawdopodobnie żadnym, gdyż różnie różni ludzie o jego szlacheństwie mówili. Ale mniejsza o to. Owoż tedy, nazajutrz po nocnem *a parte* dygnitarskiego stadła, pobieżnie przezemnie opowiedzianem, cny Józef Faustyn Iwoński, *supremus aulae magister*, wsunął się, w uniżonych kurbetach do gabinetu starosty, i wyciągnięty, jakby połknąwszy kij, stanął u progu, oczekując rozkazów.

Godzina była poranna. Starosta siedział w długiej aksamitnej ferezji ze złotemi potrzebami, i palił sułtański tytoń z długiego tureckiego cybucha.

— Co waszeć powie? — zapytał swego marszałka, powstając skwapliwie, i postępując ku niemu.

— Czekam rozkazów J. W. pana.

— Słuchaj waszeć uważnie. Od tego co mam waszeć powiedzieć, zależy los waszeć. Jeżeli się sprawisz gorliwie i zręcznie — tak zręcznie, żeby oprócz nas obu i Boga żywa dusza o tem się nie dowiedziała, doznasz mojej łaski, i dzieci twych dzieci będą tę łaskę, moją błogosławiły. W przeciwnym razie stracisz miejsce, i kwita. Rozumiesz waszeć?

— Znana już sądzę gorliwość moja J. W. panu. Jaką była zawsze, taką jest i być nie przestanie, aż do mojej śmierci!

— Liczę na to. Otwórz więc uszy, i zasznurowę gębę, żeby to co usłyszysz, nie wypaplała.

— Stało się według woli J. W. pana.

— Dobrze. — Czy znasz dokładnie podziemia i kryjóWKi zamku?

— Nie ma takiego zakątka w całym gmachu, którego bym nie zwiedził; albowiem było to obowiązkiem moim.

— Czyś znalazł taką norę, do której by głos ludzki nie wnikał i z której nie dałby się słyszeć na zewnątrz?

— Jest właśnie takie miejsce, głęboko sięgające pod fundamenta zamku. Ma luft dla światła i powietrza; ale ten luft skierowany prostopadle do góry, wychodzi na dachy. Nie może więc być niebezpiecznym.

— Doskonale! — Otóż rozporządź się waszeć w taki sposób, żeby się w tym miejscu znalazł teŹe nocy jeszcze siennik dla więźnia, kawał chleba i dzban wody zdrojowej. Kto będzie tym więźniem, dowiesz się waszeć jutro. Oprócz waszeci nikt zgoła, nikt, wiedzieć o tem co rozkazałem i rozkaŹę, nie powinien. Jutrzejszego poranku czekać będę waszeci. A teraz możesz odejść.

Wróćmy do Sawy. Scena ze starostą sprawiła na nim głębokie wrażenie. Przez całą noc nie zmruŹył oka. Skoro świtać zaczęło, zerwał się z łóża i wyszedł pośpiesznie z zamku, nie wiedząc prawie dokąd i poco. W mnogie skiby poorało się czoło starego kozaka. — Grubą mgłą zaszło serce, i duch się zamroczył. Czuł, że stał na kraju przepaści. Runąć do niej samemu, nie było dlań straszne: ale myśl, że kiedy on runie, teŹe los spotka i tych, co mu najdroŹsi byli, żonę wierną i dzieci, przeraŹała go. Cóż miał począć dla odwrócenia ciosu? Co? Mniej sumienny nie powahałby się uledeż wymaganiu starosty, i rzecz byłaby skończoną; lecz

Sawa nie pomyślał nawet o tem. Nie było więc innego dlań środka, jeno spuścić się na wolę Boga, i oczekiwać jej wyroku, pozostając wiernym zasadom całego życia. Tak teŹ i uczynił Sawa. — „Szczoby bude, to bude!“ rzekł sam do siebie, machnąwszy ręką; i poszedł dalej, coraz dalej; w końcu minął podwórze, bramę zamkową, most zwodzony, i skierował swe kroki ku ustronnej lewadzie, gdzie owiana zielenią kilku drzew owocowych, stała jego uboga chatka. — Stara Paraska, żona Sawy, przędła na przyŹbie, nucąc półgłosem jakąś dumkę ukraińską. Dwie córki, Motra i Handzia, harne i świeŹe dziewczki, choć wody napyjsia, łuszczyły ziarnka słonecznika do kosza. Syn jedyny Sawy, w cześć wielkiego hetmana Ukrainy Chmielnickiego, Bohdankiem nazwany, dzielny i szykowny chłopiec lat ośmnastu, kulbaczył konia, w zamiarze zapewne poharcowania po stepie, ku czemu nagliła go kozacka natura, chciwa ruchu, znoju i przestrzeni. Pojawienie się Sawy zmąciło spokojne zarysy tego wiejskiego obrazu, by im nadać żywszy, rzewniejszy charakter. Paraska powstała od kądzieli, i z tkliwą radością powitała męża, który bywał nie częstym gościem w domu, z powodu swych obowiązkowych zatrudnień w zamku. Motra i Handzia porwały się z miejsca, i pobiegły ucałować ukochanego ojca. Bohdanko przyskoczył doń także z pośpiechem pełnym czci i miłości; lecz skoro nań spojrzął, pojał natychmiast, że zaszło coś nie dobrego, i srodze się tem zaniepokoił. Tkliwy uśmiech przemknął po licu Sawy, wobec tych serdecznych objawów przywiązania. Ciasno przycisnął do łona swoją wierną towarzyszkę życia Paraskę; przytulił córkę i syna. Sadził się na spokój, na wesele, żeby miłych sobie nie trwoŹyć, i udało mu się zmylić wszystkich. Jeden tylko Bohdanko nie dowierzał ojcu. Instynkt serca mówił mu, że to była rola blich-

tru, że po duszy ojca wicher przeleciał, i nagłym ją poruszył zamętem.

— Bat'ku! — rzekł kornie do ojca — czy nie okulbaczyć tobie wronego? Pohasalibyśmy trochę po stepie, jakeśmy to nieraz z tobą czynili. Weselej będzie bat'ku i tobie i mnie!

Sawa spojrzał badawczo synowi w oczy, uśmiechnął się doń rzewnie, i przemówił klepiąc go po ramieniu:

— Prawdu skazawęś Bohdanku! a dajno tu wronego. Pohasamy!

Jednym skokiem pchnął się proworny chłopiec ku stajence — i już konie gotowe. Dosiedli — wypadli — lecą. Nie był to jeszcze ów step, co kręgiem swego nieboskłonu zdaje się krańców ziemi dosięgać. — Nie! lecz i tu roztoczył się Wołyń obszernymi równiną, po których daleko strzelać musiała żrenica, nim ślady rolnej uprawy zoczyła; nim się oparła o gaj, puszcę, lub o jakie zamczysko strzegące bezpieczeństwa ludowej osady. Światłem porannem pruszyło słońce z wysoka, Każda rosy kropelka błyskała djamentem; i kroplami takimi obciążone zioła kołysały się rozkosznie w powiewach, unoszących lekką zdobycz ich woni daleko, daleko.

— Czy baczysz synu — rzekł Sawa wstrzymując konia — ten las daleki?

— Bacz!

— Perechrestysia i pokłonyisia synu! — przemówił z głębokiem wzruszeniem stary kozak. I łązy mu stanęły w oczach — i duchem zawisł nad owym lasem dalekim.

Bohdanko przeżegnał się krzyżem świętym, czoło kornie pochylił.

— Tamtędy — ciągnął dalej Sawa — idzie szlak na Ukrainu — na rodynę naszą! — Tym szlakiem przybyłem tu za młodu, za orłem kozackiej ziemi, Iwanem Wyhowskim, wielkim hetmanem Ukrainy, co zniósłszy wraży syłu najezdników Polczy pod Konotopem, połączył całe swoje wojsko z chorągwiami lackich hetmanów. Wtedy to poznał mię młody kasztelan Atanazy Międzyński, did naszego pana starosty, i wziął do siebie. Pół wieku przeszło. Włóczęc się po wojnach, zdobyłem blizn nie mało; a lata zmarnowałem. Czarny wąs pobiełał, a biała myśl młodości poczerniała smutkiem. A zkąd ten smutek? Wyrwij ziele z ridnia ho gruntu, i przesadz na inny — zawieździe i uschnie! Wyjm rybę z wody — usnie snem śmierci! Zamknij czoła do klatki — a pamięć utraconej swobody zabije go! Tak i ja tęskniłem po mojej lubej Ukrainie — wiedłem, usychałem po niej — a jednak wrócić do niej nie mogłem. Bo pocóżbym wrócił? Niktby nie poznał, nie powitał serdecznie, nie przytulił do piersi. Ukochanych nawet mogił śladu nie pozostało! Czas rozwiął rodziców, krewnych, przyjaciół, jak plewę, i mogiły ich rozkopał, i prochy porozmiatał. Orzeł stepów szybując tędy zakrakał: „Nie wracaj! nie wracaj! bo nikt tam ciebie nie czeka!“ Stare sokoły i sire białozory Ukrainy, co mię znały dzieckiem i młodzianem, tak samo przelatując tędy mówiły: „Nie wracaj tam! — Nie wracaj!“ A ja głupi posłuchałem ich i nie powróciłem! Nie znalazłbym tych samych ludzi, to prawda; ale znalazłbym zato te same nieba, ten sam step bezgraniczny, pełen brzmień rodzinnych i wspomnień, i światła, i woni. Znalazłbym tę samą ziemię, matkę kozackiej swobody i sławy! i uderzyłbym czołem przed nią! i ucałowałbym ją z uniesieniem! i łązy rzewnej miłości odwilżył! Teraz już zapóźno synu! zapóźno! stało

się, co się stać miało, i odstać nie może! Nie legną kości twego ojca w ukraińskiej ziemi! Nie legną! Tu będzie mogiła jego; i prędko już, prędko mogiła ta wyrośnie!

Tu tracił wrótnego nogą, i pchnął się cwałem naprzód! Ziemia dudni pod kopytami. Syn z ojcem prą w skokach jak wichry. Ojciec syna do kozackiego polotu zaprawia. Szybuje orłem w przestrzeni, jakby się chciał nacieszyć hulaszczą swobodą kozackiej dzielności, nim go ciasna mogiła zasklepi. Lecą i lecą. Aż tu się bałka rozwinie przed nimi. Bujna i zielona, szeroka i długa, świeża i balsamiczna. Dąb rozsochaty, o wnętrzu spróchniałem i opustoszonej koronie; dąb-starzec samotny, ostatni z dębów tej strony, dogorywał tęskno w załomie tej bałki podszytej szuwarem i chuszciami. Dokoła niego jaka rażna sprzeczność! jakie bogactwo objawów życia w obec jego sieroczej i powolnej śmierci. Na bujnych i jędrnych trawach ile ziół wonnych, ile kwiecica! Wrył się na miejscu koń Sawy. Bohdanko zatrzymał swego. Ojciec z synem zeskoczyli z siodła.

— Bacz synu! zawołał Sawa usiadłszy w trawie, i tocząc okiem dokoła siebie — bacz, jak tutaj harno pachnie Ukrainą! — Wionie moim rodzinnym stepem! — Te same zioła com znał na lulinieckiej polanie! te same kwiaty, com zrywał dzieckiem na lipowieckich polach! — sine dzwonki, barwisty piwnicz! skromna medwedunka, i dumne ziół atamany, kolczate budiaki! — A oto dojrzewa na swej kruchej łodydze nasze perekotypoło. — Gdy dojrzeje zupełnie, pęknie wtedy łodyga, i wiatr potoczy go het, het, daleko — może aż na Ukrainę — może do Lipowca, lub do Luliniec — może na ową harną polanę gdzieś się rzeźwił dzieckiem; gdzieś marzył młodzieńcem o chro-

brych watażkach Ukrainy, o wojnie, sławie, i śmierci rycerskiej! — Posłuchaj Bohdanku! — Kiedy umrę, zawieź moje serce na Ukrainę. — Niech spocznie w ziemi którą tak kochało; po której wiodło w tęsknocie! — Gdy staniesz w Lipowcu, pytaj o Lulińce — a gdy staniesz w Lulińcach, pytaj o polanę. — Każde ją dziecko pokaże. — Tam pogrzebaj serce moje — i połóż kamień na sercu. — Będzie dlań lekkim puchem tylko po tym ciężkim kamieniu jaki za życia dźwigało!

— Ach! otcze mij ridnyj! — zawołał Bohdanko ze smutkiem. Na co gadasz o śmierci twojej? — Tiażko mi ni słyszeć takie słowa, bo cóżby się z nami stało bez ciebie? Tyś opieką nam i radą! pociechą i nadzieją.

— Bóg niech będzie ojcem i opiekunem waszym przemówił Sawa z namaszczeniem. Z nim wszystko, nie bez niego! Pamiataj synu! Co do mnie, stanie się według Jego przenajświętszej woli. Nie pragnę ja śmierci. Przeciwnie; chciałbym żyć dla ciebie synu, dla was wszystkich, bo wiem, że przydałbym się wam na coś. Lecz jeżeli sądzono inaczej, stanę na sud Bożyj spokojnie, bo nikomu nie zrobiłem źle naumyślnie, niczyjej ufności nie zawiodłem, i gorliwie zasady wiary naszej świętej dochowywałem. A to rzecz główna dla chrześcianina. Nie zostawię po sobie ani klejnotów, ani pieniędzy — ale zostawię wam skarb nieoceniony: uczciwe ubóstwo, dobrą radę, sercowe błogosławieństwo i zbawienne przykłady życia. Wkrótce, być może powierzę tobie wielką tajemnicę. Przygotuj się do przyjęcia onej ze czcią, jaka się wszelkiemu zaufaniu należy. Wyrób w sobie tę siłę, co robi człowieka niezłomnym, wobec obowiązku jego uczciwości powierzonego. Cudza tajemnica, rzecz święta! Ktoby cię nie

qadał, i jak by nie badał — bądź głuchym i niemym! Na prośby i nalegania bądź skałą! na groźby i obietnice stałą lub trupem! Przyjm nawet męczeństwo i śmierć samą, a dotrwaj do końca jak na człowieka uczciwego przystało, jak przystało na syna kozackiej ziemi, na potomka chrobrych atamanów Zaporozża. — Poklany sia Bohdanku! że tak uczynisz.

— Klanusia otcze mij! — zawołał Bohdanko z zapalem całując ręce ojca. — Twoja wola jest dla mnie świętą i będzie.

— Dobrze synu! — rzekł Sawa swobodniej z widocznym uczuciem ulgi wewnętrznej, kładąc dłoń swoją na głowie klęczącego przed nim młodziana. Dobrze! Wiru tobi! — A teraz do konia! do konia! Pohasajmy jeszcze na woli, jak sokoły stepów! Nie wiele już mi czasu zostało. Służba zamkowa woła — a kto służy, niewolnik! Bohdanku! nie służ nikomu — słyszysz? — nikomu, tylko kozackiej ziemi i Bogu!

Skoczyli na koń i polecili.

Kiedy się to działo na stepie, starosta odbywał w swym gabinecie tajną konferencję, z dostojnym Iwońskim, marszałkiem maciejowskiego zamku. Podślučajmy ich, (choć to nieładnie) może się też czegoś dowiemy.

— To waszeć powiadasz, że nikt nie wie o niczem? — mówił starosta.

— Nieinaczej! J. W. panie — odpowiedział niskopokłonny marszałek.

— Jakim że sposobem dokazałeś tego?

— Wszyscy spali w zamku. Sam więc zaniostem

siennik, dzban z wodą, chleb razowy do kryjówki i przybiłem do drzwi rygiel, którego tam nie było. Klatka gotowa, brak tylko ptaszka.

— Mam ja i ptaszka na oku — trzeba go tylko złapać.

— Łapmy więc J. W. panie! — Racz ukazać gdzie jest, i jakie nosi godło, a nie uniknie moich sideł.

— Tym ptaszkiem... Sawa.

— Sawa?! — zawołał cofając się z przerażeniem cny Iwoński!

— Czegoż się waszeć tak zachnąłeś, jak gdybyś swego kuma, Belzebuba, zobaczył?

— Sawa?! — to być nie może! J. W. pan pożartował sobie ze swego wiernego sługi.

— Wcale nie! — Powinienbyś waszeć wiedzieć, że nie mam zwyczaju żartować z tymi co u mnie służą.

— Racz mi J. W. pan nie brać za złe, że się ośmielił zapomnieć o tem w tej chwili. Każdy inny nie byłby lepszym na mojem miejscu. Nie mogłem ja dopuścić, żeby taki człowiek jak Sawa, takiej powagi zaśluga, i takiego faworu w rodzie J. W. pana mógł uleść karze tak srogiej, jakby jaki ladaco, lub złoczyńca.

— Kto dał waszeci prawo cenzorować moją wolę? wykrzyknął starosta gniewnie, wyskakując z siebie.

— Wierność i przywiązanie J. W. panie! — odpowiedział z niskim ukłonem Iwoński. Nie chodzi mi bynajmniej o Sawę — bierz go djabeł, skoro J. W. panu nie miły — chodzi o następstwa, jakie może pocią-

gnąć za sobą uwięzienie człowieka, który ma za sobą nie tylko cały lud tutejszy, lecz i całą okoliczną szlachtę. Krzyk będzie straszliwy!

— To cóż? — pokrzyczą i zapomną.

— Dopusćmy J. W. panie, że mogliby zapomnieć (bo czas zaciera wrażenie) ale Sawa ma żonę, córki, syna, chłopca dzielnego i gorąco miłującego swego ojca... Nie zapomną oni! nie! i drugim zapomnieć nie dadzą!

— Cóż mi zrobią?

— J. W. pan jesteś moznym magnatem — ale ogół możniejszy, bo w jego głosie, głos samego Boga!

Te słowa, przynoszące zaszczyt temu, co je wymówił (choć miały zapewne egoistyczny interes za podstawę) nie otrzymały żadnej odpowiedzi. Starosta wpadł w zadumanie, i zaczął się przechadzać po komnacie. Śnać walczył z sobą; kładł na szale rozwagi rozum i magnacki upór, chciwość i sumienie; namietność i cnotę. I cóż? Stało się niestety! jak się staje zwykle na świecie. Namietność przeważała cnotę, i stała się *eo ipso* stanowczą normą której się starosta uchwycił skwapliwie.

— Słuchaj waszeć uważnie każde moje słowo — przemówił z pewnym rodzajem zadowolenia, zbliżywszy się do Iwońskiego. Ważne powody, mnie jednemu wiadome, i wcale od mojej woli niezależne, spowodowały moje nieodwołalne postanowienie, postąpić z Sawą, jakem waszeci powiedział. Będzie to dlań tylko chwilo-wa nieprzyjemność, której przykre wrażenie potrafię zatrząść późniejszymi dobrodziejstwami. Żeby jednak nie drażnić bez potrzeby opinii, i nie wywoływać scen skandalicznych ze strony jego familji, trzeba najprzód roz-

głosić zrećźnie po zamku, że mam zamiar posłać Sawę z ważnem poleceniem do Zawieprzyc. Wieść takowa rozszedłszy się pomiędzy ludnością zamkową, przygotowuje niejako grunt całej akcji, i ustroni wszelkie podejrzenia, jakichby dłuższa nieobecność Sawy mogła być przyczyną.

— Myśl przewyborna! — godna wysokiej mądrości J. W. pana! — rzekł chytry dworak z udanym podziwem.

— Dopełnienie tej mojej myśli, czyli sam najgłośniejszy fakt instalacji ptaszka w przysposobionej dlań klatce, polecam przezornej gorliwości waszeci. Jeżeli, nie używając żadnego pośrednika, dokażesz tego w sposób taki, żeby się nie domyślono prawdy, potrafię dowieść waszeci że umiem być wdzięcznym i będę nim hojnie; hojniej, niżeli się spodziewasz. Cała rzecz w tem, żebyś moje polecenie spełnił, jak najrychlej — jeżeli nie dzisiejszej nocy, to przynajmniej jutrzejszej.

Na tem skończyła się konferencja.

Pomimo to, że dostojny marszałek dworu starościńskiego, nie celował wcale sumiennością (w której praktyczny rozum jego widział rzecz arcy-szkodliwą doczesnej pomyślności człowieka) wstrętną mu była rola jaką się odegrać zobowiązał. — Niema tak zepsutej natury, w którejby nie przemówił czasem głos szlachetniejszych uczuć; któraby w danej chwili nie zapłonęła rumieńcem wstydu wobec własnej przywary, i nie zapragnęła otrząść się z niej. — Doznał tego na sobie Iwoński, gdy po odbytej konferencji opuszczał gabinet starosty. — Przy większej dozie woli i bojaźni Boga, nie przeminał by dlań ów moment opamiętania bezskutecznie. — Tor poprawy był przed nim. — Czemuż nie

wkroczył nań stanowczo? — Bo mu zabrakło hartu, który się namiętnościom opiera; zabrakło bożego światła, co wewnątrz człowieka z mroków oczyszcza, i do chwalebnych zamiarów zagrzewa. — Przyszły na myśl Iwońskiemu obietnice starosty hojnego wynagrodzenia. — Brzękło mu w uszach złoto. — Mignęły w oczach ułudne blaski dostatków, niezależności, samodzielnego bytu — i czyn poprawny spełził na niczem — i odstępcą cnoty, pozostał nadal odstępcą.

Przeleciały dwie doby — ciągnął dalej Michał Grabowski po krótkim przestanku — wieść gruchnęła pomiędzy zamkową służbą, że Sawę wysłano nagle do Zawieprzyc, z kąd miał podobno nieprędko powrócić. — Posmutnieli wszyscy, bo nikomu nie było na rękę to zdarzenie. — O ile nie lubiono Iwońskiego, o tyle miłym i pożądanym był każdemu Sawa. — Czy się komu zdarzyła jaka nieprzyjemność, czy kogo nieprzewidziana dotknęła potrzeba, Sawa bywało zaradzi nieprzyjemności, potrzebę załatwi. — On był prawdziwym opiekunem, doradcą, orędownikiem, nie tylko mieszkańców zamku, lecz i wieśniaczych familji, których krzywdzie gorliwie zapobiegał, a nędzy niósł otuchę, i pomoc. — Cóż więc dziwnego, że go kochano, poważano ogólnie? — A ile on umiał pięknych skazek i dumek! ile zdarzeń ciekawych opowiadał z czasów rycerskiej przeszłości swojej, za małodusznego Michała Korybuta, i mężnego Jana III.! — Kiedy nastawały długie zimowe wieczory, i gości nie było w zamku, wszyscy słudzy, i oficjaliści, wyjąwszy przybocznej pokojowej służby państwa starostwa, zgromadzali się o danej godzinie, w obszernej sali strażniczej, tak nazwanej od pierwiastkowego przeznaczenia swego; w niej bowiem, za czasów jeszcze Andrzeja Miączyńskiego wo-

jewody Płockiego, i jego wnuka Atanazego wojewody Wołyńskiego, podskarbiego W. k. mieściła się straż w liczbie odpowiedniej wymaganiom chwili; straż odborna, z młodców Ukrainy i Zaporozża złożona, i mająca swego atamana na czele. — Wnuk Atanazego, spółczesny opowiadaniu mojemu, właściciel Maciejowa, starosta Łosicki, jenerał wojsk koronnych, hrabia na Miączyńie i Połajowie, Adam Miączyński, nie mając już wtedy potrzeby utrzymywania zamku na wojennej stopie, zredukował swoją załogę do mniejszej daleko cyfry, chociaż przeszło półsotni kozaków wynosiła. — Resztę ludności służbowej składała komputowa zbieranina z fagaserji rozmaitego cechu. — Wszyscy oni, i zbrojni młodce stepu, i liberyjni posługacze, zgromadzali się bywało wieczorami, jakem już powiedział, w owej strażniczej sali, część środkową dolnych murów zamku zajmującej. — Skoro wchodził Sawa, witano go z uprzejmem zadowoleniem, i wnet ucichły niesforne gwary tłumu; i sam ów tłum przestawał wicherzyć się nieładem, poddając się jednomyślnie regule obyczajności, i porządku, do której powoływało go uznanie zasługi starca. — Wtedy Sawa zasiadał na dębowej ławie, zapalał lulkę, i wieczorne posiedzenie, jakąś dumką kozacką, lub powieścią z kozackiego bytu, inaugurował.

— Po tem co rzekłem, żał ogólny po odejściu Sawy nie potrzebuje komentarza. — Zdarzenie to, nie w sobie nie mające nadzwyczajnego pozornie, było głównym przedmiotem domysłów, i wniosków zamkowej gawiedzi. — Przezorniejsi (a tem samem skeptycy, i pesymiści) zaczęli się zagłębiać w moralnej kombinacji możliwości i prawdopodobieństw. — Jedni zauważyli, że od czasu wyjazdu Sawy do Zawieprzyc, humor sta-

rosty sposepniał, i jakby się nasrożył. — Drudzy, że cny marszałek dworu Iwoński związał się czegoś i krzątał po zamku, wielce zaaferowany, i częstsze niż kiedykolwiek starostą odbywał konferencje. — Rozkołysana ciekawość dworskich próżniaków nie dawała im pokoju. — Nikt jednak nie przejrzał jasno w tem co się rzeczywiście stało. — Wszyscy krążyli około czegoś nie dającego się ująć w stanowczą formę; wietrzyli coś, przeczuwali; i rzeczywiście, czyn haniebny, niezaprzeczonego, dopełnił się w pośród nich! czyn niesłychanego machjawelizmu, i niesłychanej zgrozy! — Żaden trop nie pozostał po nim. — Żaden głos nie zdradził go! — Przebiegłość i przemoc opadły nań grubą nocą tajemnicy i zakryły przed okiem ludzkim! — Sawa nie pojechał do Zawieprzyc, nie! Sawa znikł w ciemnem podziemiu maciejowskiego zamku! — Sawa był więźniem, ofiarą, męczennikiem! — Zdumiał się zrazu ujrawszy się w tem miejscu — lecz to nie trwało długo. Prawda stanęła przed nim w całej nagości swojej. — Prawda smutna, bo świadcząca wymownie o skażeniu ludzkiej natury, a także o stopniu moralnego zepsucia samego starosty, którego dziadowi i ojcu, poświęcił on najpiękniejsze lata życia, i niezachwianej wierności zapala. — Takiegoż się mógł spodziewać wynagrodzenia? — Był to dlań zatem cios okrutny, cios strasznego rozczarowania! — Lecz Sawa nie należał do rzędu ludzi dających się stracić łatwo z piedestału. — Zachwiał się zrazu, bo któżby się nie zachwiał od takiego pioruna; wkrótce jednak odzyskał swoją równowagę, i stanął znowu twardo na podstawie godności i mężnej rezygnacji, które go nigdy nie odstępowały. — Wielką mu wprawdzie pomocą była religijna uległość wyrokowi boskiemu i to przekonanie jakie miał, że człek niewinnie cierpiący na ziemi, otrzyma wynagrodzenie w niebie. —

A więc nie rozpaczał, i był o tyle spokojnym, o ile nim być zdołał. Groźnie i ponuro ciążyła na nim niewola. — Wilgotnemi wyziewy wiało nań z murów brudnych, skorupą pleśni powleczonej. — Ani słońce spojrzało do wnętrza, ani świeży wietrzyk tam wniknął. — Wszystko czem tchnie, świeci i żyje natura, omijało ze zgrozą to miejsce przekłete, gdzie samowola przemocy obrała sobie bezpieczne ukrycie dla czynów sromoty i zbrodni. — Leniwo wlekły się godziny dla biednego Sawy. — Dzień szary, mrokiem przesiąkły przezołgał się żółciem w podziemiu. — Nadeszła noc czarna bez gwiazd, i lazurów dla więźnia. — Chleb leżał przed nim, nie-
tknięty; lecz wody ubyło w dzbanie, bo woda kordjałem w cierpieniu. — W tem rozległ się gdzieś za ścianami więzienia odgłos ciężkiego stąpania. — Ktoś się opuszczał po schodach; ktoś rygle odsunął; drzwi na zawiasach potoczył; i stanął zlatarką na progu. — Był to sam starosta.

— Sawo! — rzekł zbliżając się doń, krokiem urwanym, jakby wahającym się — sameś przyczyną tego co się stało. — Nie obwiniaj mię, lecz samego siebie.

— Ja nikogo nie obwiniam! odpowiedział Sawa spokojnie, siedząc na sienniku z rękami skrzyżowanymi na piersiach. — Podobało się Bogu ukarać mię, i ukarał.

— Nie było by kary, Sawo, gdyby nie było przewinienia — ciągnął starosta, zbity z toru tem zachowaniem się starego kozaka, pełnem godności, i rezygnacji.

— Wszyscyśmy bał'ku grzeszni przed Bogiem! — Niema świętych na ziemi.

— Nie trzeba być koniecznie świętym, żeby wie-

dzieć co się panu od sługi należy. — Jam panem twoim, a tyś moim sługą; czemużes o tem zapomniał? Należnego mi posłuszeństwa odmówiłeś?

Tak się wyraził starosta, lecz nie były to słowa płynące żywym prądem gruntownego przekonania; nie było w nich tej stanowczości, której źródłem jedynem, prawda. — Starosta bąkał niezwięźle, bo się z prawdą rozmijał. — Sawa słuchał i milczał; a choć starosta już mówić przestał, Sawa milczał jeszcze, bo cóż miał odpowiedzieć na to wykrętne oskarżenie z jakim starosta przeciw niemu wystąpił? — W milczeniu starego kozaka była i siła i godność — była i pogarda. — Milczał i czekał.

— I cóż Sawo? — Trwasz w swoim uporze? Odmawiasz posłuszeństwa? — ozwał się starosta niecierpliwie, jakby oburzony sam na siebie, za wahanie i powolność. Czas kozackie, żebyś się opamiętał i odsznuruował sobie gębę dobrowolnie, nie czekając aż ci ją sam odsznuruje!

Śmiech wewnętrzny, stłumiony, lecz pełny wzdgardliwej ironii, poprzedził odpowiedź Sawy:

— Nie tobie bat'ku odsznuruować moją gębę! Nie tobie! — Wywołaj z grobu twego ojca, twego szlachetnego ojca, i jeżeli usłyszę z ust jego że mię zwalnia z przysięgi jaką mu dałem, dowiesz się natychmiast o tajemnicy skarbu, i zrobisz z nim co zechcesz. Inaczej nie dowiesz się niczego, bo gęby Sawy ani prośba, ani groźba, ani męka nie odsznuruje.

— Obaczymy! obaczymy! — zawołał starosta cisnąc pięści do gniewu. Znajdą się środki na twój upór! Znajdą! pęknie on w mojem ręku jak szkło! zegn timer się

jak trzcina! rozplynie jak woda! zagadasz bratku i wygadasz! nie żelaznys przecie!

— Żelazny bat'ku! żelazny! rzekł Sawa spokojnie. Żadna siła nie skruszy ducha mego! Żadna męka nie nagnie! — a zabijesz? tem lepiej! Mogiła, to spoczynek, a chciałbym już spocząć!

Kiedy tych słów domawiał, starosta kroczył ku drzwiom więzienia, gniewny i ponury. Stanąwszy u progu obrócił się ku Sawie, zmierzył go długiem i wściekłym wejrzeniem i zapytał:

— Nie zmieniłeś postanowienia?

— Nie!

— I nie zmienisz go?

— Nigdy!

— Drzyj więc nędzny chłopie! drzyj przedemną boś zginiony!

— Nie drzałem nigdy, jeno przed Bogiem, bo on panem moim i sędzią! On jeden a nie kto inny!

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie!

Starosta szarpnął klamkę. Z jękiem potoczyły się drzwi na swoich osiach. Zgrzytnęły rdzawe wrzeciady. Sawa pozostał sam jeden, z milczeniem, nocą i ciężkiemi dumy swojemi.

ROZDZIAŁ IV.

— W pobliżu Maciejowa — ciągnął dalej Michał Grabowski — leżała wieś Wygnanka, do tejże majętności należąca. — Niesie podanie, że pierwszymi osadnikami onej byli jeńcy tureccy z pod Wiednia, na dołę Atazena Miączyńskiego z podziału przypadli, których on w tem miejscu na gospodarstwie osiedlił, i hojnie uposażył ¹⁾. — Wnosząc z oblicza mieszkańców, noszących dotąd wybitne cechy wschodniego pochodzenia, podanie to musi być prawdziwem. — Grunta Wygnanki przypierały ostrym klinem do jaru, poza którym leżała sadyba Sawy, z chatką schludną chociaż ubogą po środku. — Pomiędzy tą chatką i wsią tureckich osadników, biegła wążiuchna drożynka gładko udeptana, zwyczajny tor wieśniaczych sąsiedzkich stosunków, po którym stąpa trud codzienny, współ z niedolą, a po którym pokój i szczęście nigdy nie chodzą. — Na samym kraju wsi Wygnanki, od pola, stał mały dworek, wzielonej obsłonie drzew, i krzewów. — Był to sobie dworek prosty, nie wykwintny, ale dość obszerne, schludne, i starannie słomą pokryty. — Ganeczek z dwiema ławeczkami tkwił na froncie. — Przyźba szeroko wydarniowana obiegała go wokoło, pod zasłoną nawisłych

¹⁾ Historyczne.

krawędzi dachu. — Z podwórka wyrastał gołębniczek. — Dalej, stały obok siebie, stodółka, chlewki i jakiś składowik na kłódkę zamknięty. — U wrot była mocna, i wygodna buda Kruczka, psa strażnika. — W tym dworku mieszkał stary graczalista domu Miączyńskich, Gerwazy, Polychron, dwójga imion Zbrozek, niegdyś towarzysysz pancernej chorągwi wojewody Wołyńskiego Atazena Miączyńskiego, wielkie mający u niego, dla swych długoletnich zasług, zachowanie. — Był to już starzec podeszły, ale jeszcze czepki, serca najlepszego, jędrnej głowy i dzielnego animuszu. — Sawę lubił bardzo, poważał niemniej, a że z racji kawalerskiego stanu nie przysposobił sobie familiji na starość, i następnie, oprócz wiejskiej baby gospodyni, i dziada najmyta, nikogo nie miał przy sobie, rzadko się zdarzało żeby albo sam nie peregrynował na wieczorną pogadankę do Sawy albo nie posyłał doń z wezwaniem do siebie. — Gdy mu nic nie przeszkadzało, Sawa spieszył do przyjaciela. — W przeciwnym razie, wyręczał ojca Bohdanko, z Handzią, lub Motrunią. — Bywało i stara Paraska przyciągnie z niemi w odwiedziny. — Nie posiadał się wtedy z radości pocziwy gospodarz. — Krzątał się, zwijał od lamusu do szafki, od szafki do swojej podręcznej spiżarki w alkierzyku urządzonej, z kąd wydobywał rozmaite alimentarne zapasy, i miłe podniebieniu domorosłe przysmaki, któremi obdzielał uprzejmie kochanych gości, z przyprawą gadek, żarcików, powiasteczek po setny raz powtarzanych, a powtarzanych dla tego, że treścią ich były zdarzenia drogie pamięci; że drogie sercu postacie odżywiały w nich, z całym urokiem wrażeń uczuć i nadziei, blasków i zachwytów młodości. — Zdawało się staruszkowi, kiedy o dawnych czasach opowiadał, że były od niego nie dalej jak o długość ręki; że ich dotykał, że znowu istniał

w nich i z niemi czuł się młodym, krzepkim, dzielnym, szczęśliwym. — A więc chętnie powtarzał swe narracje, bo przedmiot onych był zawsze dlań świeżym, nowym, pożądanym. — Słuchano go też z zajęciem. — Bohdanko zwłaszcza. — Dużo kozacki dzielnego chłopca, bujał ochoczo w tym nowym dlań świecie rycerskich czynów i sławy, co się otwierał przed nim szeroko w opowiadaniach starego żołnierza, z całą uludą swoją, i poetycznością. — Godnem było orlątko swego orlego gniazda. — Rwało się ramię jego od lemiesza do szabli złorzecząc cichej jednostajności wiejskiego bytu, jakby pętom niewoli. — Kochał ojca, matkę i siostry; kochał ciepłem i głębokiem uczuciem, a jednak nie powahałby się wyrwać się z ich tkliwego objęcia, gdyby go hasło wojny powołało. — Cieszył się Zbrożek temi przejawy młodzieńczej działalności, które mu jego własną przypominały, i z obawy żeby nie usnęła, podniecał ją i rozpłomieniał.

Nazajutrz po mniemanym odejździe Sawy do Zawieprzyc, poszedł Bohdanko do Zbrożka, bo mu czegoś nie wesoło było na duszy.

— Dobrze żeś przyszedł chłopcze! — zawołał widząc go wchodzącego, stary wojak. A co tam pocziwa Paraska? A Handzia? A Motrunia? he? czy zdrowe? he!

— Zdrowe, z łaski Boga — odpowiedział Bohdanko całując w rękę gospodarza.

— To i dobrze! — A Sawa?

— Niema ojca w domu.

— Gdzież?

— Nie przychodził do domu trzy dni. Nieraz to

bywało, ba nawet i dłużej — ale tym razem coś mię tknęło. Pobiegłem do zamku. Gdzie bat'ko? zapytałem. „Pojechał“ powiedział kozak Taras. — Dokąd? — „Do Zawieprzyc“. — Nie powierzyłem. Być nie może, nieprawdaż? żeby mając jechać tak daleko, bat'ko nie przyszedł pożegnać się z nami. Coś tu nie tak. Pytałem innych dworskich. Jedni mówili, że kozak Taras powiedział prawdę — drudzy, nie wiedzieli wcale co się z bat'ką moim stało? Poszedłem w końcu do samego pana marszałka dworu. I cóż? Zrazu naindyczył się, poczerwieniał jak burak ze złości; ale kiedy mu spojrziałem śmiało w oczy, i śmiało powtórzyłem pytanie o moim ojcu, zabełkotał coś niezrozumiałe, a potem zakrzyczał jak nawieżennyj: „Sawa w Zawieprzycach; J. W. Pan posłał. — Dowiedziałeś się? he? to idź precz!“ — Nie było co robić. Wyszedłem, i przychodzę do was bat'ku, po radę rozsądną, i dobre, serdeczne słowo. Sam nie wiem z kąd pochodzi, że jestem smutny i niespokojny, jakbym przeczuwał coś złego, coś bardzo złego...

— Kto z Bogiem, Bóg z nim, i włos jemu z głowy nie spadnie! rzekł z namaszczeniem starzec. Pluń chłopcze na twoje złowieszcze przecucia i niech przepadną na wieki! — Co do wyjazdu Sawy do Zawieprzyc, cóż w tem upatrujesz niepodobnego? Musiało coś wydarzyć się tam ważnego, potrzebującego prędkiego zaradzenia, co i było powodem, że pan starosta posłał Sawę nagle, nie dawszy mu nawet czasu pożegnać was i uściskać. Czy to się mało rzeczy podobnych w życiu przytrafia? Pożyj tyle co ja, a będziesz widział. Dola człowieka na tym padole toczy się nie po kwieciach, a po cierniach. Zawsze coś ukole i dotknie. Nie idzie zatem żeby się tem zrażać i animuszem upadać, jak to

robią flejtuchy i baby. Ponieważ inaczej być nie może, trzeba się pojednać z losem, wszystkich zarówno dotykającym i trzymać się krzepko, mężnie, na doczesnem stanowisku, jakie nam opatrność przeznaczyła. Ja czynię tak, bom Polak i żołnierz. Ty chłopcze, rób tak samo, boś przecie, nie jakiś tam piecuch Niemiec, w pierzynach wydelikacony, a kozak, syn dzielnego wojaka, i siczowych młodźców potomek. Choćby cię bieda młotem tłukła, choćby ci serce krwią zaszło od guzów i sińców, ani dbaj! Pluń biedzie w oczy, staw się jej mężnie, a zwyciężysz! Ten górą co się nie dał osiodłać biedzie!

Tak mówił zacny starzec pokręcając siwego wasa, z gestem butną dzielność młodego wieku napominającym. — Hula babula! chłopcze! Czegoś spuścić nos na kwintę? he? — Kiedy twój baćko pojechał do Zawieprzyc, toć on i powróci z Zawieprzyc. Nie ma się czego frasować! nie ma chłopcze! jakem Gerwazy, Polychron, Zbrożek, herbu Jasieńczyk, najstarszy z towarzyszyów pancernego znaku i wasz najżyczliwszy przyjaciół.

Uśmiechnął się Bohdanko w błogiem uczuciu ulgi i wdzięcznie rękę starca ucałował. A jednak, odparta na chwilę, wracała doń natrętnie myśl niespokojna, wionąca mgłą tęsknoty na duszę młodzieńca. Głos przeczcucia wołał mu z głębi złowrogo i głos ów był, niestety! proroczym. Chcąc rozerwać niepojętą mu troskę młodego kozaka, Zbrożek jął się (po raz setny może) opowiadać historję swojego zbioru pamiątek napęnlających izdebkę (jedyną w całym dworku oprócz alkierzyka) w której zwykł gościom dawać posłuchanie.

— Patrz chłopcze — mówił — ta szeroka pła-

cha w jaszczurze, co to wisi pomiędzy dwoma tureckimi buńczukami, to sławna owa Zmijka, najjadłowitsza w całej naszej chorągwi, której żądło poraziło nie jednego bisurmana. — Jak syknę bywało i ugodzi, wała się chłopcy kiej snopy, i pusto robi się w koło mnie, jak w koło kosarza, kiedy w krąg kosą zamachnie. — Pan wojewoda Wołyński Międzyński, wojak jakich mało, i magnat przezacny, jakich mniej jeszcze, dał mi ją w przededniu pochodu na wiedeńską wyprawę. — Snać, natchnął ją mężnym swym animuszem, bo skoro uderzyły trąby, i taniec się bojowy rozpoczynał, drgała w swej pochwie jak żywa, rwąc się z niej gwałtownie do natarcia, i krwawej sieczy. Dawno tęskni po bojach! — Pamiętaj Bohdanku, żebyście ją włożyli zemną do grobu. — Broń taka, nie ma już co robić na świecie o tej porze! — Ta krzywa szabla, którą widzisz obok tej staropolskiej misiury z rdzawemi plamy krwi zastygłej, to prawdziwa damascenka ukuta na zimno z drutów stalowych — ciężka, rozmazysta, ostra jak brzytew, i dzwoniąca jak struna. — Otrzymałem ją w darze od Jakuba-Agi, kajmakana tureckiego w Bałcie, który ją otrzymał od Gałgi Gireja Perekopskiego. — Wypróbowałem tę szablę pod Podhajcami, i nie zawiodła mej dłoni pocziwa! nie zawiodła! — Te dwie spisy, co stoją w kącie, to rycerska pamiątka po Grzegorzu Brzuchowieckim, owym dzielnym atamanie Koszowym co tyle bisurmanom zalał sadła za skórę. — Lekkie jak trzciny, i takiego hartu w ostrzu, że skałę byś przebił na wylot. — Rohatyna, co przy nich wisi na haku, broń sama przez się nie szczególna (bo niema broni nad szablę!) lecz wielką do niej przywiązuje cenę, bom zdobył ją pod Konotopem, razem z tą oto szablą w skórzanej pochwie, która mi, w tej okazji, kilka ciężkich blizn zadała. —

Tureckie pistolety, które tam widzisz skrzyżowane nad
zbroją mego pancernego znaku, pochodzą od hetmana
wszej kozaczyzny Tetery, co to po Iwanie Wyhow-
skim wojewodzie Kijowskim, objął hetmaństwo. — Wy-
ratowałem mu życie pod Lubarem, kiedy jeszcze nie
był hetmanem. — Nauczył on mię jednej piosenki, na
tęskną i rzewną nutę, którą zabeczę tobie po swojemu :

- „Oj! hołubko krasnopióra,
„Co się stanie z tobą?
„Od północy ciągnie chmura
„Z mordem i żałobą.
„Ciągnie wichrem — grzmi złowrogo —
„Oj! biedna ptaszyno!
„Uleć ztąd, gdzie cicho, błogo,
„Aż burze przeminą.
„Oj! nie miną prędko one!
„Już od wieków trwają.
„Jakby na nas sprzymierzone,
„Spoczynku nie dają.
„To się Tatar zetnie z nami,
„To Lach na kark wpadnie —
„Wyrąbiem ich w pień szablami —
„Nowy wróg napadnie!
„Znowu nabiegi, i mordy,
„Gwałty i pożogi!
„Gwiazdy wiodą czambuł hordy
„W pustyni, bez drogi.
„Oj! hołubko krasnopióra!
„Tyś nie dla kozaka!
„Jako wicher, jako chmura,
„Dola jego taka! —“

Czarnobrewa nato rzecze:

(Łza jej oczy ćmiła)
„Nie straszne mi wojny siecze,
„Byłem z tobą była!

„Nie straszny mi trud pochodu,
„Ni skwar, ni zamiecie!
„I jam też z orlego rodu,
„Jam kozacką przecie!

„Na kraj świata, z tobą miły,
„Na kraj świata, pójdę,
„Miłość me podwoi siły,
„Gdzie ty dójdziesz, dójdę!

„A gdy ciebie wróg naskoczy,
„Cios jego odbiję,
„Orlem okiem strzelę w oczy,
„Złękę — lub zabiję!“

„Na bój tedy“ — kozak woła
„Lećmy razem, miła;
„Wartaś dzielić los sokoła
„Gdyś go polubiła.“

Wpadli na koń — tną z kopyta,
Step dudni pod niemi —
Dokąd? -- dziewczyna nie pyta,
Koń nie tyka ziemi.

Lecą — słyhać gwary w dali,
Tentent, krzyki Ała!
Huk wystrzałów, brzęki stali;
Horda pędzi cała.

Z przodu — Murzy — Bajrachтары,
Agi — hurma z tyłu.
Za nią mordy i pożary,
Chmura dymu, pyłu.

Aż tu nagle jej zaskoczy
Obces, huf kozaczy,
Buchnie z rusznic w same oczy,
Szablą łby naznaczy.

Lasem ostrych spis się jeży
Step, dokoła wroga,
Hurra! — tatar pierzchnął — bieży.
Ledwie uszła noga.

Oj! hołubko krasnopióra!
Gdzieś ty? — gdzie twój miły?
Razem was wtrąciła chmura
Do jednej mogiły!

Ledwie Zbrozek ostatniej strofy dośpiewał, skrzyknęły drzwi na swoich drewnianych osiach, i ukazało się smugłe, wyraziste oblicze, dość młodej jeszcze cyganki, owiane chmurą czarnych, gęsto w chaotycznym nieładzie splecionych włosów. Ogniste i ruchliwe oczy Romow¹⁾ córy, strzeliły jasnym rzutem do wnętrza izdebki, a uśmiech na wpół błagalny, odsłonił dwa rzędy białych jako śnieg zębów, co gdyby dwa sznury pereł z pomiędzy ust krasnych wyglądały.

— A po coś tu przekłeta czarownico? — zawołał Zbrozek tonem mniej surowym, niżeli żartobliwym. No — no — wchodźże do stu Belzebubów, albo się wyłoś do diabła, a nie stercz mi we drzwiach jak ów

¹⁾ Tak zowią siebie cyganie.

bałwan co to go stawia w konopiach dla odstraszenia wróbli!

— Na co Dados¹⁾ wspomina Bynka? ²⁾ — rzekła cyganka wsuwając się giętkim ruchem gadziny do komnaty. — Pfe, to nie dobrze. Nie Bynk ojcem świata, a Mro-den-oro, ³⁾ i jego tylko imię powinno wychodzić z ust starego człowieka.

— Lubo twój język jest niezaprzeczenie piekielnym narzędziem kłamstwa i podstępu, *confiteor* żeś tym razem powiedziała prawdę! rzekł dobrodusznie starzec. Życzylbym sobie żebyś (jeżeli się temu twoja pogańska natura nie sprzeciwi) na moje pytanie równie rzetelną dała odpowiedź.

— Pytaj Dados Alike — Alike odpowie.

Po tych słowach usiadła wschodnim sposobem w kątku na podłodze, i udrapowawszy malowniczo na sobie pasową obsłonę z jedwabnej materji, czekała.

— Owoż tedy powiedz mi przezacna Aliko czego was djabli noszą po świecie?

— Znowu Bynka nazwałeś! — zawołała cyganka — czy tobie Bynk tak przyrósł do języka że bez niego geby otworzyć nie umiesz? Jestem łatjogaszis, ⁴⁾ nic tobie złego nie zrobiłam, dla czegoż mi djabłem plujesz w oczy?

— No — no — nie gniewaj się czarownico! —

¹⁾ Ojciec.

²⁾ Djabel.

³⁾ Bóg.

⁴⁾ Dobra kobieta.

ciągnął śmiejąc się staruszek. Zły nałóg! zły nałóg! wyznaje. Ale nie odpowiedziałś mi jeszcze na moje pytanie.

— Chcesz tego? więc posłuchaj — przemówiła Alike, powstawszy nagle i zbliżając się z dziwną jakąś powagą do Zbrożka. Wy g a d z i o w i e ¹⁾ gardzicie Er-rumanselami; ²⁾ mianujecie ich podłą hałastrą włóczęgów i złodziei; odtrącacie z obrzydzeniem, pogardą, gniewem; skąpicie im nie tylko chleba i wody, ale nawet dziennego światła i powietrza, a jednak, myśmy panami świata a nie wy! my! słyszałeś stary D a d o s? Kiedyśmy byli już narodem i mieli mędrców swoich, których nauce po dziś dzień, od wieków hołdujemy, wy byliście jeszcze niczem innym, jeno trzodą dzikich włóczęgów, rozsianą w pustyniach. Starsi więc jesteśmy od was na ziemi — najstarsi! Czemuż gardzicie nami? Czemu? Czy dla tego żeście w bławatach i złocie? a my w łachmanach? Czy dla tego, że mieszkacie w pałacach, a my ich nie mamy? Czy dla tego że macie powozy, cugi, służki liberyjne co was okradają i szydzą z was w dodatku, a my, biedni wygnańce, sami ciągnąć musimy nasz w e r d e n ³⁾ z ubogim sprzętem taboru, i krwawym potem okupujemy każdy kęs suchego chleba, który głodowi naszemu nie starczy? Pomi-mo to wszystko, co g a d z i o, starcze! to nie e r u-m a n s e l! Całe wasze bogactwo nie warte ubóstwa cy-gana! cała wasza pomyślność mniej warta od naszej niedoli! Na każdym kroku życia waszego ciężą pęta, których my nie znamy. Kiedy was więzi dom, przyku-

¹⁾ Chrześcianie.

²⁾ Cyganie.

³⁾ Wóz.

wa do miejsca nałóg, lub obowiązek, ścieśniają jakieś tam prawa, albo gnębi przemoc możniejszego, u nas, wola bez granic, swoboda jak świat szeroka i zdrowie czerstwe i myśl spokojna i piosnka wesoła przy tańcu. Gdyby ptaki wędrowne przenosimy się z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, kędy chęć pociągnie i oczy poniosą; i kędy się sercu podoba (bo mamy i serce chociaż go nie znacie) a dobry M r o d e n - o r o ukaże nam gdzie ognisko rozniecić, i k a k a b j e ¹⁾ zawiesić; roz-toczy namiot nieba nad snem naszym spokojnym; łożę z traw miękkich zaściele. Słusznie tedy powiedziałam, żeśmy panami świata, bo wszędzie kędybyśmy nie stanęli nogą, jesteśmy u siebie, jesteśmy w domu; a choć odtrąceni i znieważeni przez g a d z i ó w (którzy nas o tyle nienawidzą, o ile się boją) trwamy i trwać będzie-my, jak wszystko co silne, rozumne, swobodne!

— Hola! hola! czarownico! — wykrzyknął Zbrożek śmiejąc się dobrodusznie, i podkręcając wąsa — a podłóżno halmę pod swój język, jeżeli podobna, bo mi aż w uszach dudni od tego coś napaplała i z czego tyle tylko zrozumieć potrafiłem, że mając siebie ni mniej, ni więcej jak za panów świata, możecie *eo ipso* rozporządzać bez ceremonji cudzą własnością według upodobania, czyli, mówiąc prościej, kraść co się nawinie, zacząwszy od kury do krowy albo konia, od szeląga do talaru, od kija w płocie do wiadra, bedni albo beczki— co się wam dotąd pomyślnie udawało. Nie zawsze jednak tak będzie! Do czasu, jak to powiadają, dzban wodę nosi. Natrafi kiedyś kosa na kamień!..

— Czy wam nie wstyd D a d o s, takie rzeczy mówić? — przerwała Alike z wyrazem ostrej ironii,

¹⁾ Kociołek.

którą usiłowała złagodzić pozorem dobroduszości. Czy wam nie wstyd? Myślałam żeście człowiek sprawiedliwy, a wy...

— Cóż? możem was spotwarzył niesłusznie? — Możem skłamał? — he? — możem skłamał do stu Belzebubów! — zawołał stary wojak podboczywszy się się butnie. — Pamiętają ludzie ostatni wasz pobyt w Maciejowie, temu dwa lata. — Djabeł was przyniósł nie wiedzieć zkąd; djabeł was odniósł nie wiedzieć dokąd. — I gdyby to was jednych tylko — dobrze by zrobił. — Ale nie! — Pokazało się, że i koń dereszowaty Hryćka Perełaza i krowa Motry Hanczarychy, i kury, gęsi, indyki połowy osady, nie mówiąc już o kołach, luszniach, łopatach etc. etc. etc. przepadły razem z wami, jakby je wichur porwał. — Czyż to sprawa była? — Czyja? — Nie wasza może? — he? —

— Może nasza, może nie nasza — przemówiła po chwili cyganka, sadowiąc się na podłodze u nóg Zbrożka. — Mało co ludzie gadają, D a d o s. — Zrobić słonia z muchy językiem, to u nich rzecz zwyczajna. — Gdyby wreszcie i było w tem cokolwiek prawdy, to i cóż? — Alboście wy lepsi sami? — Nie wielka to jeszcze obraza Boga, ani krzywda ludziom, kiedy głodny cygan jakąś kurkę ukradnie, albo nagi, jaką szmatę, dla siebie, czy żony, czy dziecka. — Wszak mu nie dacie dobrowolnie ani kurki, ani szmaty! Nie zlitujecie się nad jego sieroctwem, i nędzą! — Musi więc nieborak radzić jakoś sobie, i radzi jak umie. — Wy gazdowie daleko gorzej robicie, pomimo to że nic was do tego nie zmusza. — My wszystko wiemy, i wi-
dzimy. — Kiedy u nas panuje zgoda, i braterstwo, jeden za drugiego stać górą gotowy, wy zajadacie się

jak zgłodniałe wilki, i knujecie podstępny, i zdrady. — U was sąsiad z sąsiadem w zatargu, to o psa, to o knieję, to o miedzę — żyje jak pies z kotem, i byle okazja za łby się wodzi. — Sługa wrogiem panu, i okrada go. — Sędzia czapkuje przed bogaczem, i frymarczy prawem, w miarę większej lub mniejszej cyfry łapowego. — Przyjaciół kopie dołki pod przyjacielem; a możny pastwi się nad słabszym. — Ani prawa boskie, ani ludzkie nie bronią u was nikogo od gwałtów przemocy. — Zajazd z rabunkiem i mordem to u was rzecz pospolita. — Przyszła fantazja magnatowi obdrzeć albo pokrzywdzić? Obdarł, i pokrzywdził! — A kiedy biedny cygan, ukradnie kurkę żeby nie umrzeć z głodu... to taki krzyk podnosicie jakby się wam niebo waliło na głowę ze wszystkimi chmurami, gwiazdami, i słońcami swojemi. — Alboż nie tak? — Powiedzcie sami D a d o s. — Przecież i ten cygan tak przez was wzgardzony, i prześladowany, bywa nieraz użytecznym ludziom. — On i konia wyleczy i krowę. — On i wóz okuje, szkape podkuje chłopkowi. — A kiedy kogo N a s u o - o r o ¹⁾ nawiedzi, on poradzi. — A kiedy się komu zechce dowiedzieć jaki go los czeka, cygan mu powróży niemylnie, bo świat przyszłości nie ma dlań nic skrytego, nie tak jak dla was niby rozumnych, co przeszłości waszej nie znacie, a terażniejszości, która wam przed nosem przebiega, pojąć nawet dokładnie nie umiecie.

To rzekłszy spojrziała wyraziście na Bohdanka, który siedział przy Zbrożku zamysłony. — W tem spojrzeniu jej było coś nakszałt żywego społecznia, sercowej litości, których magnetycznym promieniem zbu-

¹⁾ Choreba.

dzony młody kozak, otrząsł się nagle z głębokiej zadumy swojej, i zawołał powstając z ławy:

— Koły tak — to poworoży mini.

— A tobie to na licho Bohdanku? — rzekł z naciskiem, i z widocznym nieukontentowaniem stary wojak. — Proroctwo cygańskie, to bratku, nieczysta sprawa; a kto się jej oddaje płaci haracz djabłu!

— Nieprawdę powiedziałeś Dadas! — przerwała Alika, nie zmieniając ani wyrazu lica, ani postawy. — Bynk nie naucza przyszłości. — On tylko terazniejszość psuje, — i rozum człeka w obłęd wprowadza. — Nikt jeszcze nie odgadł nic przez Bynka, bo on kłamstwem, a jeden tylko Mroden-oro prawdą niemylną. — Są pomiędzy nami tacy których Mroden-oro jasnowidzeniem obdarza, i czyni zdolnymi ze znaków widomych, rzeczy niewidome odgadnąć. — Nie bój się zatem — Dadas, mojej wróżby dla tego młodego gadzia. — Może być ona nieprzyjemną i smutną (choć nie chciałabym żeby taką była) lecz mogę zaręczyć ci, że siła która ją wywołała, nie jest bynajmniej ani złą siłą, ani szkodliwą, a bywa nieraz i dobroczynną. — Młody gadziu! — Nie bój się Aliki. — Ona przychylną tobie. — Podaj dłoń twoją. — Niech obaczę!

Niezważając na opór Zbrozka, Bohdanko przeciągnął rękę, i cyganka pochwyciła ją gorączkowie. — Podczas gdy stary wojak gderał, kłął, i pluł na wszystkie strony, złorzecząc cygance ile wlaźło, Alika wpatrywała się bacznie w linję dłoni Bohdanka, i coraz grubszą mgłą ćmiło się jej czoło, przedtem pogodne. — Widocznem było, że się całkiem oddała swemu bada-

niu pod wpływem siły tajemnej co duchem jej w tej chwili władnęła.

Wszystkie fibry jej twarzy drgały wzruszeniem, surowej, gniewnej natury. Żrenice płonęły zapalem pełnym złowrogiego ognia. — Jak Pytja delficka na swym wieszczym trójnogu, drżała całym ciałem, i włosy jej zdawały się jeżyć od przerażenia i zgrozy. — Nagle odrzuciła dłoń kozaka gwałtownie, skoczyła na nogi, i patrząc wyiskrzonem okiem na Zbrozka przemówiła doń urywanemi słowy:

— O! gorsi jesteście od nas, zaprawdę! — gorsi daleko! — Wasze sumienie, nicość! — Wasza mądrość kłamstwem i obrazą Boga! — A bratniej miłości, jaka ludzi łączyć powinna, nie było, i niema pomiędzy wami! — Mówicie, że cygan bynka ciawa, ¹⁾ podły ciurachan, ²⁾ gorszy od gweki, ³⁾ i szukeli, ⁴⁾ a czemu sami jesteście? czemu? — Oto spełnia się w tej chwili zbrodnia bratobójcza! — Gdyby sę drapieżny pastwił się gwałt bezwstydnym nad niemocą — przywara nad niewinnością a jęku jej wasze serca nie słyszą — i żaden z was nie spieszy ku niej z ratunkiem! — Ból, zgrzyt, i rozpacz wyrwywają się z głębi pieczary podziemnej, gdzie wieczna rat-oro ⁵⁾ panuje, i krążą gdyby drapieżnych sępów stado nad głową tego młodego gadzia, kracząc smutkiem, i żałobą! — Linję życia jego przebiły głębokie brzozy cierpienia — i będzie cierpieć! będzie! choć nie zasłużył na to!

— Bodajby ci głowę wykręciło przekłeta czarownico! — Bodajby ci usechł ozor, jako liść jesienny,

¹⁾ Syn djabli. — ²⁾ Złodziej. — ³⁾ Wąż. — ⁴⁾ Pies. —

⁵⁾ Noc.

i zamarł głos w piersi, razem z tobą, pierworodną córką Belzebuba, co z nim pospołu harcujesz na ożogu na sabaty Łysej-Góry! — wrzasnął nieposiadając się od gnie u stary wojak; i porwawszy się z sofki, chwycił cygankę za rękę żeby ją z komnaty wytrącić; lecz ona, jakby przykuta do miejsca pozostała nieruchomą, powtarzając ponurym głosem Bohdanowi:

— Pociś tu jeszcze? — Nie tu miejsce twoje! Nie tu! — Twoje miejsce tam, gdzie Mutes-oro¹⁾ czarnemi powiewa skrzydły, i gdzie siwy orzeł któregoś orlątkiem nęka się w pętach, a w mękach umiera!

Rzekła, i opuściwszy surowe oblicze, zesza z miejsca, postąpiła ku drzwiom, i oddaliła się.

— Bodajbyś przepadła wrono złowieszczą! — krzyknął w ślad za nią Zbrożek, gniewny, i przerażony.

— Nie łajcie jej b a t'ku! — przemówił Bohdanko smutnie. — Nie łajcie! — Słowa jej nie były jasne — to prawda — i wszystkiego co wynurzały nie pojąłem dokładnie — a jednak, pojąłem z nich tyle, że mi grozi jakieś hore — i że wielkiej boleści doświadczę.

— At, bredzisz Bohdanku, jak na mękach!

— Oj! b a t'ku, nie bredzę ja! nie bredzę! — Siedziało już u mnie w duszy to, co wypowiedziała cyganka. — Siedziało, od czasu, kiedy ojciec do Zawieprzyc pojechał. — Czy go nie opadli zbójce? — Czy nie zachorował? — Czy nie umarł? — Niema dla mnie chwili spokojnej. — Ciągłe na myśli jakieś nie-szczęście! jakaś straszliwa przygoda! — Dalej wytrzymać nie mogę. — Matka i siostry pytają: „Co z tobą

¹⁾ Śmierć.

Bohdanku?“ — Ja milczę — bo cóżbym im odpowiedział? — Co?

Dzień skłaniał się ku zachodowi, i cicho, pogodnie było w naturze. — Bohdanko wybiegł z dworku Zbrożka, który go daremnie zatrzymać usiłował. — Wybiegł, i podążył do zamku. — Wiedział on dobrze, że ojca tam nie było, ba i być nie mogło tak prędko z Zawieprzyc; ale go pędziła w tę stronę nadzieja, że się coś dowie o nim od ludzi zamkowych, pomiędzy którymi być mogli i świeżo przybyli rozsylni kozacy z dóbr zawieprzyckich.

Szedł więc krokiem spiesznym, ale nie drogą, a polem bujną trawą poroślem, kwieciami ubarwionem. Bliżej mu tedy było, i samotniej, a tego właśnie pragnęły jego niecierpliwość i niepokój sercowy. — A do tego, on lubił to pole, szeroko i gładko rozwinięte w przestrzeni; stepy rodzinnej Ukrainy napominające. Lubił ów kurhan zielony, co tam sterczał wysoko nad strumykiem, i na którym, nieraz bywało dumał z ojcem pospołu, i piosnkę ukraińską zawodził.

I teraz, szczyt owego kurhana nie był samotnym. Postać jakaś fantastyczna, stała na nim w blaskach zachodzącego słońca. Gdy się przybliżył poznał cygankę. Oblicze jej było zwrócone ku stronie zamku. Oczy, zdawały się przebijać grubą masę jego potężnych murów, śledząc tajemnicy ich wnętrza. Wiatr stepowy igrał z końcami jej czerwonej płachty, i rozwiewał naksztalt krwawych skrzydeł rwących się do lotu. Wzdrygnął się młody kozak zabobonnym strachem i chcąc obejść kurhan zdaleka, skreślił na tor odleglejszy i ruszył pospiesznie. Spiew tęskny, podobny do wołania boleści, przebiegł w tej chwili po stepie. Spojrzał Bohdanko

w stronę z kądem się słyszeć dawał i ujrzał cygankę, jak z wyciągniętą ręką ku zamkowi, owiana szkarłatnymi blaskami zachodu, stała nieruchoma, złowieszczym posągiem przekleństwa i zgrozy. Trwogą przesadną zamąciło się łono kozaka i umysł zawichrzył. Cyganka wydała się mu, nie prostą kobietą, lecz istotą wyższą, władnącą kluczem najskrytszych tajemnic duchowego świata. Żywo zabrzmiały w nim dźwięki jej proroczych słów — groźnie powtórzyła się przerażająca treść onych. Coś, jakby stanowcza wiara w jej nieomyślność, jakby nagłe uznanie jej wszechwiedzy w zakresie rzeczy nadprzyrodzonych, zachwiała dotychczasową pogodą jego rozsądku, i kornej uległości wyrokom nieba. Nie wątpił już, nie wątpił, że się coś ojcu złego przytrafiło. Podniecony rozpaczliwym wrażeniem, spojrzał trwożnie na postać nieruchomą cyganki, i pchnął się strzałą ku zamkowi. Pierwszy którego napotkał u zamkowej bramy, był to kozak rozsylny zawieprzyckiej ekonomii, Hnat Hohol, kum Sawy i druh od serca. Pytanie Bohdanka o Sawie, zdziwiło Hnatę.

— Nie ma go i nie było u nas w Zawieprzycach — odpowiedział. Jadę wprost ztamtąd.

— Być nie może! — Wykrzyknął przerażony Bohdanko. Gdzieżby on był, jeżeli go tam nie ma? Pożartowaliście sobie Hnate? — Nieprawda?

— Klęę się na cześć kozacką i na moją starą družbę, że prawdę powiedziałem. Nie ma, i nie było twego ojca w Zawieprzycach!

— To gdzież on? gdzież on? — zawołał boleśnie młody kozak, załamując ręce.

Zamyślił się Hnat pokręcając szpakowatego wąsa — poczem rzekł:

— W tem tkwi coś tajemniczego. Trapić się wszakże nie masz powodu. Może pan starosta nie chciał żeby wiadano dokąd Sawa pojechał i kazał rozgłosić naumyślnie że do Zawieprzyc.

— Mogło by to być Hnate — nie przeczę — bo mało co panom do głowy przychodzi. A jednak, coś mówi we mnie, że tak nie jest! Coś mówi we mnie, że hore, ciężkoje hore, wisi nademną! Nie od dziś noszę to przecucie w sobie. Rosło ono, i krzepło we mnie z każdą chwilą. Stało się w końcu przekonaniem, które mię dręczy i pokoju pozbawia! Muszę więc dojść koniecznie prawdy! muszę!

— Jakim sposobem?

— Pójdę do marszałka dworu, chociaż byłem już u niego nadaremnie.

— Wątpię Bohdanku, żeby się ci i teraz lepiej powiedło.

— To pójdę do samego pana starosty...

— Niedopuszczą.

— Niedopuszczą mówicie? — Kto nie dopuści?

— Fagasy pańskie.

— Niech spróbują! — zawołał z jękiem wściekłości młody kozak zaciskając pięści. Tłum rozepnę, drzwi wywalę, i wejść i zapytam: Panie! coś zrobił z ojcem moim? Coś zrobił? A jeżeli nie odpowie — jeżeli boleści mojej nie uszanuje, nie zaspokoi, to... pomyluj Boże!.. nie odpowiadam za siebie...

— Ne dobre Bohdanku! ne dobre! — przewał surowo Hnat Hohol. Treba rozum maty — a

ty gadasz jakbyś nie miał ani krzty rozumu! Co pomoże twoja gwałtowność przeciw sile magnata i takiego, jeszcze jak nasz pan starosta? Krzyknij na ludzi — wpadną, pochwycą, obalą, obiją i wytrącają za drzwi! Ot i sprawa skończona! Idź do marszałka dworu, idź do samego pana starosty, skoro wypadnie potrzeba; ale nie sroż się, nie staw butnie wobec nich, a proś kornie, rzewnie, żeby troskę twoją uspokoił, żeby ci powiedział, nie dokąd ojca twego wysłano (bo tego może odkryć nie zechcą) lecz czy ojciec twój zdrow, i kiedy powróci? To będzie rozumnie Bohdanku i skutecznie. Powir mini!

Gdy się to działo na podwórku zamkowym pod zasłoną gęstniejących stopniowo mroków wieczora, w zamku odbywał pan starosta tajną kon'erencję z marszałkiem dworu swego Iwońskim. Przedmiotem onej był nie kto inny jeno Sawa, ów stoik obowiązku, bohater poświęcenia, męczennik honoru i cnoty. Nie mógł przewidzieć starosta że na taki hart ducha natrafi, że o taką skalę dążenia swej chciwości roztrzaska. Gdyby przewidział, nie ma wątpliwości, żeby się powściągnął, opamiętał i sumienia takim straszliwym wyrzutem nie obciążył. Lecz, stało się już nieodwołalnie, stało się niestety! co się stać nie powinno było! Wcielona w czyn gwałtu i sromoty myśl zdrożna, strąciła starostę z dawnego piedestału godności i wewnętrznego pokoju; a serce jego oddała na pastwę Eumenidom wyrzutów i żalu. Karcił sam siebie, potępiał, dręczył za winę jednej chwili, jednej fatalnej chwili, co gdyby wąż Laokoona ścisnęła stalowymi obręczami jego wolę, broniąc pozostać i nadal tem, czem był przedtem, czem nigdy być nie przestawał: dbałym o nieskazitelność imienia jakie mu znakomici antenaci przekazali. Olśnęły go skarby; roz-

drażnił opór sługi; obłąkała buta magnacka, nieobyta z oporem, i potęgująca się w miarę przeszkód, co bieg jej samowoli tamowały. Niegorszy i nie lepszy od ogółu oligarchów swego czasu, starosta przewinił skutkiem tejże samej zasadniczej przywary, która i tamtych do mnogich przewinień doprowadzała. A kiedy się opamiętał i spostrzegł że zboczył z należytego toru, było już za późno! Gwałt był dopełniony! niesprawiedliwość wolała o pomstę do Boga!

— Co waszeć powie? — pytał swego marszałka, gdy się w gabinecie ukazał.

— Źle się dzieje J. W. panie! — odpowiedział zagabnięty z przerażeniem w głosie i na twarzy.

— Cóż? nie chciał wyznać? — Skamieniał w uporze? Trwa w nieposłuszeństwie?

— Nieinaczej J. W. panie.

— Cóż on mówił?

— Zawsze to samo. Że go wiąże przysięga. Że żadna siła nie potrafiłaby zmusić go do postąpienia wbrew owej. Że wolałby raczej ponieść śmierć męczeńską, niżeli zdradzić tajemnicę, której dochowania zbawieniem swej duszy zaprzysiął. Tak on mówił — ale teraz...

— Co teraz?

— Ale teraz, nic już nie mówi, bo osłabł, i źle mu jakoś z oczu patrzy... jakby umierającemu...

— Jak to? — Zachorował? — a waszeć nie pospieszyłeś donieść mi o tem!

— Stało się to przed chwilą J. W. panie...

— Co się stało ?

— Opadł zupełnie na siłach skutkiem ponowionej chłosty z rozkazu J. W. pana.

— Z mego rozkazu?! — wykrzyknął starosta, piniąc się od gniewu, i grożąc swemu spółnikowi ścisniętymi pięściami. Z mego rozkazu? — Nędzniku! — A kiedyż to rozkazałem tobie bić tego człowieka? Paśtwić się nad nim w sposób tak okrutny? Ośmiel się powtórzyć żem ci to rozkazał! Ciekawym, czy się ośmielisz!..

— Bez wahania bo to prawda, i wątpię żebyś pan temu na serjo zaprzeczył — rzekł Iwoński, dotknięty do żywego tem nagłym odstępstwem starosty, którego przykre konsekwencje dla siebie przewidywał. Czyliż pan i temu zaprzeczysz, że odradzałem użycie środków gwałtownych względnie Sawy? że wystawiałem fatalne następstwa ztąd wyniknąć mogące? Aleś pan był głuchym na moje uwagi! nieczułym na moje prośby! Rozkazałeś stanowczo schwytać Sawę podstępnie, wtrącić do ciemnicy i smagać jak złoczyńcę jakiego, dopóki tajemnicy o skarbie ukrytym nie wyjawi? A co będzie, jeżeli ja zaklnę pana, na honor imienia twego, na zbawienie duszy, na Boga, żebyś potwierdził prawdę słów moich?.. Czy i wtedy nawet zadasz mi kłamstwo? Czy i wtedy zwalisz na mnie całe straszliwe brzemie zbrodni, której ty panie nie kt, inny byłeś głównym promotorem, a której ja, sługa twój, byłem li tylko podrzędnym, niemal biernym narzędziem? Nie żyzmaj się tedy panie, tak gniewnie, nie unosić niewczesnem oburzeniem! Na nic to nie posłuży! na nic! Nie ja biłem i katowałem Sawę, lecz twoja wola! Nie ja morzyłem go głodem, nękałem pragnieniem, dręczyłem urąganiem i zniewagą, lecz duch zawzięty i nielitościwy, twój duch,

którym natchnąłeś mnie i obłąkałeś jakby szatańską siłą, co gwałci sumienie i duszę zatracą! Tyś zatem głównym winowajcą, nie ja (choć jaż mię nazwałeś nędznikiem!) bo nie topor winien, lecz ręka która nim władnie! Nie grot, lecz ramię które cięciwę łuku naciąga! Umywam ręce od wszystkiego. Niechaj krew nie winna spadnie na ciebie!

Starosta stał jak skamieniały. — Spółnictwo zbrodni podniosło sługę do miary jego pana, zrównało ich stanowisko, i do jednego przykuło pęgięrza. — Brutalstwo sługi, wyzwolonego z karbów dotychczasowej uległości, wywołałoby niezawodnie ze strony obrażonego pana groźną demonstrację, gdyby nie żywe poczucie własnej winy jakie się w tej chwili głośnie w sumieniu starosty odzywało. — „Tak — jam „winowajcą!“ — myślał w sobie — „On powiedział prawdę! — Straszliwą karę ponoszę; lecz zasłużyłem na nią!“ — Poczem, rzekł z wyrazem surowego pokoju:

— Posłuchaj, mości Iwoński. — Chociaż pozwoliłeś sobie nadto obraźliwej licencji, względnie mnie, pana swego, którego chlebem żyłeś, i złąską kieszeń swoją zaopatrywałeś, przebaczam tym razem waszmości to przewinienie. — Przyjdzie czas do obrachunku. — Teraz nie pora. — Powiedzisz, że Sawa opadł na siłach — że chory. — Spieszmy doń z ratunkiem! — Spieszmy! — Może Bóg dozwoli naprawić złe, jakie gośmy się dopuścili.

I poszli.

Ciemno było, i duszno w podsieniu. — Iwoński poprzedził starostę z latarką. — Zgrzytnęły drzwi na rdzawych osiach, i mdłym światłem rozwidniło się ponure wnętrze więzienia. — Drzący i blady, przystą-

pił nieśmiało starosta, do barłogu, na którym, w nie-mej bezwładności, śmierć napominającej, leżał Sawa, z piętnem cierpienia i choroby na twarzy. — Widok tego człowieka, niedawno jeszcze tak pełnego życia i ciała, do tyła podziałął na starostę, że omal nie runął u nóg swojej ofiary. — Płacz jego, dławiony usilnością woli, wybuchnął w końcu głośnym, konwulsyjnym łkaniem.

— Sawo! — wołał on ukląkwszy przy barłogu, i cisnąć dłoń chłodną zemdlonego starca — Sawo! — spójrz i usłysz! — a jeżeli możesz, nie przeklinaj! jeżeliś wspaniałomyślny.... odpuść mi winę! — O! Boże! Cóż się z nim stało? — Czy umierający? Czy umarły?...

Iwoński, który przez cały ten czas skrywał się w cieniu najgłębszego załomu sklepienia, wstydem i zgrozą przejęty, porwał próżny dzbanek, co się tam walał w kącie, wybiegł pośpiesznie, przyniósł świeżej wody, i prysnął nią w twarz zemdlonego. — Sawa otworzył oczy, ale mdłe, gasnące, bez blasku. — Patrzył a nie widział; a jeżeli i widział, to niepojmował co widział, bierny, bezmyślny, nieruchomy.

— Sawo! — powtórzył starosta, rzewnie i błagalnie, jakby własne życie zależało od życia nieszczęsnego starca.

Chory zadrzał, rozwarł szeroko powieki, i cień myśli przelotnej przemknął po jego czole, i poruszyły się bezgłośnie usta.

— On słyszy! — pojmuje! — przychodzi do siebie! — rzekł uradowany starosta; i podniecony nadzieją, wybiegł skwapliwie z podziemia, a gdy powrócił, niósł w ręku kordjał jakiś zbawienny, którego

wpuścił kropel kilka do ust Sawy. — I cudownie zaczęło się ożywiać stopniowo jego poźółkłe, spazmem cierpienia rozstrojone oblicze, którego rysy łagodziły się pomału, odzyskując normalną harmonję pojęcia i uczucia, jakby u wskrzeszonego z martwych człowieka. Powtórzona doza kordjału dokonała cudu. — Przejrzał Sawa żrenicą, i duchem, lecz pierwsze wrażenie jakiego doznał, było mu bolesne i wstrętne. — Znowu zmrużył oczy, żeby nie widzieć sprawcy swej niedoli, którego przytomność nic dobrego nie wróżyła. — Uspokoiły go jednak słowa rzewne starosty, pełne żalu i litośnego współczucia. — Ujął go widok boleści, jaką harpja sumienia na jego licach wypiętnowała. — Szlachetność natury kozaka wzięła górę nad poduszczeniami pokrzywdzonej godności, i doznanego cierpienia. Skupił się myślą; cały zasób swej siły przywołał na usta, i przemówił urywanym głosem:

— Spasy bih wam bat'ku, żeście przyszli! — Ja chory — bardzo chory — okrutnie postąpiłeś ze mną. Odebrałeś zdrowie — skróciłeś życie. — A żona moja! A dzieci! — Biedna wdowa! biedne sieroty! — Cóż poczną bezemnie!

— Ty będziesz żyć Sawo! — zawołał starosta z boleśnem wzruszeniem, cisnąć dłonie starego kozaka w swoich. — Będziesz żyć, żeby widzieć żal mój, i pokutę! — Zły duch opętał mię, i natchnął złem uczuciem. — Zli ludzie dopomogli niedobremu dziełu. — I stało się to, czego nigdy odżałować nie zdołam — przebaczyć sobie nie potrafię!...

— Ja wam zato przebaczam bat'ku! — przemówił Sawa ze wzruszeniem, i donośniej niż przedtem. — Przebaczam wo imia Chrysta, Spasa naszego

i żadnej w sercu niemam do was złości. — U was wielkich panów, przysięga mało znaczy, boście o Bogu zapomnieli, goniąc za celami dumy i władzy. — Nie spodziewaliście się tedy, i wy, żeby przysięga prostego kozaka była rzeczą niezłomną i świętą; i żeby mu nie było lżej ponieść najśrodszą mękę, niżeli ją naruszyć. — Ztąd i winą cała wasza względem mnie. — Pomyśleliście sobie: ot, jak go nastraszę, to wszystko wyśpiewa; jak mu wsypię jaką setkę łóz, to z bólu przeniewierzy się niezawodnie. — Nie znaliście Sawy, bat'ku! nie znaliście! — Biednemu człowiekowi źle tu, na ziemi, dla tego to i dba o niebo, i nie chce zatracać duszy swojej, jak to wy ją nieraz, wielcy panowie, tracicie, mniej dbali o wieczność, pośród rozkoszy i blasków doczesności. — Cóż wam bat'ku przybyło z tego, żeście mię pozbawili swobody, oderwali od żony i dzieci, męczyli i katowali? — Obarczyliście tylko sumienie wasze nadaremnie. — Obarczyliście na zawsze, bo chociaż, czując śmierć bliską, i chcąc pojednać się z Bogiem, przebaczyłem wam z całej duszy, i żadnej goryczy w niej do was nie zachowałem, wy sami bat'ku nie przebaczyście sobie nigdy, i krwawa mara zameczzonego wiernego sługi nie przestanie ścigać was na wszystkich drogach życia, w złych i dobrych kolejach waszego zawodu.

Po tych słowach zamilkł starzec, i powieki opuścił, jakby zwalczony znużeniem i chorobą. — Światło latarki, zaledwie zdolne pokonać grube mroki tego ponurego sklepu, lekkim tylko padło półcieniem na twarz jego wyrazistą, sędziwą i bolejącą, na którą śmierć zdawała się już opuszczać swoją zasłonę wieczności. — Była to chwila przesilenia dla starosty; chwila jego walki z sobą, i zwycięstwa nad sobą. — Sumienie

przemogło w nim obawę rozgłosu, wstydu, i nagany. — Serce wzniosło się nad wyżyny miłości własnej, i czyn szlachetny został dokonany.

— Mniejsza o rozgłos hańbiący mię! — mówił sam do siebie starosta. — Niech wiedzą żem źle postąpił. — Byłoby niecniej gdybym dał umrzeć temu człowiekowi, bez ratunku, dla oszczędzenia samego siebie!

(Do Iwońskiego):

— Biegnij waszeć po księdza proboszcza, czem prędzej. — On wielce świadomy w sztuce lekarskiej. — Opowiedz mu wszystko — rozumiesz aś? — wszystko! — Zrozumie stan chorego i będzie wiedział jaką mu nieść ma pomoc. — Tylko żywo! — Leć waszeć co tchu!

A gdy Iwoński zdumiony i razem przerażony tym rozkazem (którego następstwem nie mogło być nic innego, jeno zdemaskowanie przed światem zbrodniczego zamachu na Sawę) ociągał się z odejściem, starosta pchnął go gwałtownie ku drzwiom w zapędzie niecierpliwości i powiedział:

— Kiedy się umiało nagrzeszyć, trzeba umieć i odpokutować. — Biegnij waś! — I żebyś mi nóg nie szczędził! — każda minuta stracona spadnie górą na twoje sumienie!

Kiedy się to działo, ciemno już było na ziemi. — Księżyc pochłonęły chmury, i gdzieś niegdzie tylko jakaś gwiazdeczka mrugnęła. — Od pola wiatr ciągnął urywanym prądem, potęgując się stopniowo, jakby sił swoich próbował przed burzą. — Przynosił on z sobą zdobycz gwarów przestrzeni, i głośniejszą nad inne brzmienia, nótę tęsknej cygańskiej pieśni, dzikiej i sta-

nowczej — Chorągiewki zamkowe skrzypiały na basztach około swych rdzawych osi. — Sęp łopotał skrzydły w przelocie i puszczyki wabiły się złowrogo. — Żałobny był akord natury; żałobne jej było oblicze. — Wszystkie jej tła i dźwięki zdawały się nastrojać do smutnego dramatu odgrywanego się w tej chwili, w czeluściach zamkowego podziemia. — Litowała się natura nad cierpieniem niewinnego człowieka. — Groziła prześladowcom jego. — Zacny proboszcz, człek obyty z życiem, bo długim szeregiem lat wypróbowany, pospieszył natychmiast za Iwońskim. — Wziął z sobą kordjały leczebne, jakie mu się wydały najwłaściwsiemi; a chociaż Sawa był wyznawcą wschodniego kościoła szedł doń z uczuciem ewangelicznej miłości i pobłażania; szedł, wykonawcą Chrystusowego mandatu, jako brat do brata, bliźni do bliźniego. — A smutno mu było na duszy! smutno nad wyraz! — Pomimo boleśnego przeświadczenia jakie miał o ułomności ludzkiej natury, nie był on jeszcze oswojonym z widokiem zbrodni, a domyślając się z wyznań Iwońskiego, pełnych restrykcji i wykrętów, że mu przyjdzie stanąć oko w oko ze zbrodnią nagą, ohydą, przerażającą, doświadczając w sobie nieopisanego zamętu. — Lecz silną opoką wiara w słowo Boże! w świętość Bożego mandatu! — Krzepiące źródła spływają z niej na ducha, któremu żadna ofiara nie będzie straszna; ani stos, ani rusztowanie mocy nie odejmą. — W takim to usposobieniu stanął czcigodny kapłan u barłogu umierającego Sawy. Starosta stał przy nim z opuszczonem obliczem, ze łzawą powieką. — Dreszcz wstydu i żalu potrząsł nim gdy się doń kapłan przybliżył. — Usta słów odmówiły. — Milczał, lecz niemym aktem skruchy, zgławszy kolano przed majestatem sędziego sługi ołtarza, i całując jego dłoń błogosławiącą, wyraził starosta daleko

więcej, niżeliby słowa wyrazić potrafił; wyraził całą boleść, pokutę i nadzieję swej duszy, samej sobie wstrętnej, samą siebie potępiającej. — I litością niezmierną uderzyło serce kapłana; a usta jego drżące od świętobliwego natchnienia, brzmieć hasłem Boskiego miłosierdzia nawykłe, wyrzekły wówczas nad korzącym się grzesznikiem:

— Kto się korzy przed Panem w pokucie, temu przebaczenie Pańskie! — *Ora! — spera!*

I błogo uderzyło serce starosty niebieską radością nadziei; i kamień stoczył się z duszy jego; i zawołał:

— Srodze przewiniłem o Panie! Aleś Ty mi miłosiernym — nie odrącasz pokutującego grzesznika!

— *A men!* — przemówił sędziwy kapłan głosem rozrzuwionym i postąpił ku choremu.

Sawa leżał bezgłośny i nieruchomy. — Oczy miał zamknięte. — Ciężkim oddechem poruszała się pierś jego. — Czy dumał? Czy się modlił? Czy zapadł w omdlenie? — Nagle drgnęły usta słowem niewyraźnem. — Odkryła się omglona źrenica. — Kapłan pospieszył z rzeźwiącym kordjałem. — Potarł ręce, skronie. — Przemówił sercowem słowem. — Zbudził się Sawa. — Potoczył okiem w około. — Spoczął długiem, zdziwionem spojrzeniem na poważnem obliczu kapłana. Wyrzekł nakoniec głosem urywanym i słabym:

— To wy tutaj otcze? — To wy? Czegoście przyszli? Wszak ja nie wasz...

— Ty nasz, pocciwy Sawo! — zawołał z rozrzuwieniem sługa Boży. Ty nasz! boś cierpiący i nie-szczęśliwy! — Nie przychodzę do ciebie w imieniu ludz-

kich przesądów i uprzedzeń, lecz w imieniu Chrystusa wspólnego ojca naszego, który miłować wszystkich zarówny, jako braci rozkazał. Nie nastreczam się tobie Sawo z duchowną usługą, którejbyś może nie przyjął odepnie, kapłana obcego obrządku. Chciałbym tylko żebyś widział we mnie człowieka pragnącego serdecznie przynieść ulgę ciału twemu, osłodę twej duszy znękaney, zrażonej, bodaj czy nie rozpaczającej! Chciałbym żebyś widział we mnie brata w Chrystusie! bośmy przecież braćmi Sawo! dziećmi jednego miłosiernego ojca, stwórcy ziemi i nieba!

— Spasy Bih tobi otcze! za dobrą chęć i za dobre słowo! — przemówił chory z rzewnem namaszczeniem. — Chcesz uzdrowić moje ciało! — Za późno już otcze! Za późno! I lata i hore skruszyły je! Mało w niem, mało życia pozostało! Co do mojej duszy, o! wir mini otcze! ona spokojna jak dziecko, jasna jak niebo Ukrainy! Nie upada, nie złorzeczy, nie rozpacza! Wierzy ślepo, gorąco — i ta wiara jej siłą, ta wiara jej nadzieją i osłodą! Chciałbym ją otcze (i pojmiesz tę chęć moją!) chciałbym przed śmiercią obaczyć moją Ukrainę! obaczyć, choćby na chwilę! — Widok rodzinnej ziemi, taż to już prawie początek zbawienia! Wstęp do błogości raju! Lżej byłoby umierać, i łatwiej by się jakoś niebo rodzinne dla mojej duszy otworzyło. Ale gdy to być nie może, niechbym przynajmniej spojrział przed zgonem w tę stronę gdzie Bóg Ukrainę pomieścił! Weźcie mnie ztąd — Wynieście z tej ciemnej pieczary — wynieście czempredzej, błagam! Postawcie w takim miejscu zkąd mógłbym polecieć okiem i dumą, w przestworza stepów moich zielonych; pożegnać ich wonne bałki, słodko szemrzące bajraki, horodyszczna, mogiły, kurhany! Możeby ujrzał brata-

orla lecącego ztamtąd w tę stronę. Możeby wiatr Ukrainy owionął mię świeżem, balsamicznem tchnieniem naszych pól i stepów kwiecistych! a było by to ulgą ciału i duszy! radością nad wyrazy!

Tu zamilkł chory, wycieńczony usilnością i wzruszeniem; lecz wyraz twarzy i oczu był jakby przedłużeniem urwanej treści słowa; dopełnieniem niedokończonego błagania. Wtem posłyszano bieg spieszny po schodach wiodących do podziemia; bieg szalony, wyuzdany, jakby kogoś gnanego burzą miłości, lub gniewu, i w tejsze chwili, pchnięte potężnym ciosem rozwarły się ciężkie podwoje i zadyszany, groźny, prawie bezprzytomny, wpadł z rykiem zgrozy i boleści Bohdanko, wołając całym żalem swej ognistej duszy:

— Bat'ku mij! ridnyj mij! — hde ty?

Nieobyty z gęstym cieniem, od którego się nawet światło latarki mroczyło, nie mógł on objąć od razu wszystkich szczegółów obrazu, jaki go otaczał. Jakby w zawieszeniu władz ducha i ciała, stał przez chwilę bez ruchu, z dłonią na sercu, z okiem utkwionem w czczość ponurą mroków więzienia.

— Bat'ku mij ridnyj! hde ty? — zawołał nakoniec powtórnie, ale tak rzewnie, błagalnie, rozpaczliwie, że ten głos syna, jakby wołającego ratunku, potrząsł chorym do najgłębszych czeluści życia, i otrzeźwił zupełnie.

— Synu mij! — Bohdanko! — odezwał się tklawie nieszczęsny ojciec.

Zawył Bohdanko dzikim wybuchem boleści i zgrozy. Runął u nóg ukochanego ojca; całował chłodne nogi jego; tchem ogrzewał, łzami obmywał, przyrósł do nich

usty, z miłością, żalem i wściekłym pragnieniem zemsty, odzywającem się w urwanych, gardłowych słowach brzęących groźbą i przekleństwem.

— Ne prokłynej Bohdanku! — przemówił Sawa z gorączkowem wysileniem głosu, w którym przebił rzewny wyrzut. Ne prokłynej! hrych! — I swoją duszę obciążysz i spokój mojej zamącisz. Ani mnie, ani tobie nie wolno złorzeczyć temu co się stało. Bez woli Boga nic się nie dzieje na świecie. Jeżeli tedy ucierpiałem, taką być musiała wola Boga, przed którą powinniśmy ukorzyć się w milczeniu, jak przystało prawowiernym synom chrześcijańskiej cerkwi; wyznawcom umęczonego Spasa naszego, Jezusa Chrystusa! Pamiataj teje synu!

— Ależ bat'ku — wykrzyknął rozdzierającym głosem młody kozak, klęcząc u barłogu ojca. — Ja nie mogę, nie mogę powściągnąć oburzenia mego! Nie mogę znieść spokojnie tej straszliwej boleści, jakiej doświadczam widząc ciebie bat'ku, tak okrutnie pokrzywdzonego! U mnie serce wre żalem! Krew ogniem pała! Nienawiść i pragnienie zemsty, o których przedtem nie miałem nawet wyobrażenia, potrząsły całą naturę moją! Mniejsza o karę ludzką! mniejsza o karę nieba! Niech mię ukarzą! ale ja, sprawcom cierpień twoich nie przebaczę! Ja odpłacę im we dwójnasób za obelgi, jakimi ciebie dotknęli! za tę ciemną pieczęć, w której swobodę twoją pograżyli! za każdą łzę twoją, za każdy jęk, za każdą chwilę nikczemnego pastwienia się ich nad tobą bat'ku! nad tobą, coś był wzorem wierności, cnoty, poświęcenia! coś krwią swoją, za Lachów na wojnach przelaną, całego życia ofiarą, zaparciem się bezprzykładnem własnego interesu, na ich miłość, wdzięczność i uszanowanie zasłużył! Nie! Ja im tego przebaczyć

nie mogę, nie chcę, nie powinienem! Ja im tego nie przebaczę! Ja skruszę ich piorunem nienawiści mojej, a jeżeli padnę, to piorun boski mej zemsty dokona! — Chyba że niema sprawiedliwości na niebie!

— Hodi synu! — Ne hreszy! — przerwał Sawa głosem rozdrażnionym, pasując się ze wzruszeniem, które go w stan gorączkowy wprowadzało. Kiedym ja przebaczył, powinienś przebaczyć i ty! Czujesz? ¹⁾

— O! bat'ku mij ridnyj! — ciągnął dalej Bohdanko wśród konwulsyjnego łkania, którego przysłuchiwać nie zdołał. — Ty nie wiesz jak maty horewała! jak horewały siostry! — Nie powierzyły one, jak i ja niepowierzyłem, kiedy nam w zamku powiedziano, że ciebie starosta wysłał do Zawieprzyc. — Pomyśleliśmy sobie: Szczoś tutky ne dobrem pachne! — Bat'ko nie pojechałby bez pożegnania z nami! — Nie! Maty płakała, i siostry płakały; a a wałęsałem się po stepie, gdyby jaki brodiaha, tak mini ciężko było. — Wyjdę bywało nad rankiem i błąkam się do późnej nocy, sam nie wiedząc gdzie, i poco? — Hore pędziło, a żadna robota do rąk nie lgnęła. Ludzie to żalowali mię, to śmieli się ze mnie. — P. Zbrożek perswadował i zaręczał, że skoro powiedziano w zamku, żeście bat'ku pojechali do Zawieprzyc, musiało być tak, a nie inaczej. — Nadeszła cyganka z taboru. — „Daj rękę!“ mówi. — Dałem rękę. — Podwyła się, podumała, a potem rzekła: „Hore tobi! — Czy widzisz te baszty i mury? — Nad niemi kracze woron i tobie nieszczęście przepowiada. — Wisi chmura co serce twoje piorunem rozbije. — Tam się

¹⁾ Czy słyszysz?

dopełnia zbrodnia ohydna. — Przemoc pastwi się nad niemocą! — Nietrać więc czasu! — Biegnij tam! biegnij! I wyciągnęła rękę ku zamkowi. — „Głupstwo!“ krzyknął p. Zbrozek i wypędził cygankę. — Ale ja powierzyłem cygance. — Jej słowa zapadły głęboko w duszę i wkorzeniły się w niej zielem jadowitem podejrzenia i zgrozy. — Wpadłem do zamku. — Pytałem o was bat'ku, sług i kozaków nadwornych. — Powiedzieli to samo co pierwsi. — Pobiegłem do marszałka dworu, Iwońskiego. — Zelzył i wypędził! — Pobiegłem do samego starosty. — Nie dopuszczono! — Rozpacz mię wzięła. — Na świecie było ciemno. — Woron krakał na baszcie. — W dali słychać było pieśń cygańską, co z wiatrem od stepu leciała. — I jej to był głos! jej, Aliki cyganki! — Poznałem i serce drgnęło boleśnie, jakby na hasło groźnego napomnienia. — Sam nie wiedząc co robić, krwawiłem pięście o mury, głucho na wołanie rozpaczyny mojej. — Wstuchiwałem się w ich wnętrze, czy mi nie objawi czego echem jakiego słowa; łoskotem jakiego ruchu. — Wtem ujrzałem dwóch ludzi. — Szli pośpiesznie od miasta ku zamkowi, i ciemność ogarniała ich. — Otarli się prawie o mnie, ale niedostrzegli bo o czemś gadali z sobą, z wielkiem zajęciem. — Jeden z nich był Iwoński; poznałem po głosie. — Kto był drugi? — Niewiem. — Pchnąłem się za nimi zdaleka, w nadziei, że się czegoś dowiem; że się o was bat'ku, mij ridnyj, dowiem. Z okiem i uchem na straży, skradłem się śladem tych ludzi, przez ścieżki i manowce ogrodu; a kiedy skręcili ku furcie narożnej baszty i zapaliwszy latarkę, zaczęli się opuszczać w dół, do lochów, po krętych i wązkich schodkach kamiennych, myśl straszliwa, omal nie pozbawiła mię zmysłów, i złowieszcze słowa cyganki uderzyły boleśnie w serce. — Gdym się opamię-

tał, znikło już światło latarki i ciemno zrobiło się, głucho w ciasnem przejściu co się nurzało głęboko, aż pod ostatnie osnowy zamku. — Szedłem na rysk, omackiem, czepiając się chropowatości ścian, żeby nie runąć. — Szedłem pewny, że na dnie podziemia, którego ani mroki, ani głąb nie zdołałby mię przerazić, znajdę rozwiązanie zagadki, co duszę moją tak nękała i gniołła. Wilgotne schody były śliskie. — Chłód mokry wiał na mnie z otchłani. — Ropuchy i jaszczurki pierzchały z pod nóg moich. — Głazy niskiego sklepienia krwawiły czoło. — Nie zważałem jednak na to, i szedłem śmiało, coraz głębiej i głębiej, — choć sam niewiedziałem czy karku nie złamię. — Wydało mi się nagle, że słyszę jakoweś głosy pod sobą. — Stanąłem jak wryty, nieśmiejąc ruszyć się, odetchnąć, żeby dźwięku tych słów nie postradać. — Całą duszę swoją powołałem do ucha; duszę pełną niespokojności i rozpaczyny. — I nie długo czekałem! nie długo! — Wy przemówiliście bat'ku! wy sami! — Coście przemówili?... Niewiem! — Było za daleko. — Ale to był wasz głos bat'ku! Wasz głos ukochany! — Zapomniałem wtedy, gdzie byłem. — Zapomniałem, że każdy krok chybnym w tej grubej ciemnocie, mogłem życiem przypłacić. — Rzuciłem się w otchłań bez namysłu; i Bóg doprowadził mię bez szwanku. — Dozwolił mi upaść do nóg waszych bat'ku! i nogi wasze ucałować! — Dopuszczał żebym spojrzał w oczy sprawcom waszego cierpienia! Żebym ich obaczył w całej ich sromocie! w całym poniżeniu! i przeklął ich! i...

Tu porwał się z miejsca, z zaiskrzonym okiem, z zaciśniętą pięścią, i przyskoczył ku starości.

— Stój! — zawołał Sawa rozkazująco. Szanuj wolę ojca! a wiesz, jaką jest ta wola jego!

Stanął Bohdanko jak wryty. Dłonie opuścił, głowę nakłonił i słowa mu na ustach zamarły. Surowo spojrzął nań Sawa. Podniósł się o własnej mocy i siedząc wsparty na rękę, przemówił z gorączkowym wysileniem uroczście:

— Synu mij! — Wolą moją jest, żebyś się ukorzył przed zrzędzeniem Pana nad pany, co władnie niebem i ziemią. Podobało się Jemu dopuścić to co się stało, i stało się to. Była w tem, widać, kara za moje grzechy; pokuta doczesna, którą boska sprawiedliwość zechciała mię dotknąć, żeby oczyścić duszę moją grzeszną i zrobić ją godniejszą zbawienia. Zamiast tedy unosić się oburzeniem i złorzeczyć tym, których podobało się Bogu użyć za narzędzie sprawiedliwości swojej, powinienś synu błogosławić im, i cieszyć się serdecznie że Bóg twego ojca, tu, na ziemi, cierpieniem nawiedził, żeby go do wiecznego szczęścia w niebie przysposobić. A więc, pod błogosławieństwem rozkazuję tobie, żebyś się pojechał z panem starostą i przeprosił go za winę gwałtownego uniesienia, którem pozwoliłeś sobie jemu uchybić. Przebaczy on zapewne młodości twojej, ze względu na rodzaj uczuć jakimi serce twoje było przepełnione..

Zamilkł starzec, i wycieńczony opadł bezsilny na zmiętą słomę barłogu. Kapłan pospieszył z trzeźwiącym kordjałem. Starosta podbiegł także skwapliwie, pełen żalu i niepokoju. Bohdanko padł u nóg ojca; modlił się i płakał. Wkrótce ocknął się Sawa z omdlenia i rzekł słabnącym głosem:

— Synu! — Czy zrobiłeś, jakem rozkazał?

— Zrobię bat'ku! zrobię natychmiast! — przemówił młody kozak, przerwanemi łkaniem słowy; i po-

wstawszy, zbliżył się do starosty, podając mu dłoń pojednania i zgody.

— O! nie tak! nie tak! — zawołał rozczerwiony starosta. Chodź Bohdanku w moje objęcia! Przytul się do piersi moich! i niech twoje serce wysłucha całej boleści serca mego! Niech wysłucha jego żalu i niech się tym żalem jego rozrzewni aż do spólcucia, zmięczy aż do przebaczenia!

— Amen! — rzekł z namaszczeniem sędziwy kapłan, świadek tej rzewnej sceny. Bóg jeden sędzią nie-mylnym. Jemu zostawmy sąd i wymiar sprawiedliwości. Naszą rzeczą wzajemne pobażanie i miłość wzajemna w Chrystusie!

Lzy płynęły z oczu Sawy. Kapłan i starosta głęboko byli wzruszeni, a wilgotne ich źrenice świadczyły o stanie duszy. Chociaż korny, milczący i niemniej wzruszony, nie przestawał jednak Bohdanko snuć w sobie myśl czarną nienawiści. Ilekoć spojrzął na ojca, żal ścisnął jego serce i oburzenie potrząsało nim całym. Ilekoć spojrzął na starostę, pioruny mu strzelały z oczu. Sawa był niespokojny. Miotał się w męce ducha i ciała. Żadne leczebne środki, których nie szczędzono, nie pomagały. Dawno świtać poczęło i wschód się już rumieńcem zorzy zalewał.

— Powietrza! słońca! — wołał błagalnie chory. Wynieście mię ztąd! wynieście!

Skoczył Iwoński po ludzi. — Wbiegło kilku nadwornych kozaków. — Twarze ich wyrażały żal i przerażenie. — Łzę im nabiegły powieki. — Gniewem zakipiały serca. — Ze czcią i spólcuciem złożyli chorego na rozciągniętym kobiercu i poprzedzani przez

starostę, wynieśli ostrożnie z podziemia. — Kapłan i Bohdanko szli obok chorego. — Iwoński zamykał ów smutny kondukt. — Ciepłym balsamicznym dyszał lipcowy poranek i smugiem pożłocistej czerwieni jaśniała część wschodnia nieba. — Chóry ptaków śpiewały swoją poranną modlitwę Bogu, dziękczynnym hołdem ożywioną. — Muśnięte skrzydłem przelotnych powiewów szemrały drzewa, i ze snu zbudzony kwiat, wonny kielich promieniom słońca otwierał. — W cieniu rozłożystego dębu, co już nie jedno wypiastrował i przeżył pokolenie, złożono chorego starca. — Poruszył się, zagwarzył niespodzianą wieścią, zamek cały. — Zewsząd spieszyli oficjanci, domownicy, słudzy, podnieceni nienawiścią, spólcuciem, lub zgrozą. — Coraz się wzmaczała powódź tłumu. — Zaległa całą, niemal tę część ogrodu, w której Sawa, ów człek prawy i zasłużony, a więc od wszystkich szanowany, dogorywał. — Ciężkie niósł wtedy na siebie brzemię starosta oburzenia i nagany. — Czuł, jak się żrenice wpijały w niego; jak go myśli nieprzychylne kaleczyły; do jak sromotnego pęgierza przykuła go nienawiść służebnego tłumu, przed którym płonał od wstydu, огоłocony z majestatu swej nieskazitelnosci, odarty z moralnego dostojęstwa swego. — Głucho było dokoła. — Żaden głos nie przemówił, żaden ruch nie zaszeleścił. — Zbawienny wpływ światła, powietrza, tysiące brzmień i barw życia natury, zdawały się koić przedśmiertne cierpienia Sawy. Nie miotał się już, nie jęczał, i z wyrazem rzewnego pokoju wpatrywał się w oblicza tych co chwilom jego ostatnim dań serdecznego spólcucia przynieśli.

— Bud'te zdrowy! — rzekł w końcu. — Dziękuję wam żeście mię chorego nawiedzili; żeście mię pożegnać przyszli. — Nażyłem się do woli. — Czas na spoczynek. — Dokąd idę, pójdziecie i wy kiedyś. —

Obaczmy się więc. — Służcie waszemu panu, jakem ja służył jemu, wiroju i prawdoju. — On, pan dobry; a jeżeliby wam zli ludzie coś na niego nagadali, nie wiercie! — A teraz odejdźcie wszyscy. — Zostawcie mię z moim synem. — To co mam jemu do powiedzenia powinno pozostać tajemnicą, pomiędzy nim i Bogiem. — Nadeszła dla mnie pora dopełnić świętego obowiązku, jaki na mnie włożyła przysięga.

Cofnął się tłum w głąb ogrodu. — Kapłan, starosta i Iwoński odeszli także na stronę. — Jeden tylko Bohdanko pozostał przy ojcu. — Cicho przemawiał doń umierający starzec. — Długo coś tłómaczył, wyjaśniał, zalecał. — Poczem dyktował mu słowa przysięgi które Bohdanko z podjętą ku niebu ręką półgłośnie powtarzał. — Pojął starosta, że w tej chwili tajemnica Skarbu, przestała być tajemnicą dla syna Sawy, lecz pojął i to, że się nigdy o niej z ust młodego kozaka nie dowie. — Sawa uściskał syna; pobłogosławił mu gestem i słowem; poczem przywoławszy skinieniem ręki starostę, przemówił:

— Zastąpcie ojca temu biednemu chłopcu. — Miejcie opiekę nad moimi biednymi dziewczętami. — Nie opuszczajcie starej żony mojej, która, gdy umrę, ubogą i samotną zostanie. — Polecam sercu waszemu i ją i dzieci swoje. — Bądźcie im pomocą i radą. — Bóg wam zato nagrodzi, i w tem i w przyszłym życiu!

Poczem zwracając się do syna, ciągnął dalej coraz słabszym głosem, który czasami w cichy szept przechodził:

— Umyraju synu mój! — Ne tuży! Ne płacz! — Tam dokąd mię Bóg powołuje lepiej mi będzie niż tu, na ziemi. Szanuj matkę swoją. Kochaj sio-

stry. Bądź im pociechą i pomocą. Nakazuję ci to pod błogosławieństwem. Czujesz Bohdanku? Jeżeli będziesz mógł, czy to po miesiącach, czy po latach wielu, przewieź kości moje na Ukrainę. Niech legną w ziemi, co ich ziemią rodzinną była. Step zagwarzy im dawnymi odgłosy przestrzeni. Wicher znajomą dumkę zawiezie i orzeł zakraka w przelocie; syn tych samych siryńskich orłów Ukrainy, co naszym chorągwiom na boje towarzyszyli i drużynom Sahajdacznym, Doroszenków, Serpiaków drogę do zwycięstwa wskazywali. Wstrząsną się kości moje, i zadrżą chwilowym życiem, w tych słodkich brzmieniach ojczystego kraju, nad które niema słodszych na ziemi i być nie może! Dowiesz się o tem, gdy jak ja przez długie lata będziesz ich pozbawiony! Gdy tak po nich zatuskniesz, jakem ja zatusknął. Słuchaj bacznie słów moich Bohdanku. Jest na Ukrainie jedno miejsce, do którego serce me przyłgnęło. Leży ono za Lipowcem, w pobliżu sęła Bohdanówki, w ostępie Lulinieckiego lasu, co do kozackiej osady Oczytkowa przymyka. Lud go zwie Polaną, i nie ma dziecka co by ci go nie pokazało. Tam chciałbym spocząć, na cieniście pagórku, nad rzeczką. Tam złożysz kości moje. Usypiesz kurhanek. Krzyżyk drewniany postawisz. Duch mój zstąpi ku swej samotnej mogile i pobłogosławi tobie synu! żeś jego żądzę zadość uczynił!

Tych ostatnich słów zaledwie mógł dosłyszeć Bohdanko. Słuch tylko kochającego syna mógł ująć w treść sensowną, ten szept bezgłosny, urwany, napominający lekkie szelesty jesiennego liścia, kiedy niem podmuchy wiatru zamąca. Bohdanko klęczał przy ojcu, ponury, rozżalony, smutny. Spoważniał nad wiek; skupił się duchem w pojęciu znaczenia mandatu jaki z ust umierającego ojca otrzymał. Czuł się dumnym z dostojności zaufania jakim obleczone został. Tkliwe jego

i rozrzucone oko wpatrywało się nieporuszenie w najdroższe oblicze, i każde drgnienie rysów onego, walką życia ze śmiercią poruszonych, potrzasało nim boleśnie. Trzymał dłoń ojca w swojej dłoni, drugą, z miłością do ust przyciskał. A gdy się oczy chorego mrokiem niemocy mglić poczęły; gdy się zasłona powiek zakryły; gdy pomimo czynnych środków ratunku (którymi zacny kapłan usiłował ulatające uwieźć życie) omdlenie przeszło w konanie, a konanie zakończyło się ostatniemi westchnieniami śmierci; rozdarła się pierś Bohdanka straszliwym wykrzykiem rozpacz i runął bez zmysłów na martwe ciało ukochanego bat'ki swego.

Przebiegło lato. Jesień i zima przebiegły. Lecz pamięć smutnego zdarzenia pozostała niewzruszoną. Wryła się w umysły, ugrzęzła w sercach, i gdyby pomnik mogilny, nieprzestawała rzucać cień żałobny na wszystko i wszystkich. Zamek magnata posmutniał; posmutniały i chaty wieśniacze; a co się działo w osieroconej semji Sawy, nietrudno pojąć. Stara Paraska pochylała się pod ciosem, który ją dotknął tak niespodzianie i straszliwie. Kir smutku opadł na Handzię i Motrynę, takie wesołe przedtem i hoże! Gwarno bywało dawniej w chacie Sawy. Ruszano się, krzątano. Praca zamieniała się pracą, jak piosnka piosnkę zamieniała. Dziś, nie ten już poryw do gospodarskiego trudu, nie ta co dawniej ochota! a piosnki i dumki zamilkły! — Bohdanko odmienił się także do niepoznania. Był milczący i ponury. Wolne chwile od zajęć domowych, z myślą wyłączenia starej matki i sióstr, gorliwie dopełnianych, spędzał zwykle na mogile ojca, gdzie płakał, mo-

dlił się i dumał. Nieraz bywało, wracał dopiero nad rankiem; a kiedy go pytano gdzie noc spędził? tkliwie całując matkę, odpowiadał: „Bu w u b a t'ka”.

Pewnego dnia, przyszedł do matki, usiadł u nóg jej na podłodze i objawszy kolana staruszki, rzekł ze wzruszeniem:

— Maty! — Czego my tu siedzimy w Maciejo-
wie? — Czy to nasz kraj? — Czy to ziemia ojców na-
szych? — Jedźmy ztąd!

— A dokądże, synu mi j m y ł y, mamy jechać? —
zapytała zdziwiona Paraska.

— Na Ukrainu maty! — Wola bat'ki była
ażebym przewiózł jego ciało na Ukrainę, na Lipo-
wiecką ziemię, i na Polanie Lulinieckiej pogrzebał. —
Czas maty! spełnić tę wolę jego! — Czas!

— Kiedy tak synu mij, to jedźmy! — jam go-
towa!

— Ale, trzeba maty, żeby nikt o naszym zama-
rze nie wiedział — nikt, co się zowie! — Inaczej,
przeszkodzonoby nam.

— Kto synu?

— Pan starosta, maty.

— Alboż my jego poddani?

— Nie!

— Jakiem że prawem mógłby nas zatrzymać?

— Prawem silniejszego, maty! — rzekł Bohdanko
zapalając się coraz bardziej. — Nie każe wypuścić i
koniec!

— Było by to synu gwałtem i niesprawiedli-
wością.

Zerwał się z podłogi Bohdanko na te słowa
matki i stanąwszy przed nią, zawołał:

— Alboż on nie żyje gwałtem i niesprawiedli-
wością! Alboż jest co świętego na świecie dla tego czło-
wieka? — O! maty! maty! nie wyzywajcie mnie na
słowo, bo gdybym powiedział wam co wiem, zapłaka-
libyście krwawymi łzami! takimi łzami, jakimi ja
płakałem! i taka sama nienawiść zapaliłaby duszę wa-
szą, jaka i moją pali! — Jedźmy ztąd maty! jedźmy
czempredzej. — Ziemia na której teraz mieszkamy,
przeklęta! i ten, który tą ziemią władcze, przeklęty! —
Jedźmy!

I nieczekając odpowiedzi matki, wybiegł z izby,
jakby go uniósł duch oburzenia i zemsty.

Dokąd poszedł Bohdanko? — On wybiegł
w pole, bez woli i zamiaru. — Potrzebował przestrzeni,
światła, powiewów, zieleni. — Potrzebował zapanować
nad sobą, ochłonać, uspokoić zamęt serca i myśli. —
Dziecię natury, wezwał pomocy natury, i ona wysłu-
chała go. — Owionęła tchnieniem balsamicznym wiosny,
obląła światłem majowego słońca, roztoczyła przed nim
kojące barwy nieba i ziemi, natchnęła nadzieją i ulgą.
Im dalej szedł Bohdank, tem więcej doznawał pokoju,
większą władzę nad sobą odzyskiwał. — Tak idąc bez
celu, doszedł nakoniec, sam nie wiedząc o tem, aż do
Wynanki, owej tureckiej osady przez Atanazego Mią-
czyńskiego wojewodę Wołyńskiego założonej, w której
żył, jakim już powiedział poprzednio, druh wierny
jego ojca, zacny Gerwazy Polychron Zbrozek, zasłużony
towarzysz pancernej chorągwi, gracialista domu Mią-
czyńskich.

Wielce rad był godny starzec przybyciu Bohdanka, którego bardzo lubił. — Przyjął go serdecznie, usadowił przy sobie, pytał o zdrowie starej Paraski i jej dziewcząt — potem rzekł:

— Posmutniał świat dla mnie i dla ciebie, mój chłopcze. — Tyś stracił ojca, a ja straciłem przyjaciela. — Obaśmy w żałobie! Alem ja w grubszej daleko! — Tyś młody, dzielny. — Przed tobą przestwóć świata; pole nadziei i czynu. — Przedemną nic, kromie starości samotnej, samotnej mogiły i zapomnienia! — Ale, jeżeli tak jest chłopcze, to dla tego tylko, że być inaczej nie może. — Wszystko na tym świecie ma swój czas i swoją miarę; początek i koniec.....

— I na tem koniec? — zawołaliśmy chórem widząc że nasz narrator zadumał się głęboko i przez długą chwilę ani myślał o kończeniu swojej opowieści.

— Koniec — krótko odparł Grabowski.

— A cóż się ze skarbem stało? — badał nawpół ironicznie La Cerda.

— Bohdanek, jak to zapowiedział, wyniósł się z całą rodziną na Ukrainę — ciągnął w zamyśleniu Grabowski. — Miączyńscy, rozumie się, niejednokrotnie i przeróżnych próbowali sposobów, aby mając nitkę dostać się do zaczarowanego kłębka. Wszystkie zachcianki ich kończyły się na niczem — rozbijały się o silną naturę Ukraińca. Przyszły wreszcie klęski ogólne, a choć i Miączyńskich ród podupadł znacznie w powszechnym kataklizmie — choć, w myśl nakazu Atanazego, woje-

wody Wołyńskiego, jakoby proroczco przewidującego tę chwilę — godziło się im i należało zaczerpnąć sił nowych w zamurowanym skarbie — spadkobiercy Sawy nie pokazali się więcej w Maciejowie...

— Snać nie wypełniły się jeszcze lata pokuty — zawyrokował sentencjonalnie gospodarz.

— I nie wypełnią się nigdy! — przywótworzyliśmy mu wszyscy — a w godzinę później pan Stanisław Denisko stał sam jeden na ganku, machając chustką za odjeżdżającymi i po raz może ostatni zwiedzającymi jego progi.

BIBLIOTEKA
MORACZEWSKICH

Koniec.



D Nr 668143

KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



D Nr 668143

509770

82

kol. z biblioteki
RiW Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517802